Walki rewolwerowców
Krwawe porachunki kowbojów na Dzikim Zachodzie

Bolszewicy z LWP
Szokujące dokumenty z archiwum Zygmunta Berlinga

Masakra w bantustanie
Jak murzyński policjant zamordował trzech białych w RPA

NR 7(65)/2018 LIPIEC 2018

HISTORIA

DO RZECZY
MIESIĘCZNIK LISICKIEGO

CENA 7,95 ZŁ
(W TYM 8% VAT)

DO RZECZY HISTORIA
Nr indeksu 296031
ISSN 2299-9515

Polska samoobrona

BOHATEROWIE WOŁYNIA

Tankuj, kupuj i odbierz w atrakcyjnej cenie!*

Zbierz 15 naklejek i złap piłkę już za 10 złotych lub 4900 punktów VITAY.

Kierunek jest jeden...

ORLEN

*Sprzedaż promocyjna do 05.08.2018 r. lub do wyczerpania zapasów. Szczegóły promocji w regulaminie na: dlakierowcow.orlen.pl.

eprasa.pl 2986221024

HISTORIA DO RZECZY

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
WWW.SUPERHISTORIA.PL
PROWADZĄCY: Marcin Bartnicki

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy: **Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Marcin Bartnicki**
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (szef studia), **Marcin Berłowski, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**
Dorzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem:
Zofia Magdziak (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Mateusz Maranowski** (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**

WYDAWCA:
Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu spółka Orle Pióro wchodzi w skład grupy kapitałowej PMPG SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: +48 22 347 50 10
reklama@dorzeczy.pl
PUBLIC RELATIONS:
pr@point-group.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296031
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.
Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Sokola Góra, sierpień 1937 r.

Jadwiga Piłsudska podczas ćwiczeń w Wołyńskiej Szkole Szybowcowej LOPP

FOT. NAC

Od redaktora

Piotr Zychowicz

Zapomniani bohaterowie

Zreguły o Wołyniu pisze się w duchu martyrologicznym. Czyli kładzie się nacisk na gehennę Polaków, którzy padli ofiarą ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów. Naszych nieszczęsnych rodaków zarąbanych siekierami, utopionych w studniach, zastrzelonych. Przerżniętych na pół piłami.

Pamięć o nich jest naszym obowiązkiem i na łamach „Historii Do Rzeczy" upominaliśmy się o nią wielokrotnie. Tym razem jednak chcemy pokazać drugą stronę tej historii. Czyli polskie bohaterstwo. Mowa o czynach dzielnych ochotników z samoobrony, którzy z bronią w ręku bronili swoich wiosek i swoich rodzin przed oprawcami z UPA.

Wbrew obiegowej opinii Polacy z Wołynia wcale nie zachowywali się biernie. Wcale nie szli pod upowskie noże jak owce prowadzone na rzeź. Wielu z nich chwyciło za broń i stawiło opór mordercom. Walczyli jak lwy na progach swoich domów i na opłotkach swoich wiosek. Ludzie ci uratowali tysiące naszych rodaków przed upiorną śmiercią.

Historia obrońców Zasmyków, Przebraża, Huty Stepańskiej i Pańskiej Doliny to nie tylko opowieść o wielkim heroizmie. To także zaprzeczenie stereotypu mówiącego o tym, że Polacy są fatalnymi organizatorami i nie potrafią działać razem dla wspólnego dobra. Stworzone przez Wołyniaków samoobrony były bowiem majstersztykiem samoorganizacji. Powstały spontanicznie i oddolnie, bez pomocy z zewnątrz.

Niestety, dokonania członków samoobrony zostały niemal zupełnie zapomniane. Zatarły się w zbiorowej pamięci Polaków. A może nigdy ich w niej nie było? Tę sytuację należy zmienić. W tym roku będziemy obchodzić 75. rocznicę ludobójstwa na Wołyniu. Pamiętajmy o polskich ofiarach, ale pamiętajmy również o bohaterach. ©℗

eprasa.pl 2986221024

/ TEMAT NUMERU

.6 PIOTR ZYCHOWICZ
Obrońcy Polaków

.10 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Sowieci na Wołyniu

.14 TEODORA ZGLINIECKA
W oblężonym kościele

.18 WOŁODYMYR WJATROWYCZ KONTRA EWA SIEMASZKO
Ostra dyskusja o Wołyniu

.20 MIROSŁAW SZUMIŁO
Bulba kontra Bandera

/ CZASY I LUDZIE

.24 MARK LIJEK
Jak uciekłem ajatollahom

.28 TADEUSZ A. KISIELEWSKI
Prawda o Zaolziu

.32 SŁAWOMIR KOPER
Skandalistka II RP

.36 JAMES REASONER
Ostatnie dni Dzikiego Zachodu

.39 TOMASZ STAŃCZYK
Sławni Żydzi uratowani przez Polaków

.44 JAKUB OSTROMĘCKI
Wikingowie w wersji pop

.47 PIOTR SEMKA
Dieppe: kanadyjski koszmar

.50 MARCIN BARTNICKI
U-2 nad Sowietami

.53 MARIAN ZACHARSKI
Długie macki GRU

.56 PIOTR ZYCHOWICZ
Trzy trupy w bantustanie

.60 MAREK GAŁĘZOWSKI
Pogrzebany w Szlisselburgu

.64 MIKOŁAJ IWANOW
Operacja grecka NKWD

.68 RAFAŁ WĘGRZYNIAK
Żyd oskarżony o kolaborację

.70 MACIEJ ROSALAK
Niepokojące kabały

.74 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
Przysięga wierności LWP

/ CO CZYTAĆ

.76 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Bóle i lęki Jerzego Krzysztonia

/ FELIETONY

.84 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Racjonalność historii

.85 PIOTR SEMKA
Spotkanie z Białorusią

.99 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
Konstytucyjna iluzja

/ KRESY

.86 TOMASZ STAŃCZYK
Wygnani ze Lwowa

/ BATALIE I WODZOWIE

.90 MACIEJ ROSALAK
Honor samuraja

/ KOMIKS

.98 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI, MACIEJ JASIŃSKI
Szarża pod Rokitną

eprasa.pl 2986221024

MIELI BRONIĆ POLSKI. A BRONILI SWOICH INTERESÓW

Poznaj prawdziwą historię tych, którzy źle zrozumieli słowo Ojczyzna

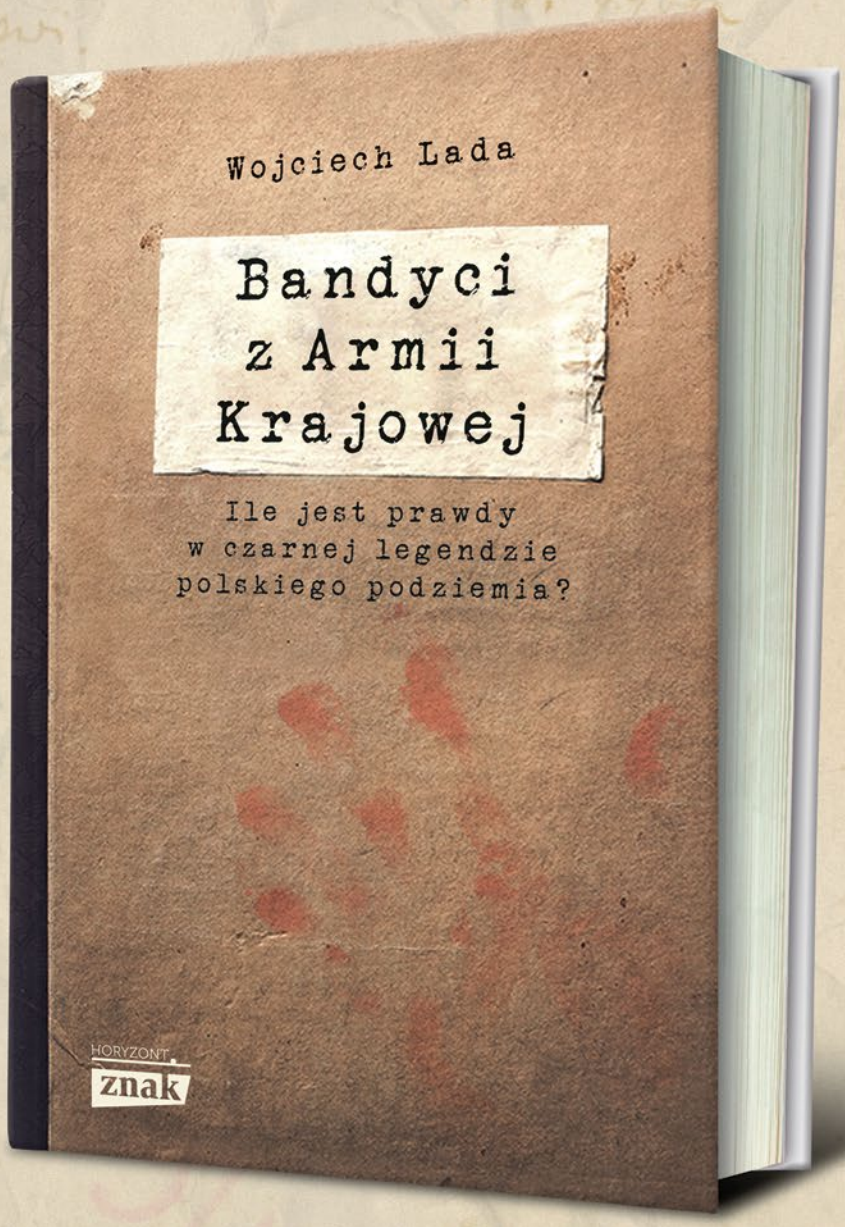

Wojciech Lada, autor bestsellerowych *Polskich terrorystów*, po raz kolejny podejmuje kontrowersyjny temat i podąża tropem bandytyzmu w Armii Krajowej

Książka dostępna od 18 lipca w salonach **empik** i **empik.com**

eprasa.pl 2986221024

Piotr Zychowicz

Obrońcy

1943 r.

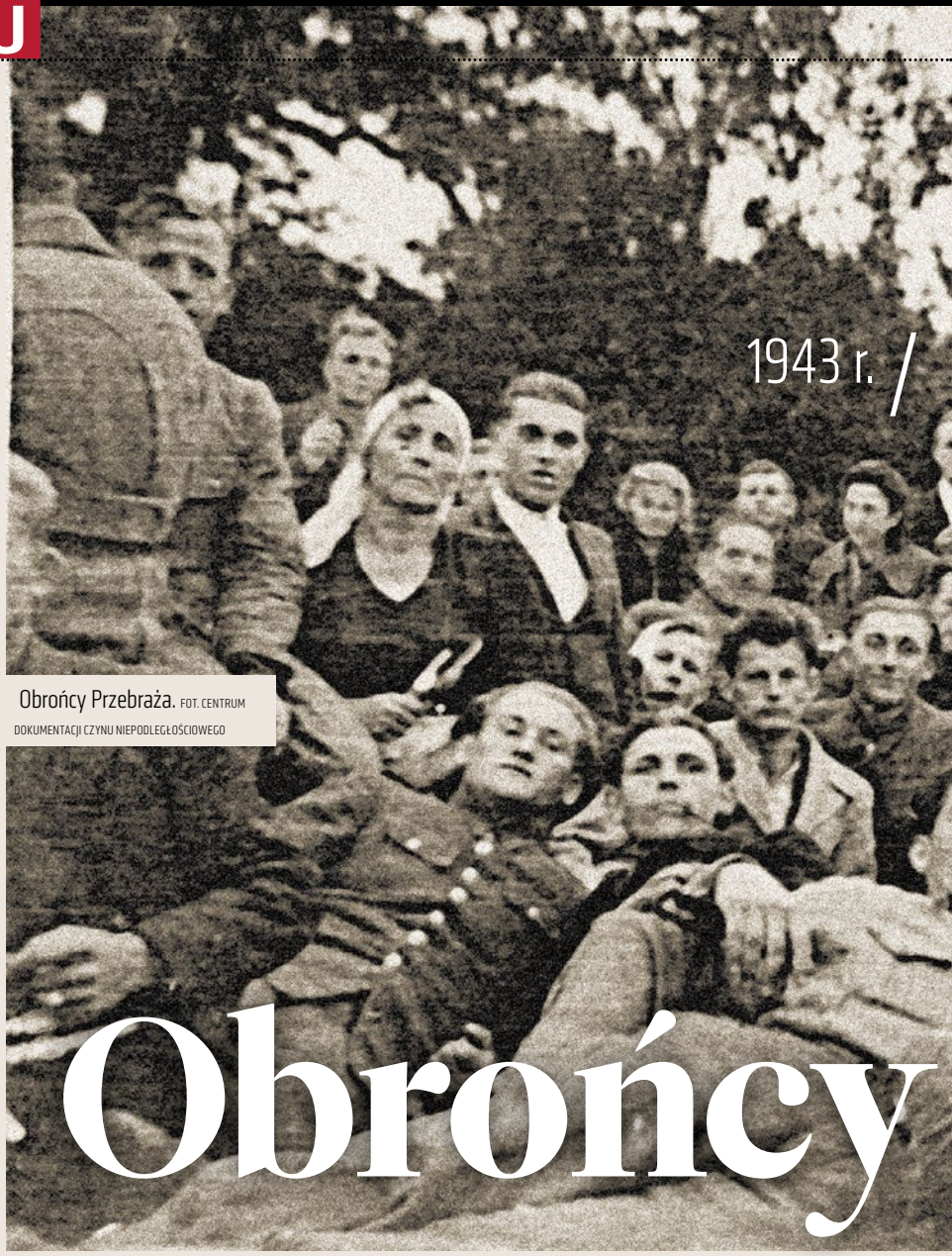

Obrońcy Przebraża. FOT. CENTRUM DOKUMENTACJI CZYNU NIEPODLEGŁOŚCIOWEGO

Żołnierze polskiej samoobrony ocalili przed banderowcami tysiące polskich cywili

Kierunek uderzenia banderowców wskazywał, że celem ataku był środek wsi. Tutaj jednak dostali się właśnie pod niespodziewanie silny ogień naszego automatu „diegtiarowa" oraz innej broni, a nawet granatów ręcznych. Zygmunt Toczko z kolegami nie żałowali sobie amunicji. Rąbali, ile się dało. O ile sobie przypominam, w pewnym momencie zaciął się z przegrzania erkaem i wtedy użyto granatów.

To tak gorące i efektywne przywitanie ostatecznie podcięło skrzydła bandziorów. Zaczęli kryć się w zbożu i ze wzgórza ostrzeliwać zapalającymi oraz świetlnymi pociskami zabudowania, gdzie były zgromadzone rodziny. Wnioskowałem z kolegami, że musieli o tym mieć informację od miejscowych Ukraińców. W międzyczasie Zygmunt oddał w kierunku wroga kilka serii, co i na tym kierunku ataku odebrało „hierojom" odwagę do „rizania Lachiw".

Na pewno myśleli sobie, że tak jak w innych bezbronnych osiedlach i tu przeprowadzą rzeź i rabunek, by potem chełpić się swoim bohaterstwem i odwagą. Jednak w tym napadzie okazały się ich słabość i tchórzostwo. My odnieśliśmy zwycięstwo.

Na tyłach i na bocznych drogach polnych stały w pogotowiu wozy, prawdopodobnie z rezunami, którzy jak zwykle mieli za zadanie, po ustaniu obrony, mordować i rabować".

To fragment wspomnień Antoniego Cybulskiego, organizatora i przywódcy samoobrony działającej w polskiej miejscowości Pańska Dolina na Wołyniu. Opisane dramatyczne wydarzenia rozegrały się 22 czerwca 1943 r. Silny oddział Ukraińskiej Powstańczej Armii dokonał ataku na polską miejscowość. Celem było zgładzenie mieszkańców i puszczenie z dymem zabudowań. Polacy wyszli jednak naprzeciw napastnikom z bronią w ręku. Gotowi do walki.

Upowcy uciekli jak niepyszni, pozostawiając na opłotkach wsi zabitych kamratów. Pańskiej Doliny nie udało im się zdobyć również w kolejnych zaciekłych szturmach. Dzielni polscy obrońcy dotrwali na swoich posterunkach do końca wojny. Dzięki nim uratowali się nie tylko mieszkańcy Pańskiej Doliny, lecz także ludność z innych miejscowości.

Historycy oceniają, że w trakcie ludobójstwa dokonywanego przez ukraińskich nacjonalistów na Wołyniu powstało ok. 300 ośrodków samoobrony. 129 z nich odniosło sukces, czyli dotrwało do końca działań wojennych i zapobiegło rzezi polskiej ludności cywilnej.

eprasa.pl 2986221024

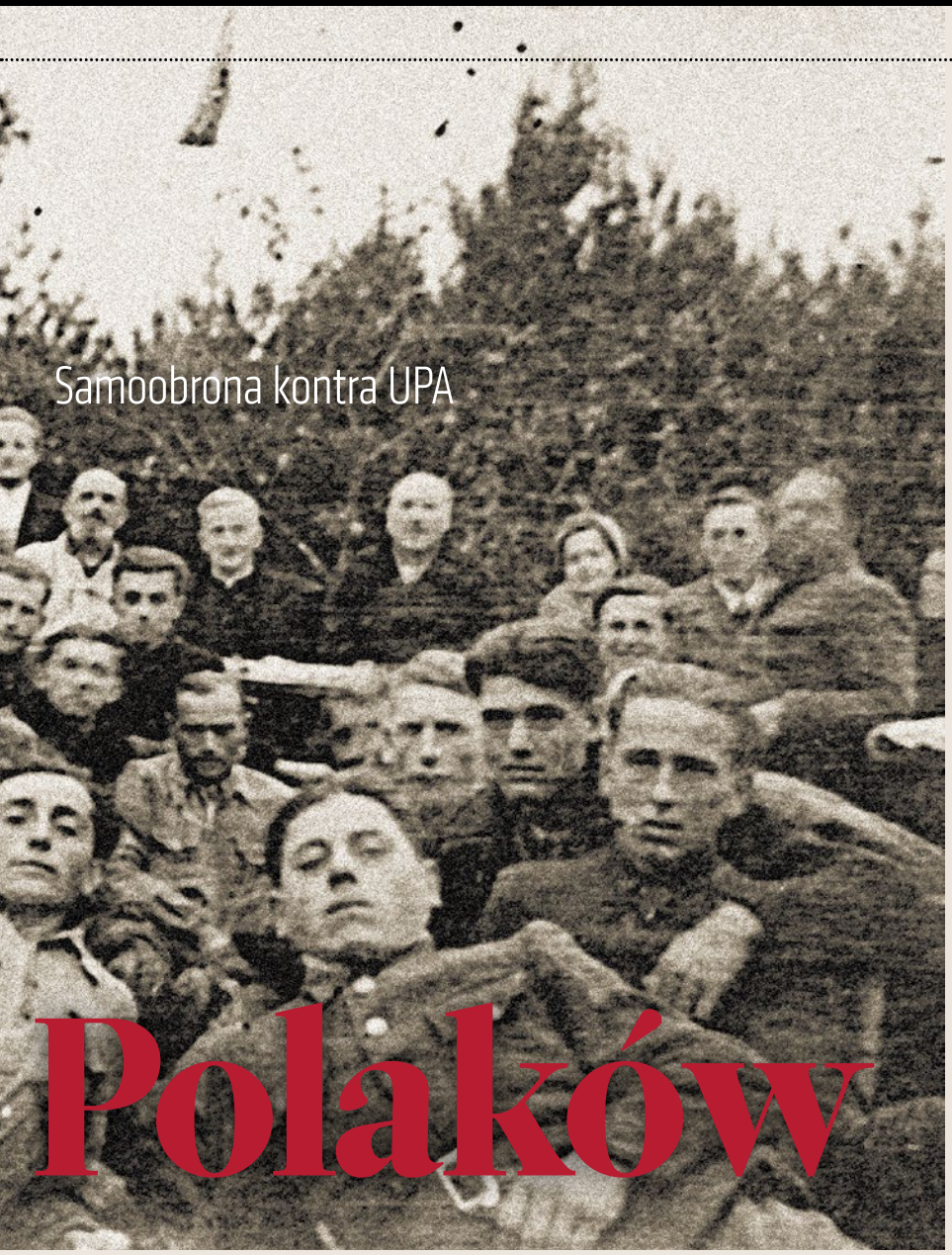

Samoobrona kontra UPA

Polaków

49 ośrodków samoobrony uległo pod naporem banderowców, ale ich członkom udało się uratować część mieszkańców.

W 29 przypadkach polska samoobrona zawiodła. Jej członkowie nie podjęli walki, a ochraniane przez nią miejscowości zostały wyrżnięte przez UPA. Z kolei w dziewięciu przypadkach doszło do zaciętych bitew, które zakończyły się klęską Polaków i wymordowaniem cywili.

Bilans ten jest więc niezwykle korzystny. W większości przypadków – mimo skrajnie niekorzystnych warunków – samoobrona odegrała swoją rolę.

Samoobrona często obejmowała zresztą całe klucze miejscowości, tworząc rodzaj wolnych polskich republik w morzu pożarów roznieconych przez UPA. Największe bazy samoobrony powstały w Zaturcach, Hucie Stepańskiej, Zasmykach, Kutach, Dąbrowej, Antonówce i Ostrogu.

Bitwy stoczone w ich obronie należą do jednej z najbardziej chwalebnych, a jednocześnie zapomnianych polskich kart II wojny światowej.

Brak broni

Wszystko zaczęło się pod koniec 1942 r., gdy na terenie Wołynia zaczęło dochodzić do coraz liczniejszych napaści na Polaków. Czołowi najwybitniejsi przedstawiciele lokalnych polskich społeczności znikali. A po kilku dniach ich pokiereszowane ciała znajdowano w lasach lub wyławiano z rzek. Mordercami byli ukraińscy nacjonaliści.

W pierwszych miesiącach 1943 r. doszło do eskalacji mordów. 9 lutego 1943 r. oddział UPA wymordował mieszkańców Parośli. A wkrótce pod nóż poszły kolejne miejscowości. Ich mieszkańcy byli okrutnie uśmiercani – w ruch poszły siekiery, cepy, widły i noże – a mienie rabowane. Nocami wołyński horyzont rozświetlały łuny pożarów.

Na polskich mieszkańców Wołynia padł blady strach. Część z nich zachowywała się biernie, licząc na to, że nieszczęście ich ominie. Część jednak nie zamierzała stać z założonymi rękami i czekać na przybycie rezunów. W wielu polskich wioskach mężczyźni zaczęli spontanicznie i samorzutnie tworzyć struktury samoobrony. Ich cel był prosty: uratować siebie, swoje rodziny i dobytek przed zagładą. Była to walka o przeżycie.

Na początku formacje te przypominały straż wiejską. Mężczyźni z siekierami, widłami i pikami pełnili nocne warty na opłotkach wsi. W momencie pojawienia się ukraińskich oprawców alarmowali resztę mieszkańców o niebezpieczeństwie. Na przykład bijąc w dzwony lub uderzając łomem w kawałek zawieszonej na sznurze szyny.

Dzięki takiemu ostrzeżeniu polscy cywile mogli opuścić domy, a następnie uciec do lasu lub najbliższego większego miasteczka. Ocalić życie.

Część wiejskich samoobron szybko jednak przeistoczyła się w oddziały

eprasa.pl 2986221024

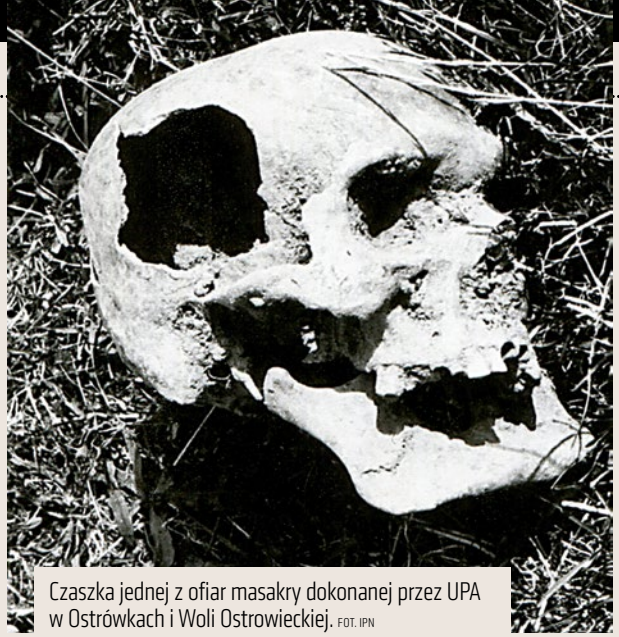

Czaszka jednej z ofiar masakry dokonanej przez UPA w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej. FOT. IPN

zbrojne. I tu docieramy do największej bolączki, z jaką musieli się zmagać ci dzielni ludzie. Chodzi oczywiście o brak broni. Polacy wyciągali z siana i ze strychów stare myśliwskie flinty, w lasach i na polach wyszukiwali broń porzuconą przez żołnierzy Wojska Polskiego we wrześniu 1939 r. A przede wszystkim przez żołnierzy Armii Czerwonej, którzy uciekali przed Niemcami w czerwcu roku 1941.

Znane są przypadki wymontowywania działek i karabinów maszynowych z wraków starych, rozprutych sowieckich czołgów. Wiejscy kowale, którzy zamienili się w rusznikarzy, doprowadzali tę broń do stanu używalności, ale nadal była to kropla w morzu potrzeb. Pozostawało więc tylko jedno źródło broni – byli nim oczywiście Niemcy.

W tym przypadku członkowie polskiej samoobrony działali dwutorowo. Legalnie i nielegalnie. Zacznijmy od tej drugiej drogi. W aparacie okupacyjnym, w szeregach Wehrmachtu i żandarmerii, szerzyła się korupcja. Wielu Niemców nie paliło się do umierania za swojego Führera, miało za to smykałkę do interesów.

Na Wołyniu dochodziło więc do transakcji wiązanych. Niemcy przekazywali Polakom broń: karabiny, pistolety, amunicję i granaty. A Polacy w zamian przekazywali Niemcom boczek, jajka, cielęcinę i – przede wszystkim – „sznapsa". Chętni do takiej wymiany byli zresztą nie tylko Niemcy, lecz także żołnierze stacjonujących na Wołyniu oddziałów węgierskich. Z tymi ostatnimi handlowało się o tyle łatwo, że darzyli Polskę dużą sympatią.

Druga droga była drogą legalną. Niemieckie władze okupacyjne na ogół nie patrzyły przychylnie na bestialskie rzezie polskiej ludności cywilnej dokonywane przez UPA. Wprost przeciwnie – było to dla Niemców kłopotliwe. Zakłócało bowiem dostawy niezbędnych do funkcjonowania III Rzeszy płodów rolnych. Mowa o tzw. kontyngentach.

W 1943 r. Niemcy dysponowali jednak na Wołyniu niezwykle szczupłymi siłami. Ich garnizony znajdowały się tylko w większych miastach. Prowincja była zaś opanowana przez ukraińskich i sowieckich partyzantów. W tej sytuacji w wielu miejscach pragmatyczne lokalne władze niemieckie wyrażały zgodę na powołanie polskiej samoobrony. Mało tego, zaopatrywały ją w broń i mundury.

Dobrym przykładem może być samoobrona w Pańskiej Dolinie, od której przedstawienia rozpoczął się ten artykuł. Oddajmy jeszcze raz głos Antoniemu Cybulskiemu:

„Z uwagi na konieczność obrony życia i naszego istnienia zdecydowaliśmy zwrócić się do Niemców po broń i zezwolenie na jej posiadanie. Postanowiliśmy udać się bezpośrednio do Kreisleitera w Dubnie z prośbą o wydanie broni do obrony gospodarzy podczas prac polowych przy zbiorze plonów. Motywując, że jeśli nie będzie ochrony, to wieś zostanie doszczętnie spalona i setki hektarów zboża ulegną zniszczeniu. Gospodarze nie będą w stanie wywiązać się z kontyngentów. Wiedzieliśmy, że to dla Niemców był bardzo nęcący haczyk.

Po wyjściu z gabinetu kapitan Wehrmachtu zaprowadził nas do magazynów i rozkazał magazynierowi, by wydał nam uzgodnionych sześć rosyjskich karabinów, amunicję i kilka granatów. Ponadto wydano nam odpowiednie ausweisy na posiadanie broni. Przy odbieraniu amunicji Teofil zaszwargotał do Niemca, pokazując mu solidny kawałek »szpeku« (słoniny). Niemczysko się uśmiechnął i zadowolony dołożył nam jeszcze kilka paczek amunicji.

Po odebraniu wszystkiego, po załadowaniu się na furmankę, wracaliśmy do domu z zadowoleniem, nadzieją i optymizmem. Po powrocie i po zapoznaniu wszystkich kolegów ze sposobem załatwienia sprawy i z osiągniętymi wynikami, teraz po przekazaniu broni w odpowiednie ręce, zapanowała wśród chłopców radość, wystąpił śmiały duch walki i odwetu".

Nie mniej ważne od karabinów i amunicji były wspomniane pozwolenia na broń. Legalizowały one bowiem całą posiadaną do tej pory nielegalnie broń samoobrony. Od tego czasu obrońcy Pańskiej Doliny nie musieli się już obawiać Niemców i mogli skupić się na groźniejszym wrogu – ukraińskich rezunach.

W podobny sposób zaopatrywały się inne placówki samoobrony. Na przykład Apolinary Oliwa, komendant samoobrony w miejscowości Rafałówka, wspominał, że Niemcy przekazywali mu tyle broni, iż obawiał się, że „od ciężaru pękną okucia wozów". Z tych niemieckich karabinów polscy obrońcy zrobili dobry użytek.

Polskie twierdze

Uzbrojenie to jednak nie wszystko. Kolejnym krokiem było przeszkolenie ochotników. Szczególnie tych z najmłodszych roczników, bo spora część starszych Polaków z Wołynia służyła w polskim lub carskim wojsku. Tutaj w sukurs przyszli mieszkający w tej części okupowanej Polski podoficerowie WP, którzy wzięli na siebie ciężar szkolenia licznie zgłaszających się rekrutów.

Przy pomocy przedwojennej kadry wojskowej podjęto również prace fortyfikacyjne. Część baz samoobrony została zamieniona w twierdze. Najsłynniejszą z nich było Przebraże. Miejscowość została otoczona pierścieniami okopów, stanowisk strzeleckich, bunkrów, zasieków z drutu kolczastego i gniazd karabinów maszynowych. Obrońcy dysponowali nawet dwoma działami. Drużyny i plutony samoobrony były skoszarowane niczym regularna armia.

W szczytowym okresie w Przebrażu schronienie znalazło aż 10 tys. polskich cywili z zagrożonych miejscowości. Wyżywienie tak wielkiej liczby ludzi było nie lada wyzwaniem. Teren wokół Przebraża był przecież opanowany przez UPA. Dowódcy samoobrony stanęli na wysokości zadania i zorganizowali świetnie działający system aprowizacyjny.

Z polskiej „twierdzy" wyjeżdżały całe konwoje furmanek. Jadący na nich ludzie mieli za zadanie zbieranie z opuszczonych pól płodów rolnych. Nad ich bez-

eprasa.pl 2986221024

pieczeństwem podczas pracy czuwały zaś specjalnie wyznaczone oddziały samoobrony. Często musiały one potykać się z grupami partyzanckimi UPA, które usiłowały zapobiec zbiorowi zboża. Polacy jednak nie dali się zagłodzić.

Niesamowita była również organizacja samego Przebraża. W wołyńskiej fortecy powstały specjalne piekarnie, masarnie, mleczarnie, zakłady rymarskie i szewskie, których zadaniem było zaopatrywanie oraz obsługa ludności. Posiłki przygotowywano we wspólnych kuchniach. Uchodźcom zapewniono nawet opiekę medyczną.

Przebraże szybko stało się solą w oku UPA. Polska miejscowość była kilkakrotnie atakowana przez olbrzymie zgrupowania wroga, ale za każdym razem banderowcy schodzili z pola pokonani. Wywoływało to olbrzymią frustrację i wściekłość banderowców. Byli jednak bezsilni.

Było to zasługą dwóch niezwykle charyzmatycznych i dzielnych dowódców: Henryka Cybulskiego i Ludwika Malinowskiego, którzy w niezwykle fachowy sposób kierowali obroną.

Obrońcy Przebraża byli na tyle silni, że z czasem przeszli do działań zaczepnych. Rozbili m.in. nieprzyjacielski oddział stacjonujący w Trościańcu i szkołę podoficerską UPA w Omelnie. Samoobrona w Przebrażu – podobnie jak baza w Pańskiej Dolinie – dotrwała do końca wojny. Zgromadzeni w niej liczni Polacy zostali ocaleni przed upowskimi siekierami.

Mniej korzystnie sytuacja potoczyła się w Hucie Stepańskiej, gdzie w dniach 16–18 lipca odbyła się walna bitwa między polską samoobroną a potężnym zgrupowaniem UPA. Walki były niezwykle krwawe i zacięte. Polacy odpierali kolejne szturmy banderowców, często walcząc wręcz – przy użyciu bagnetów, siekier i noży, pięści i paznokci.

Gdy zaczęła kończyć się amunicja i sytuacja obrońców stała się rozpaczliwa, dowódcy samoobrony zdecydowali o ewakuacji. Utworzono olbrzymią kolumnę, której szpicą byli uzbrojeni polscy ochotnicy, a środek stanowiły furmanki z cywilami. Kolumna z impetem uderzyła na pierścień okrążenia i przebiła się na wolność. Placówka w Hucie Stepańskiej padła, ale udało się uratować większość mieszkańców.

Na podziw zasługuje nie tylko wielkie bohaterstwo członków samoobrony, lecz także ich zdolności organizacyjne. Samoobrona na Wołyniu powstała bowiem oddolnie, w wyniku energicznych działań miejscowych wybitnych jednostek. Władze podziemne włączyły się w działania na rzecz obrony ludności Wołynia dopiero w drugiej połowie 1943 r., a więc po apogeum ludobójstwa i po tym, gdy samoobrony stoczyły wiele krwawych bitew z UPA.

Dopiero wtedy do polskich placówek skierowano oficerów Armii Krajowej, a także pewne niewielkie ilości sprzętu i broni. Ośrodki samoobrony stały się wówczas bazami wypadowymi dla lotnych oddziałów partyzanckich. Rozkaz powołania tych formacji wydany został jednak dopiero 20 lipca 1943 r. Najcięższe boje obrońcy polskich twierdz toczyli więc w osamotnieniu.

Działalność polskiej samoobrony miała dwa kontrowersyjne aspekty. Pierwszy to współpraca, jaką część jej ośrodków nawiązała z sowieckimi oddziałami partyzanckimi. Współdziałanie z bolszewikami chwały nie przynosi, ale tonący brzytwy się chwyta. Zagrożeni eksterminacją ze strony UPA Polacy z radością przyjmowali każdego sojusznika, który mógł im pomóc w walce z banderowcami. A co za tym idzie – uratować życie. Tutaj nie było prostych wyborów.

Druga kontrowersyjna sprawa to działania odwetowe. Według historiografii ukraińskiej część oddziałów polskiej samoobrony atakowała ukraińskie wioski i dopuszczała się zbrodni przeciwko ludności cywilnej. Często działania te samoobrona prowadziła we współpracy z utworzoną przez Niemców polską policją pomocniczą (o działalności tej formacji w poprzednim numerze „HDR" pisał obszernie Arkadiusz Karbowiak).

Wydaje się, że rzeczywiście dochodziło do takich incydentów. Poziom obopólnej nienawiści na Wołyniu był gigantyczny. Polacy, którym wymordowano rodziny i spalono domy, pałali żądzą zemsty. Akcje odwetowe w wykonaniu samoobrony należały jednak do rzadkości. Po pierwsze, wynikało to ze słabości tej formacji. Po drugie, samoobrona z samego założenia miała przecież zadania defensywne. Jej zadaniem była obrona, a nie atak. I nie ma wątpliwości, że gdyby nie polska samoobrona, bilans ludobójstwa na Wołyniu byłby jeszcze bardziej tragiczny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

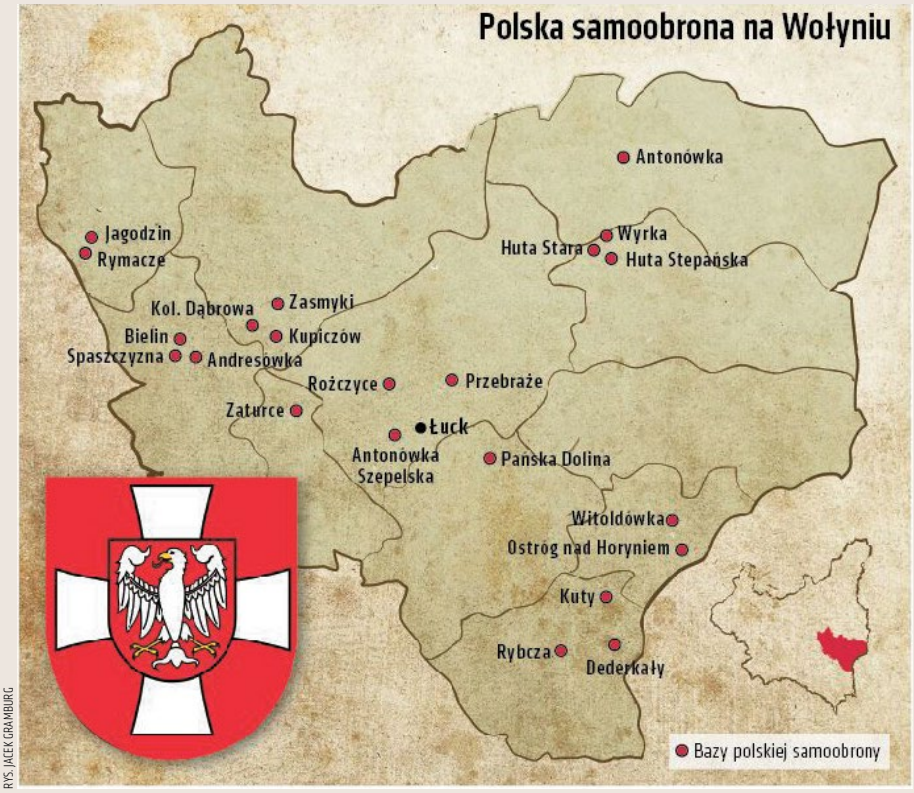

RYS. JACEK GRAMBURG

eprasa.pl 2986221024

1943–1944 / Czerwoni partyzanci kontra UPA i AK

Sowieci na Wołyniu

Arkadiusz Karbowiak

Sowieccy partyzanci chronili Polaków przed UPA. Jednocześnie narażali ich na odwet Niemców i mordowali oficerów AK

Na początku roku 1943 Wołyń stał się obszarem, na którym Sowieci z żelazną konsekwencją zaczęli wdrażać plan wywołania nieograniczonej wojny partyzanckiej. Skierowano tam oddziały podporządkowane Ukraińskiemu Sztabowi Ruchu Partyzanckiego. Partyzanci starali się wszelkimi sposobami zachęcać miejscową ludność do wstępowania w ich szeregi. O sile przeciwdziałania Polskiego Państwa Podziemnego tak pisał do swych zwierzchników dowódca Żytomierskiego Zgrupowania Partyzanckiego Aleksandr Saburow: „Emisariusze Sikorskiego przenikają na teren zachodnich obwodów Ukrainy i Białorusi i prowadzą tam swoją robotę, uważając, że tereny te wchodzą w skład Państwa Polskiego. Oficjalna linia kół kierowniczych Sikorskiego, w sposób oczywisty wychodząc od taktyki zachowywania i gromadzenia sił polskiego podziemia nacjonalistycznego, ogranicza możliwości szerzenia propagandy antyniemieckiej wśród ludności".

Przyjęta przez Polaków taktyka wyczekiwania na dogodny moment wywołania insurekcji przeciw okupantom zdecydowanie irytowała bolszewików. Dlatego też, chcąc wykorzystać narastające antyniemieckie nastroje panujące wśród ludności polskiej, naczelnik Centralnego Sztabu Ruchu Partyzanckiego Pantelejmon Ponomarienko polecał: „[...] wysłać na wiosnę [1943 r.] 80 do 90 starannie przygotowanych i przeszkolonych agentów, którzy władają biegle językiem polskim i posiadają kontakty wśród ludności polskiej, w celu rozwinięcia walki partyzanckiej przeciwko Niemcom. Mamy odpowiednich ludzi wśród członków Komunistycznej Partii Polski, Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi i Ukrainy".

Czerwoni Polacy

Dla zrównoważenia sił AK na początku 1943 r. na Wołyniu przy udziale bolszewików zaczęły być tworzone składające się z Polaków oddziały partyzantki komunistycznej. Potrzebę ich powstania

eprasa.pl 2986221024

Sowieccy partyzanci rozstrzeliwują „faszystowskiego szpiega"
FOT. ARCHIWUM

w następujących słowach uzasadniał Robert Satanowski: „Istnieją liczne [polskie] zbrojne organizacje wojskowe pod dowództwem agentów Sikorskiego. Można z dużym prawdopodobieństwem przewidywać, że zostaną one skierowane przeciwko Armii Czerwonej. Jednocześnie brak polskiej siły zbrojnej o sowieckiej ideologii, której zadaniem byłoby organizowanie polskich mas robotniczych do walki o socjalistyczną Polskę… Czerwony polski oddział będzie szkołą dla przyszłych socjalistycznych kadr".

Spośród tych najbardziej znanych grup należy wymienić oddziały Józefa Sobiesiaka, Jana Burzyńskiego i powstały 8 lutego 1943 r. pod dowództwem wspomnianego Roberta Satanowskiego Oddział im. Tadeusza Kościuszki, który potem rozwinął się do wielkości 700-osobowego zgrupowania występującego pod nazwą Jeszcze Polska nie Zginęła. Zadaniem tego ostatniego było m.in. prowadzenie działalności rozkładowej wobec struktur wołyńskiej Armii Krajowej. Ponadto Satanowski organizował we wsiach mityngi agitacyjno-propagandowe na rzecz bolszewików, głosząc m.in. tezy o rzekomej odpowiedzialności Niemców za zbrodnię katyńską.

Do zbrojnej konfrontacji między polskim podziemiem a sowieckim nie doszło, bo wiosną 1943 r. na Wołyniu przystąpiły do eksterminacji polskiej ludności cywilnej sotnie Ukraińskiej Powstańczej Armii. W obliczu zagłady Polacy, do tej pory nastawieni do Sowietów wrogo, zaczęli dostrzegać w nich swych wybawicieli i obrońców. O tych zachowaniach informował swoich przełożonych komisarz Partyzanckiego Zgrupowania Obwodu Sumskiego Siemion Rudniew: „[…] w większości wsi, przez które przechodzimy, polska ludność wita naszych strzelców z dużym zachwytem […] w wielu wsiach ludność przynosi strzelcom kwiaty. […] Mężczyźni wynoszą tytoń, a kobiety – mleko i chleb". Inny sowiecki dokument mówi o wezwaniach Polaków do objęcia ochroną rodzinnych wsi. Czytamy w nim: „[...] nie licząc na ochronę Niemców, Polacy przysyłali delegacje od miejscowej ludności do naszych oddziałów partyzanckich z prośbą o pomoc i zaproszeniem do rozlokowania się w ich wsiach".

Te rozpaczliwe „prośby", choć podyktowane chęcią obrony najbliższych, były niebezpieczne, bo narażały mieszkańców wsi na niemieckie pacyfikacje. Na Wołyniu w odwecie za współpracę z sowiecką partyzantką spalono kilka wsi, m.in.: Borszczówkę, Obórki, Lidawkę i Ludwikówkę. Sowieckie podziemie tymi masakrami zbytnio się nie przejmowało, choć dokładnie monitorowało rozwój antypolskiej akcji UPA.

Plonem obserwacji były raporty obrazujące dramatyczną sytuację Polaków. W jednym z nich dowódca oddziału partyzanckiego Iwan Szytow pisał: „[Ukraińscy nacjonaliści] gromią, palą, mordują Polaków siekierami i widłami. Reszta ucieka do centrów rejonowych, gdzie Niemcy biorą polską młodzież do policji, a pozostałych odsyłają do Niemiec. Policjantów kierują do walki z ukraińskimi nacjonalistami". Z kolei w sprawozdaniu z kwietnia 1943 r. jego autor zanotował: „Ukraińscy nacjonaliści prowadzą masowy terror w stosunku do polskiej ludności. We wsiach rejonów włodzimierzeckiego i wysockiego: Stepań, Deraźne, Rafałówka i innych spalili 200 zagród i co do jednego wyrżnęli ich polską ludność, włącznie z osobami w podeszłym wieku i dziećmi. Polscy mężczyźni tysiącami ze swoimi rodzinami chowają się w lasach. Delegacje polskiej ludności zwracają się do [sowieckich] oddziałów partyzanckich z prośbą o pomoc, zapraszają nasze oddziały do rozlokowania się we wsiach, w których całkowicie brakuje broni".

Sowiecka pomoc

Jest faktem, że generalnie na wezwania o pomoc w walce z UPA sowieccy dowódcy odpowiadali pozytywnie. Tak było 16 listopada 1943 r. podczas bitwy pod Hutą Starą, gdzie dowodzone przez Iwana Łytwynczuka (ps. Dubowoho) sotnie UPA zostały pokonane przez oddziały AK kpt. Władysława Kochańskiego „Bomby" i sowiecki Iwana Kotlarewa. Natomiast oddział bolszewicki płk. Nikołaja Prokopiuka pomógł odeprzeć upowskich napastników samoobronie z Przebraża 30 sierpnia 1943 r. Analizując kwestie współpracy polsko-bolszewickiej na Wołyniu, należy zauważyć, że czerwoni partyzanci pomimo udzielania pomocy i wykazywania empatii dla mordowanych Polaków tak naprawdę mieli zdecydowanie negatywny stosunek do Armii Krajowej.

Tego, jak w rzeczywistości postrzegano „sojuszników" z AK, można się dowiedzieć z pisma naczelnika CSRP Pantelejmona Ponomarienki z 22 czerwca 1943 r.: „W rejonach objętych wpływami naszych oddziałów partyzanckich i centrów partyjnych do działalności grup polskich, utworzonych przez nacjonalistyczne koła reakcyjne, nie

eprasa.pl 2986221024

dopuszczać. Kierowników w sposób niedostrzegalny usuwać i magazyny broni przejmować lub, jeśli będzie taka możliwość, brać takie oddziały pod swoje pewne wpływy. Wykorzystywać, kierując je do aktywnej walki z Niemcami. W odpowiedni sposób przegrupowując i rozdrabniając, należy pozbawić je znaczenia [jako] samodzielne jednostki bojowe i dołączyć do wielkich oddziałów [sowieckich], po czym po cichu przeprowadzić odpowiednią czystkę z elementów wrogich".

Świadomość owej postawy Sowietów mieli przywódcy polskiego podziemia. Delegat Rządu na Kraj Kazimierz Banach bez złudzeń konstatował: „Bolszewicy mają swoje jaczejki wśród społeczeństwa ukraińskiego i wśród band. Usiłują opanować kierownictwo bandami, a już i obecnie wiele band jest pod ich komendą. Stwarzają pozory, że ludność polską chcą brać w obronę. Wszędzie jednak tam, gdzie ludność zmuszona była z ich opieki korzystać, zmierzają tylko do tego, by z młodzieży polskiej stworzyć komunistyczne oddziały partyzanckie. Jeden z takich oddziałów jest już zorganizowany i przybrał nazwę Oddziału im. Tadeusza Kościuszki".

O prawdziwych intencjach sowieckich miały okazję przekonać się niektóre grupy samoobrony oraz oddziały partyzanckie AK. Szczególnie krytycznie, jak widać w cytowanym niżej raporcie, bolszewicy postrzegali oddział AK „Krwawa Łuna", dowodzony przez por. Jana Rerutkę „Drzazgę": „z [...] Polaków o skrajnie nacjonalistycznym nastawieniu został sformowany »specjalny batalion« o nazwie »Krwawa Łuna«". Przy czym od wszystkich ochotników wymagana była dobra znajomość języka rosyjskiego i ukraińskiego. Oddział z rozkazu „Oliwy" był wysyłany do wsi ukraińskich na akcje, w czasie których akowcy podawali się za sowieckich partyzantów. W takich sytuacjach do nakryć głowy przyszywali czerwone wstążki. Po wejściu do wsi oddział AK wydawał polecenie mieszkańcom, aby zebrali się w jednym miejscu, rzekomo dla odbycia „pracy polityczno-uświadamiającej". Po czym rozpoczynał „masowe zabijanie" cywili, grabież ich majątku i na końcu palił wieś. Jak podkreślano, zdarzenia takie miały prowadzić do zaostrzenia relacji między sowieckimi partyzantami a miejscową ludnością i „dać powód podziemnej prasie polskiej i ounowskiej do popularyzacji »sowieckich bestialstw«".

Oddział kpt. Władysława Kochańskiego „Bomby" bronił Polaków na Wołyniu

FOT. ARCHIWUM

Być może ta ocena legła u podstaw decyzji o likwidacji por. „Drzazgi". Stało się tak pomimo dobrych relacji, jakie łączyły go z partyzantami z oddziału płk. Nikołaja Prokopiuka, z którym przeprowadził wiele udanych walk z UPA. Wołyński konspirator por. Tadeusz Klimowski „Ostoja" tak opisał to wydarzenie: „Po kilku dniach [»Drzazga«] został (po wizytach sowieckich) zaproszony do sowieckiego obozu celem uzgodnienia wspólnej akcji na jeden z obiektów niemieckich. Pojechał z z[astęp]cą, lekarzem i strzelcem. Nie wrócił. Zwłoki wszystkich znaleziono w pobliżu sowieckiego obozu. Przebieg likwidacji został ustalony. Sowieci nasycili »bazę samoobrony« (nowa nazwa »skupisko polskie«) prasą ZPP i odeszli".

W lipcu 1943 r. ofiarą podobnej zbrodni padł dowódca ośrodka samoobrony w Hucie Starej por. Leon Osiecki.

Akcja „Bomba"

Najbardziej dramatycznym wydarzeniem było przerwanie przez bolszewików w grudniu 1943 r. niezwykle efektywnej działalności cichociemnego, dowódcy oddziału partyzanckiego AK kpt. Władysława Kochańskiego „Bomby". 21 grudnia został on porwany i deportowany do Moskwy, gdzie skazano go na karę wieloletniego więzienia.

Tak ów epizod opisał na podstawie rozmowy z kpt. Władysławem Kochańskim weteran 27. Dywizji Wołyńskiej Józef Turowski w swojej książce „Pożoga": „[...] do Bronisławówki pojechało 13 osób [...]. W sztabie oddziału radzieckiego jeden z oficerów, komisarz zwany »Bohunem«, zaprosił kapitana »Bombę« i jego ludzi na kolację do pobliskiego Zawołcza [...]. Podczas przyjęcia oficerskiego do izby wpadła dziewczyna i krzyknęła głośno »samoloty«. Wykorzystując konsternację, wszystkich Polaków rozbrojono, powalono na ziemię i powiązano. Podobnie, ale bardziej drastycznie, przebiegała akcja w kwaterze żołnierskiej, gdzie wtargnęła grupa partyzantów radzieckich. »Bohun« zastrzelił siedzącego przy stole Zygmunta Kopija, a pozostałych obezwładniono i powiązanych ułożono po dwóch na saniach, ukryto pod kocami i kożuchami, i pośpiesznie ruszono w drogę. Jazda trwała całą noc. Porwanych rozwiązano, pozwolono im zejść z sań, rozpalono ogniska. Funkcjonariusze NKWD zaczęli brać po dwóch Polaków i odprowadzać w kierunku lasu, skąd słychać było serie pistoletów maszynowych. Po przesłuchaniu przez komisarza »Bohuna« rozstrzelano: Franciszka Kopija, Stanisława Zygadło, Antoniego Szajewskiego, Jankowskiego, Henryka Chomicza i Jana Jankiewicza. Po upływie około dwóch godzin ruszono w drogę, by po kilku dniach przekroczyć linię frontu. Dalsza podróż odbywała się samochodami aż do Kijowa, skąd porwanych przewieziono samolotem do Moskwy i umieszczono w więzieniu na Łubiankach. Po kilku miesiącach uciążliwego śledztwa grupa porwanych Polaków stanęła przed specjalnym sądem. Sześciu uniewinniono, a kpt. Władysława Kochańskiego »Bombę«, »Wujka« skazano na 25 lat więzienia".

Zdecydowanie przypadkowy charakter miało natomiast starcie 27. Wołyńskiej Dywizji AK z sowieckim oddziałem partyzanckim NKGB D. Miedwiediewa pod Ośmigowiczami 16 lutego 1944 r. Podczas walki Polacy przekonani byli, że walczą z oddziałem UPA, nie wiedząc o tym, że Sowieci dwa dni wcześniej zajęli wieś.

Zdarzeń takich, choć już niekoniecznie przypadkowych, musiało być znacznie więcej, skoro kierownik grupy informacji Wydziału Propagandy i Agitacji KC KP(b) Ukrainy Słyńka informował: „Jeśli wcześniej organizacje prosikorskie zajmowały pozycję wyczekującą co do walki przeciwko Niemcom, jak również nie zaczepiały sowieckich partyzantów, to teraz mają one wrogi stosunek do działań partyzantów na terenie zachodnich obwodów Ukrainy. Są nieodosobnione wypadki zbrojnych starć sowieckich partyzantów z polskimi nacjonalistami". O tych wszystkich faktach warto jest także pamiętać, gdy się przypomina sowiecką pomoc udzieloną Polakom na Wołyniu w latach 1943–1944.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2986221024

Oferta
dla domu

Wszędzie tam, gdzie potrzebujesz pomocy.

Jesteśmy przy Tobie.

Wybierz ofertę „Przyszłość bez awarii”
i korzystaj z pomocy fachowców!

PGE
Zapewniamy energię

JUŻ DZIŚ PODPISZ UMOWĘ

Zapraszamy do
Biur Obsługi Klienta PGE
422 222 222
serwis@gkpge.pl
ebok.gkpge.pl lub **zapewniamyenergie.pl**

eprasa.pl 2986221024

1943 r. / Fragment książki „Dziewczyny z Wołynia”

W oblężonym kościele

– Ukraińscy nacjonaliści wściekle szturmowali naszą kryjówkę. Chcieli nas wszystkich zamordować – wspomina pani Teodora Zgliniecka

Niedzielne wyjazdy do kościoła to zawsze było wielkie wydarzenie. Szczególnie latem. Bryczka zaprzęgnięta w dwa piękne konie. Dziadek siedzący na koźle. Białe koszule, odświętne sukienki, kolorowe chusty na głowach kobiet. Malownicza polna droga prowadząca przez łąki i łany dojrzewającego zboża.

Tej niedzieli do kościoła pojechałam z tatą, dziadkiem i babcią. Mama została w domu z moimi dwiema malutkimi siostrzyczkami.

Kościół był obszerny, murowany. Tego dnia szczelnie wypełnili go wierni. Przez witraże wpadały do środka słupy słonecznego światła. Ksiądz w ozdobnym ornacie odprawiał mszę po łacinie. Atmosfera była bardzo podniosła.

Muszę przyznać, że troszkę mi się nudziło i – jak to dziecko – kręciłam się między ławkami. Początkowo wszystko przebiegało tak jak zwykle. Pod koniec nabożeństwa zaczęło się jednak dziać coś niepokojącego.

Ludzie zaczęli między sobą nerwowo szeptać, gdzieniegdzie podnosili się z ławek. Odprowadzali wzrokiem tych, którzy wychodzili z kościoła, podchodzili do okien. Nie rozumiałam, co się dzieje. Nagle ktoś wpadł do kościoła i krzyknął na całe gardło:

– Ukraaaaaaaińcy!!!

Słowo to odbiło się echem od kamiennych murów. Ludzie zerwali się z ławek, zaczął się zamęt. Część wiernych ruszyła w stronę drzwi, część przeciwnie – cisnęła się do środka. Ludzie całkowicie potracili głowy. Nie wiedzieli, co robić. Patrzyli na siebie bezradnie. Chyba nie mogli uwierzyć w to, że banderowcy dopuścili się takiego świętokradztwa. Oprawcy tymczasem otaczali kościół.

Coś ścisnęło mnie w żołądku. Poczułam przypływ przerażenia. Krew zaczęła mi pulsować w skroniach. Złapałam się kurczowo ojca.

– Tatusiu, uciekajmy! – pisnęłam.

Tacie nastrój paniki jednak się nie udzielił. Wziął mnie za rękę i spokojnie podszedł do ołtarza. Klęknął obok kupki żółtego piasku pozostałego po remoncie – pamiętam to doskonale – i zaczął się modlić. A ja, malutka dziewczynka, stałam nad nim, przebierając chudziutkimi nóżkami. I rozszerzonymi z przerażenia oczami obserwowałam rozgrywający się wokół mnie dramat.

Nagle rozległ się straszliwy huk. Ukraińscy nacjonaliści z wrzaskiem wtargnęli do świątyni! Zaczęli strzelać do ludzi z broni palnej, zobaczyłam wzniesione do ciosów siekiery. Wybuchł straszny popłoch, tłum zafalował. Ludzie w desperackiej próbie ratowania życia zaczęli się kłębić i tratować. Krzyczeli w przerażeniu. Banderowcy doskakiwali do nich – rąbali, cięli, strzelali z bliskiej odległości. Na posadzkę zaczęli padać pierwsi zabici i ranni. Na ściany kościoła bryzgały strugi krwi.

Tata zerwał się na równe nogi, chwycił mnie na ręce i rzucił się do drzwi z prawej strony ołtarza. Znaleźliśmy się w długim korytarzu. Razem z nami biegli inni ludzie. Prędko! Prędko! Byle dalej od szalejących rezunów. Byle dalej od śmierci. Korytarz prowadził do zakrystii. Aby dostać się do środka, należało pokonać pnące się do góry schody.

Tata tuż przed schodami zatrzymał się na ułamek sekundy przed małym, niziutkim okienkiem. Po co? Nie wiem. Zapewne chciał zorientować się w sytuacji. Czy Ukraińcy otoczyli kościół? Czy na dziedzińcu stoją jeszcze nasze konie? Może myślał o ucieczce na zewnątrz? Szukał ratunku?

Tego niestety już nigdy się nie dowiem. Tata nie zdążył się nawet schylić, żeby wyjrzeć przez to okno. Nagle poczułam, jak coś ciągnie mnie w dół. Jakby nagłe szarpnięcie. Runęliśmy razem na ziemię. Co się stało? Zdezorientowana rozejrzałam się wokół. Obok mnie leżał tata.

Zobaczyłam stróżkę krwi, która płynęła spod niego po podłodze. Płynęła w moim kierunku. O Boże! Zabili mi tatę! Zaczęłam krzyczeć. Tata został postrzelony w brzuch, kula musiała wpaść przez okienko. Wystrzelił ją jeden z obstawiających świątynię upowców.

eprasa.pl 2986221024

FOT. RAFAŁ GUZ/MATERIAŁY WYDAWCY

Ja coraz bardziej rozpaczałam, a tata wycharczał:

– Ludzie, dobijcie mnie!

Musiał straszliwie cierpieć, jęczał z bólu. Rana była niezwykle poważna. Ale ludzi w korytarzu było już bardzo mało. Większość tych, którzy zdołali wydostać się z kościoła, znajdowała się na górze, na zakrystii. Tata błagał, żeby ktoś go dobił, bo wiedział, że jak Ukraińcy dopadną go żywcem, będą się nad nim znęcać.

Nagle przez jęki taty i krzyki przerażonych wiernych przebił się zdecydowany, spokojny męski głos. Do dziś nie wiem, do kogo należał, ale nadal dźwięczy mi w uszach:

– Niech ktoś zabierze to dziecko.

Poczułam uścisk dłoni na ręce. Poprowadzono mnie schodami na górę. Tak niewiele kroków zabrakło tacie do życia… Do tego, żeby był z nami. On tymczasem został na dole, już nigdy go nie zobaczyłam.

Potem ludzie opowiadali mi, że przy tacie zatrzymał się jego kuzyn o nazwisku Szostak. Chciał go ratować, zatamować upływ krwi. Został przy nim do końca. Ukraińcy wbiegli w korytarz i wpadli na nich z impetem. Zgładzili obu.

Ja – wraz z innymi Polakami – znalazłam się na strychu zakrystii. Przez chwilę poczułam się, jakbym była w innym świecie. Tam na dole panował zamęt i popłoch. Krzyki, przerażenie i śmierć. Tu było spokojnie. Z dołu dolatywały tylko jakieś stłumione odgłosy.

Zdawaliśmy sobie jednak sprawę, że to tylko chwila wytchnienia. Że banderowcy nas odkryją, dopadną. Zrobią to samo co z ludźmi na dole. Że to tylko chwilowe ocalenie.

Wokół nas leżało mnóstwo rzeczy związanych z remontem. Jakieś liny, wiadra, deski, gruz, piasek. I cegły. A pośród tych rzeczy strwożeni, stłoczeni ludzie. Dyszący ciężko po ucieczce. Mężczyźni myśleli, jak się bronić. Co robić, żeby nie wpuścić na górę oprawców.

Na strychu odnalazła mnie babcia. Dziadek niestety został na dole. Nie, nie wiem, w jaki sposób zginął. Kiedy powiedziałam babci, że tatuś nie żyje, zaczęła łkać i powtarzać jak automat:

– Nie mam już syna. Nie mam już syna. Nie mam już syna…

Usiadłyśmy we dwie za kominem, przytuliłyśmy się do siebie i płakałyśmy razem. Chyba szykowałyśmy się na śmierć.

Przed nami znajdowało się okrągłe okienko. Jedyne na strychu. Wpadało przez nie słoneczne światło. I kule. Ukraińcy stojący na kościelnym podwórzu zorientowali się bowiem, że jesteśmy na górze, i zaczęli nas ostrzeliwać. W zależności od kąta ostrzału przemieszczaliśmy się to na jedną, to na drugą stronę strychu. Kule świstały i odbijały się rykoszetem od ścian.

Nagle przez okienko wpadł granat. Zaczął tańczyć na podłodze, kręcić się niczym bąk. Ktoś rzucił się w jego stronę, złapał i błyskawicznie cisnął na zewnątrz. W ostatniej chwili, bo po ułamku sekundy z dołu rozległ się huk i krzyk. Cóż za refleks i opanowanie! Gdyby nie ten odważny człowiek, rozerwałoby nas na strzępy. W małym pomieszczeniu nie mielibyśmy najmniejszych szans.

Banderowcy nie dali za wygraną. Przystawili do ściany drabinę i zaczęli się po niej piąć w górę. Oblężeni zaczęli ciskać w nich rozmaite ciężkie narzędzia i kawałki cegieł. Broniliśmy się! Walczyliśmy! Pojawiła się nadzieja.

Jednocześnie zacięta walka zawrzała na schodach. Banderowcy zaczęli wściekle rąbać drzwi siekierami. Na szczęście były bardzo masywne, mocne, wytrzymałe. Okute żelazem. Słyszeliśmy głuchy odgłos uderzeń i dobiegające z drugiej strony przekleństwa.

Drzwi trzęsły się w zawiasach po każdym uderzeniu, z framugi sypała się zaprawa. Serce waliło mi jak oszalałe.

OPOWIEŚĆ PANI TEODORY ZGLINIECKIEJ TO FRAGMENT NOWEJ KSIĄŻKI ANNY HERBICH „DZIEWCZYNY Z WOŁYNIA" (WYD. ZNAK) PREMIERA: 5 VII

eprasa.pl 2986221024

Ruiny kościoła w Kisielinie
FOT. WIKIPEDIA

Boże, co się stanie, jak oni wedrą się do środka!? Tymczasem uwięzieni szykowali się do obrony. Ludzie łapali to, co mieli pod ręką. Gotowi do podjęcia desperackiej walki o życie.

Jeden z mężczyzn chwycił jakieś metalowe narzędzie, może też siekierę. Podstawił ją w miejscu, w którym Ukraińcy rąbali drzwi. W pewnym momencie ostrze trafiło na ostrze. Stal jęknęła, posypały się iskry. Ukraińcy natychmiast odstąpili, cofnęli się.

Prawdopodobnie przestraszyli się, że mamy jakąś broń. Postanowili więc dobrać się do nas w inny sposób – podpalili schody! Musieli polać je jakimś łatwopalnym płynem, bo w mgnieniu oka stanęły w płomieniach. Ogień szybko się rozprzestrzenił. Zaczął trawić stopnie, od których z kolei zajęły się drzwi.

Strych powoli wypełniał się kłębami gęstego, gryzącego dymu. Dostawał się przed próg i szedł w górę. Ku nam. Zaczęliśmy kaszleć, dusić się. W półmroku błyskały białka rozszerzonych z przerażenia ludzkich oczu. Wielu ludzi było bliskich obłędu.

Na domiar złego w pomieszczeniu było gorąco jak w piecu, bo blaszany dach rozgrzał się do czerwoności od płomieni. Tak chyba musi wyglądać piekło.

Ci, którzy znaleźli się na strychu, mieli jednak w sobie ducha walki. Ducha oporu i chęć przeżycia. Skoro przetrwali już tyle, nie zamierzali się poddawać. O kapitulacji nie było mowy. Nie damy się tym mordercom.

Ktoś rzucił rozkaz, żeby siusiać do wiader i w ten sposób próbować gasić płonące drzwi. Rozkaz został natychmiast wykonany. Jak ludzie zaczęli polewać drzwi sikami, zaczęło potwornie śmierdzieć. Był to fetor, którego wprost nie dało się wytrzymać. Zaczęliśmy jeszcze bardziej kasłać. Pomysł okazał się jednak trafiony. Płonące drzwi udało się jakimś cudem ugasić. Zaczął zresztą padać rzęsisty deszcz, pożar, który trawił zakrystię, powoli zaczął wygasać.

Właśnie zdałam sobie sprawę, że opowiadam to wszystko trochę chaotycznie. Proszę jednak zrozumieć. Byłam przestraszona, zapłakana. Wszystko działo się tak szybko. Olbrzymie, ekstremalne emocje. Śmierć taty, zagrożenie życia, oblężenie i walka. Widok krwi i śmierci. To było zbyt dużo jak na małą dziewczynkę.

Babcia mnie przytulała i starała się ukoić. Z wycieńczenia w końcu zasnęłam, nie wiem na jak długo. Pamiętam, że jak się obudziłam, bardzo chciało mi się pić. Nie mogłam ugasić pragnienia, nie mieliśmy przecież żadnej wody.

Ukraińcy w końcu dali za wygraną. Odstąpili od oblężenia. Prawdopodobnie przestraszyli się, że na miejsce przybędą Niemcy. Za dnia słup dymu był przecież widoczny z bardzo daleka. Strzały ustały, ucichły wrzaski. Zapanowała cisza. Tylko krople deszczu miarowo uderzały w dach.

Ludzie byli nieludzko zmęczeni, na wpół zatruci dymem. Brudni. Patrzyli się na siebie z niedowierzaniem. Będziemy żyć! Jesteśmy uratowani! Trudno opisać to, co działo się w naszych duszach. Gdy już dotarło do nas, że zwyciężyliśmy, pojawił się kolejny problem. W jaki sposób wydostać się na zewnątrz?

Schody były wypalone, ich resztki cały czas się tliły, były rozżarzone. O wyjściu tamtędy nie było mowy. Ratunkiem okazało się wspomniane okrągłe okienko. To samo, przez które wcześniej wlatywały pociski i granat. Teraz okazało się jedyną drogą ratunku.

Mężczyźni pozbierali sznury – na szczęście zalegało ich na strychu sporo – i zaczęli je skręcać ze sobą w jedną, mocną linę. Następnie spuścili ją przez okienko na ziemię.

Zanim pierwsza osoba zeszła na dół, ocaleni zrzucili na podwórze jakiś siennik. Z głuchym łoskotem uderzył w ziemię. Chcieli w ten sposób sprawdzić, czy na dole nie czają się upowcy. Gdyby tak było – niechybnie rzuciliby się na ten siennik, biorąc go w ciemności za człowieka.

Gdy okazało się, że na dole nikogo nie ma, pierwszy człowiek ostrożnie spuścił się na dół po linie. Na wszelki wypadek obszedł jeszcze cały teren. Upewnił się, że banderowcy naprawdę odstąpili. Kiedy okazało się, że teren jest „czysty", zaczęliśmy po kolei schodzić na dół.

Wreszcie nadeszła moja kolej. Proszę mnie nie pytać, co czułam, gdy zjeżdżałam na ziemię. W ciemność. Byłam dosłownie przerażona. Przewiązano mnie liną wpół, a na drugiej pętli musiałam położyć stopę. Trzymałam się kurczowo oburącz sznura i czekałam, aż druga stopa dotknie ziemi.

Kiedy obie znalazłyśmy się na ziemi, babcia chciała iść do kościoła, żeby zobaczyć ciała syna i męża. Ale ludzie ją przed tym powstrzymali. Przekonali ją, że należy jak najszybciej uciekać. Kto wie, może oprawcy wrócą? Nie ma co ryzykować, trzeba uciekać. Pobiegłyśmy więc przed siebie razem z innymi ocalonymi.

Niebo tymczasem powoli zaczęło się przecierać. Świtało. Szło się niezwykle ciężko, stopy miałam przemoczone od mokrej trawy. Dosłownie dygotałam z zimna i emocji. Szłyśmy z babcią bezdrożami, lasami, polami. Tak żeby nikt nas nie wykrył. Nie zobaczył.

Miałam sześć lat i nie zdawałam sobie sprawy, że uczestniczyłam w wydarzeniu, które miało przejść do wielkiej historii. Wydarzeniu, które po latach stało się symbolem ludobójstwa Polaków dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów.

Byłam świadkiem masakry i heroicznej obrony kościoła w Kisielinie 11 lipca 1943 r. Jednego z najbardziej dramatycznych epizodów wołyńskiej krwawej niedzieli.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2986221024

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ KSIĄŻKA P. LONGERICHA „HITLER. BIOGRAFIA"

MYŚLICIE, ŻE WIECIE JUŻ WSZYSTKO O ADOLFIE HITLERZE? JESTEŚCIE W GRUBYM BŁĘDZIE!

NOWA BIOGRAFIA WODZA III RZESZY ODSŁANIA NIEZNANE WCZEŚNIEJ SZOKUJĄCE FAKTY Z ŻYCIA FÜHRERA I PRAWDZIWE MECHANIZMY FUNKCJONOWANIA BRUNATNEGO IMPERIUM. WYBITNY NIEMIECKI HISTORYK PETER LONGERICH OPARŁ SIĘ NA NAJNOWSZYCH BADANIACH I NIEDAWNO ODKRYTYCH ŹRÓDŁACH. WRESZCIE UDAŁO SIĘ ODDZIELIĆ FAKTY OD MITÓW I PRZEDSTAWIĆ PRAWDZIWY OBRAZ HITLERA. CZŁOWIEKA, KTÓRY ZDEMOLOWAŁ PÓŁ ŚWIATA I POZOSTAWIŁ PO SOBIE GRUZY, ZGLISZCZA I OCEAN PRZELANEJ KRWI. BRAWUROWO NAPISANA KSIĄŻKA!

Piotr Zychowicz
autor *Paktu Ribbentrop-Beck i Obłędu '44*

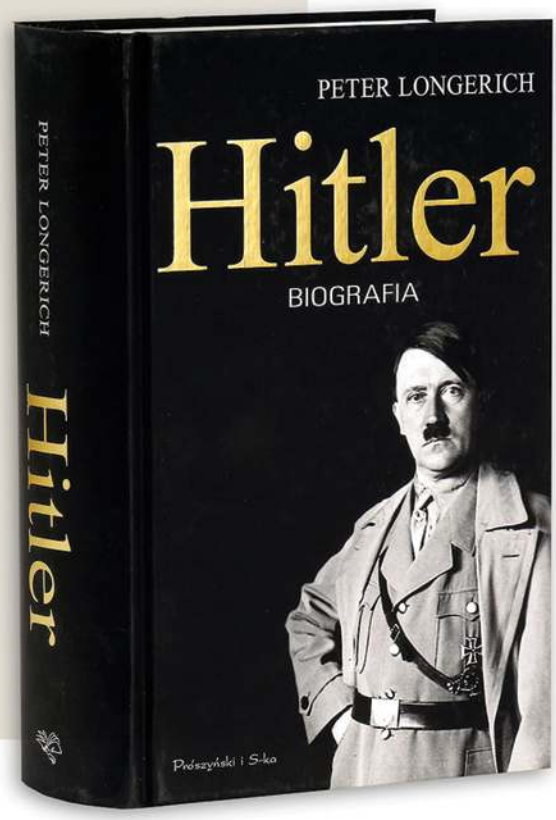

99 zł
oszczędność 96 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI:
E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 2986221024

Ostra debata

Wołodymyr Wjatrowycz

Wiatrowycz: To był konflikt AK z UPA

PIOTR WŁOCZYK: Dlaczego tak bardzo krytykuje pan nowelizację ustawy o IPN?

WOŁODYMYR WJATROWYCZ: Ponieważ jej zapisy blokują dyskusję między historykami z obu krajów. Istnieje obawa, że jeżeli dany historyk wyrazi opinię, iż konflikt między Polakami a Ukraińcami na przełomie lat 1943 i 1944 nie był ludobójstwem, tylko konfliktem między dwoma narodami, to może on pójść do więzienia za takie słowa. Nie można penalizować opinii na temat historii.

Czy jednak Ukraina pierwsza nie zaczęła tego robić? Przecież w 2015 r. ukraiński parlament uchwalił ustawę, która zakazuje wyrażania pewnych krytycznych opinii na temat ukraińskich weteranów walk z tamtego okresu.

Nie, nie mogę się z tym zgodzić. W ukraińskim prawie nie ma mowy o penalizacji. Nie pójdzie pan do ukraińskiego więzienia za wypowiadanie kontrowersyjnych – z ukraińskiej perspektywy – opinii na temat ludzi, którzy walczyli o niepodległość Ukrainy.

To prawda, że ustawa nie przewiduje za to konkretnej kary, ale wyraźnie zabrania wyrażania pewnych opinii o, przykładowo, UPA. To jest fakt.

Po pierwsze, ta ustawa nie dotyczy tylko UPA, lecz ukraińskiego ruchu wyzwoleńczego jako całości. Po drugie, po tym, gdy nasz parlament uchwalił to prawo, mieliśmy na Ukrainie wielką debatę na ten temat. Wielu historyków, polityków i publicystów wzięło w niej udział. Również polscy i ukraińscy historycy zabierali wówczas głos. I nikt z nich nie został oskarżony przez ukraińskiego prokuratora! Z kolei w polskiej nowelizacji ustawy o IPN mowa jest o wsadzaniu ludzi do więzień. To jest duża różnica. To prawo może być użyte przeciw ukraińskim historykom. Ja jestem jednym z nich. A wszystko dlatego, że mam inną opinię na temat polsko-ukraińskiego konfliktu w czasie II wojny światowej.

W Polsce powszechnie nazywane jest to „ludobójstwem", ale pan twierdzi, że była to „druga wojna polsko-ukraińska"...

Tak, ponieważ w XX w. do przeprowadzenia ludobójstwa potrzebne było państwo z całą jego machiną. Tylko państwa mogą stworzyć warunki do masowego mordowania. Wszystkie przykłady ludobójstw w XX w. pokazują, że przeprowadzały je wyłącznie państwa.

Słucham? Przecież nie da się obronić tej tezy...

To pokazuje nam historia. Ofiary padały po polskiej stronie, ale także po ukraińskiej. Sprawy kryminalne dotyczą zarówno masowych zbrodni przeciwko polskim cywilom, jak i przeciwko ukraińskim. Dlatego uważam, że była to wojna, w której główne role odgrywały Armia Krajowa i UPA.

Zbrodnia wołyńska to minimum 60 tys. zabitych cywili, w tym kobiet i dzieci. Ci ludzie zostali wymordowani w potwornie okrutny sposób. Jak więc może pan nazywać to wojną między AK a UPA?

Żadne dane nie potwierdzają tych liczb. To, co pan wymienił, to polityczne liczby. Myślę, że było mniej niż 60 tys. polskich ofiar, chociaż zgadzam się, że Polaków zginęło wówczas więcej niż Ukraińców. Stało się tak jednak tylko dlatego, że Polacy byli mniejszością na tamtych terenach. Proszę pamiętać, że AK i UPA uznawały się za strony tego konfliktu. AK nigdy nie rozpoczęłaby negocjacji z UPA, gdyby faktycznie doszło do ludobójstwa.

Panie przewodniczący, polskie wioski były niszczone jedna po drugiej, a ich mieszkańcy brutalnie wyrzynani. Wszyscy widzieliśmy te zdjęcia...

Głównymi uczestnikami były AK i UPA, ale cywile również brali w tym udział i z jednej strony byli oni głównymi ofiarami tej wojny, ale z drugiej strony dochodziło wówczas do aktów, które można nazwać „żakerią" – ukraińscy cywile z jednej wioski atakowali polskich cywili i na odwrót. Są też przykłady całych ukraińskich wiosek, które zostały wymordowane...

W takich momentach nie można nie odnieść wrażenia, że w sprawach historycznych nie ma szans na porozumienie między Polską a Ukrainą.

Nie uważam tak. Istnieje przestrzeń do dyskusji. Możemy mieć różne opinie na temat polsko-ukraińskiego konfliktu, ale ważne, by nie było prób narzucania swojej opinii ani wymuszania przyznania się do ludobójstwa. Uzależnianie obecnych relacji między naszymi państwami od oceny przeszłości to droga donikąd. ©℗

Wołodymyr Wjatrowycz jest przewodniczącym Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej.

eprasa.pl 2986221024

o Wołyniu

Ewa Siemaszko

Siemaszko: To było okrutne ludobójstwo

PIOTR WŁOCZYK: Czy państwo polskie powinno karać za tzw. kłamstwo wołyńskie?

EWA SIEMASZKO: Oczywiście, że tak. Przecież tu chodzi o prawdę w absolutnie fundamentalnej sprawie.

Powinno się za to karać aż do pozbawienia wolności włącznie?

To zależy od tego, jaką formę przybiera to kłamstwo, w jaki sposób jest ono głoszone.

Załóżmy, że mamy do czynienia z „recydywistą", który od lat zaprzecza ludobójstwu. Widziałaby pani taką osobę za kratami?

Tak, widziałabym taką osobę za kratami.

Więzienie za wyrażanie opinii? To nie wpłynie na wolność debaty?

To akurat nie jest żadna „zwykła" opinia. To sprawa fundamentalna, określona w prawie międzynarodowym jako „zbrodnia nad zbrodniami". Jeżeli nie będziemy walczyli z zakłamaniem w odniesieniu do zbrodni ludobójstwa, to wchodzimy na drogę, która prowadzi do powtórzenia historii. Dlatego tak ważne jest wytyczenie jasnej granicy w tych kwestiach. Nie można godzić się ani na zaprzeczanie zbrodniom, ani na gloryfikację sprawców. Ustawa karząca „kłamstwo wołyńskie" wpisuje się w profilaktykę dotyczącą zbrodni ludobójstwa.

Nie ma pani nawet cienia wątpliwości, że to było ludobójstwo?

Nie można mieć co do tego wątpliwości. Pion śledczy IPN, pełen znawców prawa, jednoznacznie określił tę zbrodnię jako ludobójstwo. Nie trzeba być zresztą wysoko wykwalifikowanym prawnikiem, żeby na podstawie analizy przebiegu zbrodni i motywacji zbrodniarzy stwierdzić, że to wszystko odpowiada definicji ludobójstwa z konwencji ONZ z 1948 r.

Jakie wymieniłaby tu pani żelazne dowody?

Przede wszystkim mordowanie z powodów narodowościowych. Polacy byli przecież zabijani tylko dlatego, że byli Polakami. Pamiętajmy, że towarzyszyło temu hasło: „Ukraina dla Ukraińców". Sama skala zbrodni nie jest warunkiem niezbędnym do uznania, czy dana zbrodnia była ludobójstwem, czy nie. Oczywiście w przypadku zbrodni przeciwko pojedynczym osobom nie mówimy o ludobójstwie, ale wtedy na Wołyniu i na sąsiednich obszarach Polacy byli mordowani w sposób masowy. Jeżeli mordowanie dotyczy całych grup ludzi, to najważniejszym kryterium jest narodowość ofiar.

W takich dyskusjach Ukraińcy podkreślają własne ofiary i mówią: „Wtedy krew lała się po obu stronach".

To wielka manipulacja. Akcji odwetowych na Ukraińcach nie można równać ze zorganizowaną, zaplanowaną, starannie przygotowaną akcją ludobójczą. To są akcje zupełnie innego typu. Odwety były reakcją na zbrodnię ludobójstwa. Pod względem liczby zabitych polskie odwety w żadnym stopniu nie równają się skali zbrodni OUN/UPA. Statystycznie na 10 zabitych Polaków przypada jeden zabity Ukrainiec. Jak więc można to zrównywać? Warto wiedzieć, że Ukraińcy często włączają swoich zabitych w walkach zbrojnych, a także ofiary pacyfikacji niemieckich do ofiar cywilnych polskich akcji odwetowych.

Zgody między Polakami a Ukraińcami nie ma oczywiście w kwestii liczby ofiar tej zbrodni...

Dolna granica dla Wołynia to 60 tys. wymordowanych Polaków. Natomiast na pozostałych terenach było to do 70 tys. osób. W sumie mówimy więc o ok. 130 tys. zabitych Polaków. Badania trwają, więc mogą być korekty szacunków. Jeżeli chodzi o Ukraińców, to dolną granicą jest 2 tys. zabitych cywili na Wołyniu, a na pozostałych obszarach ok. 5 tys. osób. To jednak tylko nasze szacunki na podstawie analiz źródeł i przebiegu wydarzeń. Jeżeli chodzi o polskie ofiary, to mamy całe listy zabitych, w większości zweryfikowane.

Ukraińcy twierdzą, że przymuszanie ich do przyznania, iż było to ludobójstwo, zagraża wzajemnym stosunkom w przyszłości. Nie trafia do pani argument, że najważniejsza jest wspólna przyszłość?

To kłamstwo już dawno zaszkodziło naszym stosunkom. Ten ciężar niesiemy ze sobą przez wiele lat. Po powstaniu państwa ukraińskiego nic się w tej sprawie nie zmienia na lepsze, a wręcz jest coraz gorzej. My domagamy się po prostu prawdy, więc to państwo ukraińskie odpowiedzialne jest za pogarszanie się wzajemnych stosunków. W odniesieniu do zbrodni wołyńskiej po stronie ukraińskiej mamy do czynienia z butą sowiecko-nacjonalistyczną. ©℗

Ewa Siemaszko jest badaczką zbrodni wołyńskiej, współautorką książki „Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939–1945".

eprasa.pl 2986221024

Polesie – Wołyń / Ataman Taras Bulba-Boroweć i powstanie UPA

Bulba kontra Bandera

Mirosław Szumiło

Taras Bulba za wroga numer jeden Ukrainy uważał bolszewików. Sprzeciwiał się mordowaniu polskich kobiet i dzieci

Ukraińska Powstańcza Armia (UPA) kojarzy nam się jednoznacznie z nazwiskiem Stepana Bandery i ludobójstwem wołyńskich Polaków w 1943 r. W rzeczywistości jednak UPA powstała już w końcu 1941 r. na Polesiu, a jej twórcą był rywal Bandery – Taras Bulba-Boroweć. Dopiero wiosną 1943 r. wrogiego przejęcia tej nazwy oraz części oddziałów dokonali banderowcy (działacze Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów). W wielu polskich wspomnieniach i książkach historycznych obie te formacje ukraińskiego podziemia są traktowane jednakowo, a tzw. bulbowców oskarża się o popełnienie licznych zbrodni. Jednak dokumenty mówią co innego: „Taras Bulba" sprzeciwiał się mordowaniu Polaków, a przypisywane jego podwładnym zbrodnie były dziełem banderowców.

Kozak z Polesia

Taras Boroweć urodził się 9 marca 1908 r. we wsi Bystrzyce koło Kostopola na Polesiu Wołyńskim. Miejscowość ta znalazła się potem w granicach II Rzeczypospolitej, ale zaledwie 5 km od granicy sowieckiej. Ojciec Tarasa był biednym ukraińskim chłopem, miał tylko 3 ha ziemi i dziewięcioro dzieci na utrzymaniu. Według opowieści rodzinnych jeden z przodków był Kozakiem i pod wodzą hetmana Mazepy wojował przeciwko Moskalom. Młody Taras wychowywał się pod wpływem kozackich tradycji, czytał powieści historyczne na ten temat. Jego idolem został Taras Bulba – legendarny ataman kozacki z powieści Nikołaja Gogola.

Po ukończeniu kilku klas szkoły powszechnej, w wieku 14 lat, Taras Boroweć musiał zacząć zarabiać na własne

eprasa.pl 2986221024

Rekonstrukcja napadu UPA na polską wioskę na Wołyniu, Radymno, 2013 r. FOT. EAST NEWS

Taras Boroweć „Taras Bulba" FOT. WIKIPEDIA

utrzymanie. Poszedł do pracy w wołyńskich kamieniołomach, słynących na całą Polskę z doskonałej jakości granitu i bazaltu. Szybko nauczył się fachu kamieniarza, który zapewniał mu środki do życia na godziwym poziomie. Odbył także służbę wojskową w 3. Pułku Strzelców Podhalańskich w Bielsku. Po powrocie z wojska ożenił się z wołyńską Czeszką Anną Opoczeńską. Mógł dalej prowadzić spokojny żywot w rodzinnych stronach, ale wciągnęła go działalność polityczna. Na początku 1933 r. stworzył własną nielegalną organizację – Ukraińskie Odrodzenie Narodowe. Jej dalekosiężnym celem miała być walka o niepodległość Ukrainy, prowadzona zarówno przeciwko Rosji oraz komunistom, jak i przeciw Polsce. Wbrew tym górnolotnym zamierzeniom organizacja była bardzo niewielka i nie odegrała znaczącej roli. Według niektórych źródeł miała utrzymywać kontakty z Organizacją Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), ale nie ma na to jednoznacznych dowodów. Władze polskie zarzucały „Tarasowi Bulbie" kolportaż nielegalnej literatury nacjonalistycznej.

W czerwcu 1934 r. Taras Boroweć znalazł się w gronie 600 osób aresztowanych po zamachu na ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego, dokonanym przez bojowników OUN. Został wysłany do słynnego obozu w Berezie Kartuskiej, gdzie doznał wszelkich „atrakcji" związanych z tym miejscem odosobnienia. Siedział tam z działaczami OUN, m.in. Romanem Szuchewyczem – późniejszym dowódcą banderowskiej UPA. Po wyjściu z obozu (w marcu 1935 r.) na pewien czas zaprzestał działalności politycznej. Założył własną kopalnię czarnego granitu w Karpiłówce, rozwijając ją w przedsiębiorstwo zatrudniające kilkuset ludzi. Z jego kopalni pochodził kamień, z którego wykonano płytę nagrobną na mogiłę matki i serce marszałka Piłsudskiego na wileńskiej Rossie.

We wrześniu 1939 r. Boroweć znalazł się w oblężonej Warszawie i pozostał w tym mieście po zajęciu go przez Niemców. Nawiązał tam kontakt z prezydentem Ukraińskiej Republiki Ludowej na uchodźstwie Andrijem Liwyćkim oraz innymi petlurowcami – weteranami armii ukraińskiej walczącej u boku Wojska Polskiego z bolszewikami w 1920 r. W porozumieniu z Liwyćkim w sierpniu 1940 r. przedarł się przez granicę Generalnego Gubernatorstwa w okolicach Włodawy, aby zorganizować ukraińską konspirację na okupowanym przez Sowietów Polesiu. Miał to być zalążek przyszłej armii powstańczej. NKWD szybko wpadło na trop jego organizacji, ale nie zdołało go dopaść.

Konflikt z OUN-B

Wielka kariera Tarasa Borowcia (który przyjął pseudonim Taras Bulba) zaczęła się po ataku Niemiec na Związek Sowiecki 22 czerwca 1941 r. Na czele małej grupy partyzantów rozbroił sowiecką milicję w Sarnach i przejął kontrolę nad miastem. Po nadejściu Niemców otrzymał od nich zgodę na utworzenie liczącej tysiąc ludzi Siczy Poleskiej, której zadaniem było oczyszczenie bagien Polesia z rozbitków Armii Czerwonej. W końcu sierpnia opanował miasto Olewsk i przeniósł się tam ze swoim sztabem. Przez trzy miesiące Olewsk był stolicą ukraińskiego państewka rozciągającego się aż do Pińska. W swoich odezwach do ludności Boroweć odwoływał się do tradycji Ukraińskiej Republiki Ludowej i kozaczyzny. Swoje przywiązanie do tradycji podkreślał kozackim strojem z szablą u boku.

eprasa.pl 2986221024

Pistolet maszynowy PPSz FOT. ARCHIWUM

Chociaż przedstawiciele ukraińskiej inteligencji uważali taką maskaradę za komiczną, zwykłym, prostym ludziom taki wizerunek atamana bardzo imponował. Miał wówczas zaledwie 33 lata, przy czym był o rok starszy od swojego politycznego rywala Stepana Bandery.

W listopadzie 1941 r. Niemcy postanowili przejąć z rąk Borowcia administrację na terenie Polesia. Zażądali także zaangażowania jego ludzi do przeprowadzania mordów Żydów. W tej sytuacji „Taras Bulba" zdemobilizował liczące ok. 3 tys. ludzi oddziały Siczy Poleskiej i przeszedł do konspiracji. Jego organizacja zaczęła używać nazwy Ukraińska Powstańcza Armia. Początkowo ograniczała się ona do szkolenia młodzieży i działalności propagandowej. Od kwietnia 1942 r. Boroweć przeszedł do czynnych akcji przeciwko Niemcom, ale na ograniczoną skalę. Szczególnie dbał o swój wizerunek. Wśród ludności rozpowszechniano jego ulotki i fotografie w kozackim stroju. Dzięki temu partyzantka UPA stała się szybko popularna, niewspółmiernie do siły jej oddziałów.

Co dla nas najistotniejsze, Taras Bulba-Boroweć znalazł się w konflikcie z ukraińskimi nacjonalistami z OUN-B (czyli frakcji OUN pod przywództwem Stepana Bandery). Chciał budować przyszłe państwo ukraińskie na zupełnie innych podstawach ideowych. W liście do banderowców pisał: „Wy wyznajecie faszystowską zasadę bezwzględnej dyktatury Waszej partii, a my stoimy na pozycjach duchowej jedności całego narodu na zasadach demokracji, gdzie wszyscy mają równe prawa i obowiązki". Jednocześnie zadawał im retoryczne pytania: „Za co walczycie? Za Ukrainę czy OUN? Za ukraińskie państwo czy za dyktaturę w tym państwie? Za naród ukraiński czy tylko za swoją partię?".

Mimo tych różnic Boroweć podjął rozmowy z banderowcami w sprawie koordynacji wspólnej walki przeciwko Niemcom i sowieckiej partyzantce. Do porozumienia nie doszło, a jednym z głównych punktów spornych był stosunek do Polaków. W trakcie negocjacji banderowcy zażądali od niego, aby „oczyścić całe terytorium powstańcze z ludności polskiej". Odrzucił tę propozycję, stwierdzając: „Uwolnić jakieś terytorium od narodowych mniejszości może jedynie suwerenne państwo drogą wymiany ludności, a nie armia regularna poprzez represje. W odpowiedzi na wrogie polskie akty należy karać wyłącznie samych winowajców, a nie całą ludność. Zasadę zbiorowej i rodzinnej odpowiedzialności mogą stosować tylko barbarzyńcy, a nie kulturalna armia".

Plama na honorze

W jego opinii „walka" z polskimi cywilami plamiła honor żołnierza armii ukraińskiej, za którego niewątpliwie się uważał. W liście do przywódców OUN-B z 25 marca 1943 r. pisał: „Zamiast przestrzegania ustalonej taktyki, Organizacja [OUN-B] w ostatnich dniach otworzyła dla Ukraińców jeszcze jeden front – polski. Poszły w ruch siekiery i żagwie. Wyrąbuje się i wiesza całe polskie rodziny i wypala się polskie zabudowania. »Siekiernicy« wyrąbują i wieszają w haniebny sposób bezbronne kobiety i dzieci...".

W późniejszym liście otwartym do kierownictwa OUN Bandery z 4 sierpnia 1943 r. przedstawił dobitnie swoje stanowisko w kwestii polskiej: „Czy prawdziwy rewolucjonista-państwowiec może podporządkować się przywództwu partii, która budowę państwa rozpoczyna od wyrzynania mniejszości narodowych i obłędnego palenia ich domostw? Ukraina ma bardziej groźnych wrogów niż Polacy. Każde dziecko wie, że wyniszczenie kilkuset Polaków w niektórych obwodach nie zlikwiduje polskiego niebezpieczeństwa dla Ukrainy. Naród polski tak czy inaczej istnieje, i jak długo będzie on w tej samej niewoli, co i my, tak długo w następstwie okoliczności będzie on nie naszym wrogiem, a sojusznikiem. Jakie zamiary mogą mieć Polacy wobec nas w przyszłości i jak ułożą się nasze stosunki – to inna rzecz. Dziś, zamiast wzajemnego wyrzynania się, musimy montować jeden front rewolucyjny wszystkich narodów zniewolonych przeciwko okupantom, a nie tworzyć sobie zbędne fronty".

Bulba-Boroweć podejmował próby rozmów z przedstawicielami polskiego podziemia, ale nie przyniosły one konkretnych rezultatów. W odezwie do Polaków z 16 czerwca 1943 r. wzywał do powstrzymania wyniszczającej oba narody polityki narzuconej przez wrogów, Niemców i Sowietów, oraz podjęcia wspólnego wysiłku na rzecz walki wyzwoleńczej. Polakom przyznawał prawo do posiadania niepodległego państwa wyłącznie w granicach etnograficznych. Natomiast rząd Ukrainy miał gwarantować poszanowanie praw polskiej mniejszości narodowej na zasadach demokratycznych. Kwestię polsko-ukraińskich sporów granicznych deklarował odłożyć na później, do rozstrzygnięcia przez rządy obu niepodległych państw.

Od UPA do UNRA

Wiosną 1943 r. banderowcy celowo ukradli bulbowcom nazwę „UPA" dla swoich oddziałów zbrojnych, gdyż doskonale zdawali sobie sprawę, że była ona dobrze rozpoznawalna na Wołyniu i Polesiu. Początkowo banderowska UPA podszywała się niejednokrotnie pod oddziały partyzantki bulbowskiej w celu zdobycia zaufania miejscowej ludności ukraińskiej. Prawdopodobnie z tej przyczyny wzięły się fałszywe oskarżenia pod adresem bulbowców o udział w eksterminacji ludności polskiej na Wołyniu. Polacy, podobnie jak sowieccy partyzanci, bardzo często nie rozróżniali bowiem oddziałów banderowskiej UPA od UPA Bulby-Borowcia.

Po przechwyceniu przez politycznych konkurentów szyldu UPA Bulba-Boroweć zmienił nazwę swojej formacji na UNRA – Ukraińska Armia Narodowo-Rewolucyjna. Zrewanżował się w ten sposób banderowcom, podkradając im nazwę, którą posługiwali się w 1941 r. Latem 1943 r. banderowcy zaczęli polo-

eprasa.pl 2986221024

wać na oddziały Borowcia, rozbrajać je i siłą wcielać do swojej UPA. 19 sierpnia znienacka napadli na sztab UNRA, biorąc wielu jego ludzi do niewoli, w tym żonę – Annę Opoczeńską-Boroweć. Gdy przestała być im potrzebna w charakterze zakładnika, została powieszona jako „polski szpieg".

Jesienią 1943 r. oddziały „Bulby" były już słabe i nieliczne. Znajdując się w krytycznej sytuacji, Boroweć zwrócił się z propozycją współpracy do Niemców. Wyjechał do Warszawy, tam został podstępnie aresztowany i osadzony w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen. Rok później, jesienią 1944 r., wraz z innymi ukraińskimi więźniami politycznymi uzyskał wolność. Na początku 1945 r. Niemcy zgodzili się na stworzenie u swojego boku Ukraińskiej Armii Narodowej. Boroweć objął w niej dowództwo brygady spadochronowej, którą planowano sformować na terenie Czech i przerzucić na Polesie.

Zanim brygada weszła do akcji, Niemcy przegrały wojnę. Boroweć został rozpoznany i 19 sierpnia 1945 r. zatrzymany przez Brytyjczyków, m.in. pod zarzutem zbrodni popełnionych na Polakach. Jednak po roku zwolniono go, a w specjalnym komunikacie ogłoszono, że według ustaleń śledztwa „niszczenie bezprawnymi metodami walki polskiej ludności cywilnej oraz innych mniejszości narodowych na Ukrainie miało faktycznie miejsce, ale akcje te prowadziły jedynie te partyzanckie oddziały, które były podporządkowane politycznie i wojskowo nie atamanowi Bulbie, lecz radykalno-faszystowskiej partii Stepana Bandery".

W 1945 r. NKWD założyło dużą sprawę operacyjno-śledczą na Borowcia, aresztując wielu jego zwolenników.

Oddział UPA. Nazwa „Ukraińska Powstańcza Armia" została ukradziona przez banderowców Tarasowi Borowciowi FOT. ARCHIWUM

W 1950 r. Sowieci ustalili, że pracował on jako wykładowca w amerykańskiej szkole wywiadowczej. Wkrótce potem zaangażował się w działalność emigracyjnych organizacji antykomunistycznych w Stanach Zjednoczonych. Pisał też artykuły publicystyczne do prasy. Zmarł 15 maja 1981 r. w Nowym Jorku. Pozostawił po sobie wspomnienia pt. „Armia bez państwa" („Armija bez derżawy"). Wydano je w niepodległej Ukrainie w wersji ocenzurowanej, bez rozdziałów poświęconych ostrej krytyce ruchu banderowskiego.

Taras Bulba-Boroweć za najważniejszego wroga Ukrainy uważał Sowietów, na drugim miejscu w czasie wojny stawiał Niemców, dopiero na trzecim – Polaków. Tymczasem dla banderowców w 1943 r. wrogiem numer jeden stali się faktycznie Polacy. Najnowsze badania historyków potwierdzają, że bulbowcy nie mieli nic wspólnego z ludobójstwem na Wołyniu. Kilkakrotnie starli się w walce z Armią Krajową, ale nie dokonywali masowych mordów ludności cywilnej. Bulba-Boroweć sam został ofiarą terroru banderowców, którzy zamordowali mu żonę, rozbili jego formację i ukradli szyld UPA. Dzisiaj apologeci nacjonalizmu na Ukrainie próbują wybielać banderowców, wbrew faktom przypisując ich zbrodnie bulbowcom.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem IPN

REKLAMA

ODKRYJ NA NOWO HISTORIĘ Z KOMIKSAMI KULTURY GNIEWU

Wciągająca historia relacjonująca burzliwe kontakty Stanów Zjednoczonych z krajami Bliskiego Wschodu.

Riad Sattouf cofa nas do czasów libijskiej dyktatury Kaddafiego i syryjskiej Hafiza al-Asada.

Jeden z najlepszych komiksów historycznych w dziejach gatunku.

kultura gniewu

SZUKAJCIE W DOBRYCH KSIĘGARNIACH i na www.kultura.com.pl

eprasa.pl 2986221024

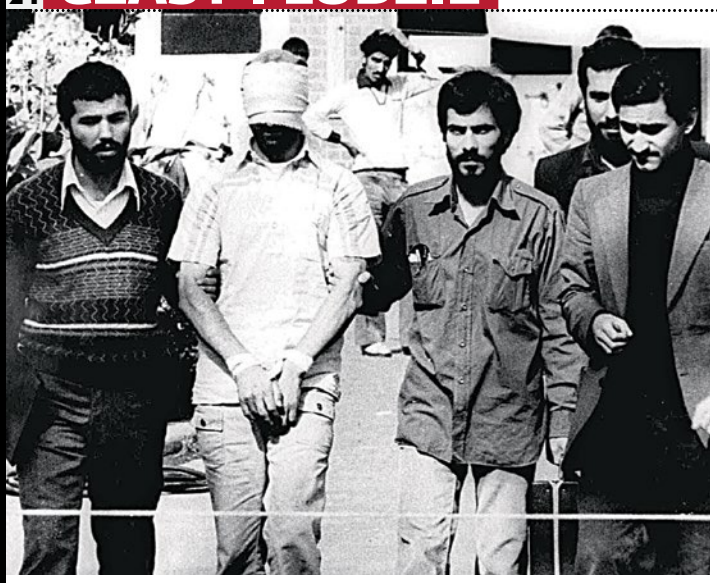

Amerykańscy zakładnicy – pracownicy ambasady USA w Teheranie, 1979 r. FOT. ARCHIWUM

Świadek historii / Z Markiem Lijekiem – dyplomatą USA uratowanym z Iranu w 1980 r.

rozmawia Piotr Włoczyk

Jak uciekłem ajatollahom

PIOTR WŁOCZYK: Co pan pomyślał, kiedy CIA przedstawiła wam wariacko brzmiący pomysł na wyciągnięcie was z Teheranu?

MARK LIJEK: Pomyślałem, że to genialne! Już od dłuższego czasu zastanawialiśmy się, jakim sposobem moglibyśmy wyrwać się z Iranu. Nic nie przychodziło nam jednak do głowy. Jaką bowiem historyjkę miałaby wymyślić grupa sześciu Amerykanów przebywających na przełomie lat 1979 i 1980 w rewolucyjnym Iranie, żeby bezpiecznie wylecieć z głównego lotniska w Teheranie? Jedyni Amerykanie, którzy zostali w Iranie, byli przetrzymywani jako zakładnicy na terenie ambasady USA. Nie licząc oczywiście naszej szóstki, która po ucieczce z ambasady ukrywała się na terenie miasta.

Każdy pomysł wydawał się zły. Nauczyciele angielskiego, biznesmeni – to wszystko nie miałoby sensu w tamtym okresie. Kiedy więc Tony Mendez z CIA, który pod przykrywką przyleciał po nas do Teheranu, powiedział, na co wpadł, od razu przypadł mi do gustu ten plan. Mieliśmy podawać się za ludzi z Hollywood, którzy szukają plenerów dla filmu science fiction pt. „Argo".

Reszta też tak oceniała ten plan?

Piątka z naszej szóstki była na „tak". Joe Stafford był przeciw i do samego końca nie wierzył w powodzenie tej operacji. Dopiero potem okazało się, że bał się, iż w przypadku wpadki zostaniemy uznani za szpiegów. Mieliśmy przecież posługiwać się fałszywymi paszportami. Mieliśmy się stać Kanadyjczykami! Naprawdę trudno byłoby się obronić przed zarzutem szpiegostwa. Jednakże my przecież nie mieliśmy większego wyboru. W hollywoodzkim hicie „Operacja »Argo«", który powstał na podstawie naszej historii, jeden z oficerów CIA tłumaczy swojemu szefowi, że to najlepszy zły pomysł. Myślę, że trafił w sedno: w tamtych okolicznościach nie było naprawdę dobrego rozwiązania naszego problemu.

Nie bał się pan, że realia tej operacji mogą was, amatorów, po

eprasa.pl 2986221024

prostu przerosnąć, a w razie wpadki może was spotkać najgorsze?

Rozumiałem, czym może się to skończyć, ale wierzyłem, że w razie katastrofy Irańczycy nie zdecydują się na rozstrzelanie dyplomatów z uwagi na strach przed reakcją USA. Tylko że tu naprawdę nie było dobrych opcji. Pozostawanie w ukryciu w domu kanadyjskiego dyplomaty było coraz bardziej stresujące. Czuliśmy wtedy, że pętla coraz bardziej się zaciska na naszych szyjach. Przez wiele tygodni mieliśmy dużo szczęścia, ale to się musiało w końcu zmienić. Bałem się, że w końcu nas odkryją, tym bardziej że dom naszych kanadyjskich gospodarzy był wystawiony na sprzedaż. W końcu ktoś by go kupił. I co wtedy? Wyjście z domu choćby na jeden dzień, kiedy pojawiał się jakiś potencjalny kupiec, było skrajnie stresujące. A co, jeżeli ktoś z nas by się rozchorował? Pójście do szpitala też oznaczałoby koniec.

Miał się pan stać Joe Harrisem. Czym konkretnie miał się pan zajmować w ramach kręcenia „Argo"?

Byłem koordynatorem ds. transportu. Film miał być kręcony w Persepolis, a ja miałem być człowiekiem, który zadba o całą logistykę.

Nie bał się pan pytań Irańczyków o przemysł filmowy czy Kanadę?

Byliśmy młodzi, pewni siebie. Myślę, że każdy z nas był przekonany, iż zna się na filmach. Gorzej byłoby, gdyby Irańczycy wypytywali o nasze życie prywatne i Kanadę. Każdy z nas dostał do wkucia na blachę po jednej stronie swojej skróconej kanadyjskiej biografii. Mieliśmy tylko jeden dzień na przećwiczenie wszystkiego. Tony Mendez przyleciał do Teheranu 26 stycznia 1980 r., ćwiczyliśmy cały następny dzień, a wylecieć mieliśmy 28 stycznia. Najgorzej było chyba z wiedzą o Kanadzie – dopiero wtedy zorientowałem się, jak niewiele wiedziałem na temat naszego północnego sąsiada. To było nawet trochę zawstydzające...

Musiał pan też myśleć o żonie, która razem z panem poleciała do Iranu i pracowała w ambasadzie.

Cora uciekła z ambasady razem ze mną i CIA wybrała dla niej pozycję scenarzystki tego filmu. Z wykształcenia żona jest nauczycielką angielskiego, więc czuła się nie najgorzej z tą rolą.

Wychodzi na to, że ludzie z CIA, którzy opracowali szczegóły tej operacji, wiedzieli o nas wystarczająco dużo, by obsadzić nas w rolach, które jakoś tam do nas pasowały.

Jak się ucieka z ambasady otoczonej przez wściekły tłum?

Teren amerykańskiej misji w Teheranie był potężny – 26 akrów, ponad mila muru. My jednak mieliśmy tylko tuzin marines i kilku irańskich strażników na cały ten obszar! Byłem w Teheranie już od czterech miesięcy i przyzwyczaiłem się do protestów. Kiedy zaczął się atak, myśleliśmy, że nie będzie tak źle: demonstranci zorganizują konferencję, a potem opuszczą teren ambasady.

Gdy robiło się coraz bardziej nerwowo, byliśmy pewni, że irański rząd wyśle w końcu służby, by nas uratować. Okazało się jednak, że tymczasowy rząd nie był w stanie zapanować nad sytuacją. Zresztą przedstawiciele władz przyznawali wprost w mediach, że tracą wpływy. Islamiści przejmowali właśnie władzę. Już wcześniej przekazywaliśmy do Waszyngtonu wiele sygnałów, że Irańczycy nie za bardzo nas chronią, a my sami mamy zbyt małe siły, żeby odeprzeć atak. Nasi decydenci nie chcieli nas jednak słuchać.

Najpierw uciekł szach, potem Chomeini wrócił do Iranu, ale jego powrót nie oznaczał od razu utworzenia islamskiej republiki. To był proces, w którym konkurencyjne frakcje starały się przejąć władzę. Islamiści stanęli przeciw politykom świeckim, zorientowanym prozachodnio. Przejęcie ambasady, które bardzo zaogniło sytuację w kraju, było ostatecznym ciosem zadanym tej ostatniej grupie. Atak na naszą ambasadę wcale nie był spontanicznym zdarzeniem, ta akcja miała dobrze przemyślany cel.

Nie najlepiej to świadczy o CIA...

Waszyngton niewłaściwie oceniał sytuację w Iranie. Nasi politycy żywili nawet nadzieje na poprawę stosunków z nowym rządem! CIA nie miała tam żadnej swobody ruchu, jej działania były w zasadzie sparaliżowane. O ile mi wiadomo, CIA miała tam trzech oficerów. Najmłodszy z nich to mój przyjaciel, który napisał o tym wszystkim książkę. Brakowało mu podstawowych narzędzi do zbierania informacji. Wcześniej nasz wywiad miał umowę z Sawakiem, tajną policją szacha, na której mocy CIA zobowiązała się, że nie będzie prowadziła tajnych operacji w Iranie. W zamian za to Sawak miał się dzielić z Waszyngtonem wiedzą o sytuacji w kraju. I właśnie dlatego nie mieliśmy pojęcia o problemach zdrowotnych szacha ani o tym, jak bardzo jest niepopularny w społeczeństwie. Mieliśmy bardzo niewiele niezależnych źródeł informacji.

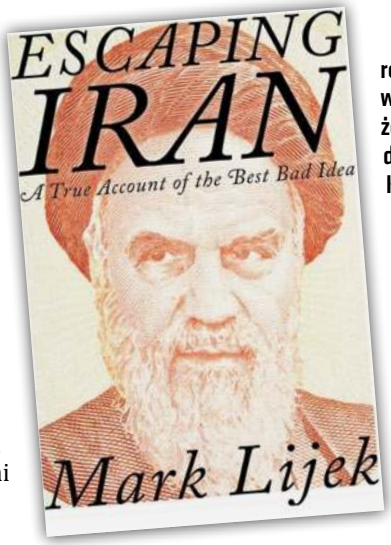

Po rozpoczęciu rewolucji zapanowała atmosfera totalnego strachu przed kontaktami z ludźmi z Zachodu, szczególnie z USA, co w praktyce uniemożliwiło CIA wykonywanie jej działań.

Wróćmy do wydarzeń z 4 listopada 1979 r. Dyplomaci pracujący w głównym budynku nie byli w stanie uciec, ale na szczęście dla was budynek konsulatu przylegał do bocznej uliczki...

Konsulat miał bezpośrednie wyjście na ulicę, z którego korzystali ludzi starający się o wizy. Z nieznanych mi powodów demonstranci nie obstawili tego wyjścia i dzięki temu udało nam się – w piątkę – w porę stamtąd uciec. Trzeba było uważać na blokady bojówek. Ci uzbrojeni Irańczycy byli bardzo źle do nas nastawieni. Co jakiś czas, gdy przechodziłem obok nich w drodze do pracy, mogłem usłyszeć, jak na pokaz przeładowywali broń...

Tułaliście się przez kilka dni po różnych lokalach w Teheranie, aż w końcu Bob Anders, pański przełożony z konsulatu, wykonał telefon do swojego znajomego z ambasady Kanady. Co usłyszał?

John Sheardown, pierwszy sekretarz ambasady Kanady, powiedział, że z wielką chęcią nam pomoże! Mogę się wypowiadać o Kanadyjczykach jedynie w samych superlatywach. Ich rola to tak naprawdę fundament całej tej historii. Zachowali się po prostu fenomenalnie. Przez

eprasa.pl 2986221024

następne miesiące ambasada Kanady była w pełni skoncentrowana na tym kryzysie. Nie tylko bowiem pomagali nam się ukrywać, lecz także starali się pomóc zakładnikom. I próbowali też zmontować jakąś akcję ewakuacyjną dla nas.

We trójkę zamieszkaliśmy w domu Johna Sheardowna, a pozostała dwójka znalazła schronienie u ambasadora Kanady Kena Taylora, który stwierdził, że tak będzie bezpieczniej w przypadku wpadki. Potem do naszej trójki dołączył Lee Schatz, który ukrywał się u Szwedów. Lee zajmował się wcześniej współpracą amerykańsko-irańską w dziedzinie rolnictwa.

Jak wam mijały dni w gościnie u Kanadyjczyków?

Czytaliśmy, spaliśmy i graliśmy w scrabble'a. Nie da się tego porównać do tego, co działo się z zakładnikami w ambasadzie. Czuliśmy, że w tym wszystkim mamy jednak dużo szczęścia. Narzekanie na nudę byłoby w tych okolicznościach po prostu żałosne. Prawdę mówiąc, zdarzały się u nas nawet imprezy, podczas których nikt nie wylewał za kołnierz.

Wprawdzie wydawało się nam wówczas, że za moment Irańczycy nas dopadną, ale teraz już wiadomo, że tak naprawdę za bardzo nie starali się nas pojmać. Mieli wystarczająco dużo „problemów" z tymi zakładnikami, których już pojmali.

Po latach dowiedziałem się, że Kanadyjczycy przypadkiem wysłali do wszystkich swoich ambasad na świecie informację o nas. Jakimś cudem te wiadomości zostały zniszczone od razu i nikt nie zaczął plotkować na temat sześciorga gości kanadyjskich dyplomatów w Teheranie...

Jakie plany miał wobec was Waszyngton, zanim Tony Mendez wymyślił „Argo"?

Na początku powiedziano nam, że jeżeli Irańczycy wypuszczą zakładników, to zostaniemy odeskortowani na lotnisko przez grupę ambasadorów państw zachodnich. Mieli oni powiedzieć Irańczykom: „To dodatkowa szóstka, która uciekła wam pierwszego dnia. Ich też wsadźcie na pokład samolotu". Moim zdaniem był to głupi plan, ale nie za bardzo się tym przejmowałem, bo widać było, że negocjacje nic nie dają.

Jimmy Carter...

Niestety, ówczesny prezydent nie dawał sobie rady z sytuacjami kryzysowymi. Nie miał temperamentu przywódcy. Nie miał pojęcia, jak uwolnić zakładników. Jego pierwsza konferencja prasowa w tej sprawie była kompletną katastrofą. Powiedział niemal wprost Chomeiniemu, że jeżeli nie zabije żadnego z zakładników, to Ameryka nie użyje siły. Czyli Irańczycy mogliby przetrzymywać zakładników w nieskończoność... Takich rzeczy nigdy się nie mówi, nawet jeżeli to prawda! Nie mówi się drugiej stronie, że to ona ma w ręku wszystkie karty. Irańczycy potraktowali to oczywiście jako przejaw słabości USA. Sprawa zakładników pomagała islamistom usunąć demokratyczną opozycję i umocnić republikę islamską.

Ameryce potrzebny był wtedy przywódca, który powiedziałby: „Nie obchodzi nas, czy zabijecie zakładników. I tak was dorwiemy". Carter niestety nie potrafił blefować.

Wydaje się, że takim przywódcą był Ronald Reagan.

Myślę, że strach przed Reaganem przyspieszył rozmowy i zakładnicy zostali wreszcie uwolnieni. Po 444

dniach! Ambasador Kanady przypominał o nas co jakiś czas Waszyngtonowi, ale mieliśmy wrażenie, że zupełnie o nas zapomniano. I wtedy właśnie, pod koniec grudnia 1979 r., w sprawę zaangażowany został Tony Mendez z CIA, specjalista od wyciągania ludzi z niebezpiecznych miejsc.

Gdy Tony pojawił się u nas, zaczął od opowieści o operacjach,w których brał udział. Chciał nas uspokoić, że nie pierwszy raz wyciąga ludzi z opałów. Opowiadał nam o wielu operacjach wyciągania ludzi ze Związku Sowieckiego. Musiał nas uspokoić, bo przecież dobry strażnik graniczny na lotnisku bez problemu rozpozna podenerwowanego podróżnego…

Mendez zorganizował nawet „przesłuchania" – „śledczy" zadawali nam pytania, jakie na pewno zadaliby nam Irańczycy. Jeżeli ktoś zaczyna się zastanawiać, gdy usłyszy pytanie: „Kiedy się urodziłeś?", to wygląda to naprawdę zabawnie... Pytali nas o elementy biograficzne, mieszali je z pytaniami o pracę w Hollywood. Generalnie dobrze szło nam wszystkim poza Joe Staffordem, który – widać to było od samego początku – robił to wszystko bardzo niechętnie.

Ostatniej nocy w Iranie nie spaliśmy zbyt dużo. Zrobiliśmy małą imprezę. Lee Schatz całą noc starał się wykrzesać choć odrobinę entuzjazmu z Joe Stafforda. Ich rozmowy nie dawały mi spać. Na lotnisko jechałem wymęczony jak trup, ale adrenalina nie pozwalała zasnąć.

Wyjechaliśmy o godz. 4. Szef ochrony kanadyjskiej ambasady zawiózł nas mikrobusem na lotnisko. Tony Mendez czekał tam na nas. Mieliśmy umówiony sygnał: jeżeli klepnie się w policzek, to znaczy, że wszystko jest w porządku. I tak było.

Sam wylot był jednak dramatyczny. Najpierw przeżyliście ostre przesłuchanie, a gdy wydawało się, że wszystko jest już OK, do waszego startującego samolotu podjechały trzy wozy pełne uzbrojonych ludzi, chcących was zatrzymać. Ben Affleck, który odgrywał Tony'ego Mendeza, z przerażeniem spoglądał przez okno odrzutowca...

(śmiech) No tak, twórcy tego filmu mieli duży problem. Jak zrobić dramatyczny finał z historii, w której z grubsza wszystko poszło zgodnie z planem? To wszystko oczywiście wymysł autora scenariusza, ale i tak uwielbiam ten film. W rzeczywistości najtrudniejsze było dla nas po prostu przebywanie w miejscu publicznym po miesiącach ukrywania się. Nagle wokół ciebie są wszyscy ci ludzie,

eprasa.pl 2986221024

których tyle czasu unikałeś…

Problemy, które napotkaliśmy, nie były wielkie. Przykładowo coś było nie tak z naszymi zdjęciami paszportowymi. Wyglądały jak zdjęcia zdjęć. Irańczyk w okienku miał co do nich pewne wątpliwości, kiedy podszedł do niego Lee, ale wszystko dobrze się skończyło. W ambasadzie zajmowałem się paszportami. Jeżeli ktoś podszedłby do mnie z takim zdjęciem paszportowym, to odesłałbym go do fotografa (śmiech).

Dosyć stresująca była historia ze świstkami papieru z formularza wjazdowego. Wiadomo, że przy wjeździe oryginał trafia do archiwum, a kopia do paszportu. My mieliśmy podrobione kopie wjazdowe, ale na szczęście Irańczycy nie sprawdzali ich zgodności z oryginałami, których przecież nigdy nie byliby w stanie znaleźć. CIA wiedziała, że Irańczycy nie przestrzegają tej procedury. Trochę stresu kosztowało nas też opóźnienie samolotu do Zurychu, ale poza tym większych niespodzianek już nie było.

W „Operacji »Argo«" pokazana jest feta na pokładzie, gdy opuściliście już irańską przestrzeń powietrzną. Faktycznie tak było?

Nie, nie było dużej celebracji. Po cichu wznieśliśmy toasty, bo musieliśmy zakładać, że nie wszyscy współpasażerowie lotu z Teheranu byli przyjaźnie nastawieni do Amerykanów... Mimo to polecam ten film. Jego twórcy dobrze oddali atmosferę panującą w Iranie w tamtym okresie, atak na ambasadę i to, jak terroryści traktowali zakładników, np. poddawanie ich udawanym egzekucjom. Irańczycy do dziś twierdzą, że dobrze traktowali zakładników, ale to przecież nieprawda. Twórcy „Operacji »Argo«" nie musieli tego pokazywać, ale to zrobili, i chwała im za to. Ten film całkiem dobrze też oddaje to, w jakich warunkach się ukrywaliśmy i jakie były nasze nastroje.

Kiedy po raz pierwszy mógł pan publicznie opowiedzieć o szczegółach tej ucieczki?

W 1997 r. odtajniono tę operację, akurat na 50-lecie CIA. Rząd ujawnił wówczas najciekawsze operacje, które dobrze by zrobiły PR agencji. Tony Mendez był już na emeryturze, więc nic mu nie groziło.

Po odtajnieniu zadzwonił do mnie jakiś reporter i spytał o „Argo"… Ja oczywiście z miejsca zacząłem kłamać tak, jak mnie nauczono: „To nie CIA, tylko Kanadyjczycy nas stamtąd wyciągnęli!". Taka była bowiem oficjalna wersja – to była operacja Kanadyjczyków. Gdyby od razu się okazało, że to CIA nas wyciągnęła, los zakładników mógłby się stać jeszcze cięższy. Zaraz po rozmowie z tym reporterem zadzwoniłem do Waszyngtonu, żeby dowiedzieć się, co to ma znaczyć. I wtedy dowiedziałem się, że nie muszę już kłamać o „Argo" (śmiech).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Mark Lijek

(ur. 1951) jest emerytowanym amerykańskim dyplomatą. W 1979 r. pracował na placówce w Teheranie. 28 stycznia 1980 r. został wywieziony z Iranu – wraz z pięcioma innymi dyplomatami – w tajnej operacji CIA, na której podstawie powstała hollywoodzka superprodukcja „Operacja »Argo«". Mark Lijek jest autorem książki "Escaping Iran", opowiadającej o kulisach tych wydarzeń.

REKLAMA

WYDAWNICTWO capital
Książki Feliksa Konecznego!

Dzieje Polski
Od początku Piastów do III rozbioru Polski
39,00 zł
~~45,00 zł~~

Autor z należytą starannością bada wydarzenia, które miały największy wpływ na naszą historię. Opisuje dzieje Polski od początków powstawania państwa aż po czas rozbiorów. Ukazuje nie tylko ważne wydarzenia, ale też sylwetki osób, które odegrały w historii naszego kraju decydującą rolę.

Dzieje Polski
opowiedziane dla młodzieży
39,00 zł
~~45,00 zł~~

Książka została napisana pięknym, barwnym językiem. W formie gawędy przybliża historię naszego narodu w kontekście walki cywilizacji o dominację w Europie. Autor prezentuje dzieje Polski w porządku chronologicznym. Nie jest to jednak suchy rejestr historycznych wydarzeń i dat.

O wielości cywilizacji
39,00 zł
~~45,00 zł~~

Jedno z najważniejszych dzieł Feliksa Konecznego, wybitnego krakowskiego historyka i historiozofa. Autor analizuje pojęcie cywilizacji, jako specyficznej metody ustroju życia zbiorowego, z punktu widzenia rozwoju kultury materialnej i duchowej w poszczególnych społeczeństwach.

533 496 436 sklep@capitalbook.pl
www.capitalbook.pl

eprasa.pl 2986221024

Wojsko Polskie na ulicach Czeskiego Cieszyna, październik 1938 r. FOT. NAC

1919, 1920, 1939 / Polsko-czeski spór o Śląsk Cieszyński

Prawda o Zaolziu

Tadeusz A. Kisielewski

Konflikt polsko-czechosłowacki o tę ziemię rozpoczął się u zarania niepodległości obu państw

Było niemal odwieczną regułą, że wojska atakujące na obszarze między Warszawą a Moskwą – czy to idący na wschód Polacy i Litwini, czy La Grande Armée Napoleona, czy prący na zachód Rosjanie – po dłuższym czasie w tak dużym stopniu zużywały zarówno siły żywe, jak i materiał wojenny, a linie zaopatrzeniowe wydłużały się tak bardzo, iż w końcu utykały w polu (dotknęło to nawet Wehrmachtu w 1941 r. i Armii Czerwonej trzy lata później). Latem 1920 r. ofensywa Michaiła Tuchaczewskiego trwała sześć tygodni, a Armia Czerwona – nadzwyczaj nędznie wyposażona i marnie wyszkolona – zwyciężała wyłącznie masą, czyli, jak to nazwał Tuchaczewski, „uderzeniami taranowymi". W rejon Wisły przybyła znacznie już przerzedzonymi i bardzo zdemoralizowanymi szeregami. Była nawet nieco mniej liczna niż odpierające ją armie polskie.

Grabski w Spa

Jednak na początku lipca, w pierwszych dniach ofensywy, postępy Armii Czerwonej były tak szybkie, a jej sukcesy tak duże, że rząd polski nie mógł w pełni przewidzieć skali przyszłego rozkładu wojsk bolszewickich. W rezultacie zdecydował się zwrócić o pomoc do państw zachodnich. 6 lipca premier Władysław Grabski wyjechał do belgijskiego Spa, by spotkać się z premierami Wielkiej Brytanii Davidem Lloydem George'em i Francji

eprasa.pl 2986221024

Alexandre'em Millerandem, którzy 10 lipca zgodzili się podjąć – pod licznymi warunkami – mediacji w wojnie polsko-bolszewickiej.

Polska miała się zgodzić na zawarcie rozejmu, przy czym wycofałaby swe wojska na linię Bugu i Niemna, czyli linię Rady Najwyższej z 8 grudnia 1919 r. (Armia Czerwona miałaby się zatrzymać 50 km na wschód od niej), a w Galicji Wschodniej linia rozejmowa pokrywałaby się z aktualną linią frontu, co oznaczało, że Galicja pozostałaby pod kontrolą polskich wojsk, gdyż front znajdował się wtedy nad Zbruczem (przy czym każda ze stron miałaby wycofać wojska na 10 km od linii frontu). Ponadto Polska zobowiązała się oddać Litwie Wilno, zgodzić się, aby w przyszłej konferencji pokojowej, która zbierze się w Londynie, wzięli też udział delegaci ludności Galicji Wschodniej, oraz przyjąć decyzje Rady Najwyższej w odniesieniu do granic z Litwą, Galicją Wschodnią i Czechosłowacją, a także w sprawie traktatu z Wolnym Miastem Gdańskiem. Ze swej strony Wielka Brytania i Francja zobowiązały się dostarczyć Polsce pomoc wojskową i gospodarczą tylko w razie, gdyby bolszewicy odrzucili ich mediację.

Istotnie, bolszewicy odrzucali mediację już podczas trwania konferencji w Spa, nie godząc się na jakiekolwiek propozycje linii rozejmowych ustalanych przez zachodnie mocarstwa, a 17 lipca oficjalnie odrzucili także mediację Zachodu jako taką.

Polski rząd nie mógł w pełni przewidzieć skali i tempa rozkładu Armii Czerwonej. Oskarżanie go o panikarstwo byłoby więc podejściem ahistorycznym – opartym na wiedzy, której nie mógł on wtedy mieć. Jest jednak raczej pewne, że polscy delegaci na konferencję w Spa popełnili kardynalny błąd negocjacyjny. Skoro Francja i Wielka Brytania zobowiązały się stanąć po polskiej stronie w razie odrzucenia przez Moskwę ich propozycji rozejmowej, to strona polska także powinna była uzależnić swoje ustępstwa – np. w kwestii plebiscytu na Śląsku Cieszyńskim – od identycznego warunku.

RYS. JACEK GRAMBURG

Czeski napad

Przypomnijmy, że 5 listopada 1918 r. polska Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego i czeska Narodowa Rada Ziemi Śląskiej zawarły umowę o tymczasowym podziale Śląska Cieszyńskiego według kryterium etnicznego, a konkretnie językowego. Po stronie polskiej zostawały powiaty: bielski, cieszyński oraz część powiatu frysztackiego, po stronie czeskiej powiat frydecki i pozostała część powiatu frysztackiego. Tej umowie od początku sprzeciwiał się rząd w Pradze, utrzymując, że pozostawienie przy Polsce Bohumina przecina jedyne (co nie było prawdą) połączenie kolejowe Czech ze słowackimi Koszycami oraz że Czechosłowacja nie może się wyrzec zasobów węgla koksującego w zagłębiu karwińskim. Jednak głębszym powodem sprzeciwu Pragi były jej dążenia do podporządkowania sobie północnej części Austrii, Łużyc, Śląska i południowej Polski z Galicją Wschodnią. Premierem Czech był wtedy Karel Kramář, czołowy słowianofil, którego pragnieniem było, aby Czechosłowacja graniczyła z Rosją.

Na wieść o mających się odbyć 26 stycznia 1919 r. wyborach do Sejmu Ustawodawczego, obejmujących także zdominowane przez Polaków powiaty Śląska Cieszyńskiego, Czesi zażądali usunięcia z tej prowincji polskiej administracji i oddziałów wojskowych, zresztą bardzo nielicznych. Józef Piłsudski zaproponował prezydentowi Tomaszowi Masarykowi wynegocjowanie ugody w tej sprawie, lecz Czesi zareagowali wprowadzeniem wojsk na Spisz i Orawę. Wreszcie 23 stycznia ich 16-tysięczny korpus zaatakował Śląsk Cieszyński. Przeciwstawiło się mu 1,5 tys. ludzi z polskiej samoobrony, głównie górników i młodzieży. W walkach zginął m.in. kpt. Cezary Haller, brat generała Józefa, trafiony kulą i dobity bagnetem (był to jeden z licznych przypadków dobijania rannych lub zabijania jeńców i polskich działaczy narodowych przez Czechów).

Dopiero 31 stycznia czeska ofensywa została powstrzymana pod Skoczowem. 3 lutego 1919 r. Polska i Czechosłowacja zawarły umowę o tymczasowej granicy na Śląsku Cieszyńskim wzdłuż bohumińskiej linii kolejowej. Tym samym Polska chwilowo ustąpiła z południowo-zachodnich części powiatów cieszyńskiego i frysztackiego. Po czeskiej stronie pozostała też zaolziańska część samego Cieszyna. Obie strony (Czesi pod presją mocarstw zachodnich) zgodziły się też na przeprowadzenie plebiscytu na całym spornym terytorium.

Podczas konferencji w Spa przedstawiciele czescy nakłonili mocarstwa zachodnie do rezygnacji z przeprowadzenia plebiscytu. Ostatecznie 28 lipca 1920 r. dokonano arbitralnego podziału Śląska Cieszyńskiego. 44 proc. powierzchni tej prowincji (1002 km kw. i 139,6 tys. mieszkańców) otrzymała Polska. 1280 km kw. przyznano Czechosłowacji (mieszkało tam 139 tys. Polaków, 113 tys. Czechów i 34 tys. Niemców). Dodatkowo Czechosłowacja otrzymała od ententy większość spornych ziem na Spiszu i Orawie. „Wyrok ten wykopał przepaść między oboma narodami" – stwierdził 24 września

eprasa.pl 2986221024

Polscy żołnierze zamordowani przez Czechów w Stonawie, 1919 r. FOT. WIKIPEDIA

1920 r. Wincenty Witos w przemówieniu sejmowym. A trzy miesiące po konferencji w Spa Władysław Grabski tak oto skomentował poczynione tam przez siebie ustępstwa:

– Tak zwana linia Curzona nie może służyć za podstawę rokowań. Linia Curzona właściwie nie istnieje. Lord Curzon przytoczył po prostu linię wytkniętą na Radzie ambasadorów dnia 8 grudnia 1919 r. Lloyd George w Spaa radził nam usilnie cofnąć się na tę linię, zapewniając solennie, że jeśli przekroczą ją wojska sowieckie, to Wielka Brytania pospieszy nam z pomocą. Bolszewicy przekroczyli sławetną linię, ale pomoc angielska nie nadeszła. Natomiast Francya okazała nam pomoc skuteczną, ale Francya nie stawiała żadnych warunków, nie wywierała żadnego nacisku. Wobec tego faktu sądzę, że możemy nie liczyć się z tzw. linią Curzona. Nie znaczy to bynajmniej, żeby posuwanie się daleko na wschód leżało w naszym interesie.

Po chwili milczenia p. Grabski dodał: – Warunki narzucone nam w Spaa zapadły w bezpowrotną przeszłość. Jedyne, co pozostało, to niekorzystne dla nas rozwiązanie sprawy cieszyńskiej. Nie przypuszczam, ażeby tego rozwiązania można było uniknąć (?) w warunkach ówczesnych, ale pozostawiło ono osad goryczy, zupełnie zrozumiałej...

„Ilustrowany Kuryer Codzienny", 8 października 1920 r.

Tymczasem już miesiąc po konferencji w Spa polska prasa alarmowała o terroryzowaniu ludności polskiej na Zaolziu.

Bogumin, 8 sierpnia. Stoimy obecnie pod strasznym terrorem czeskim. Upojeni zwycięstwem, nie rępowani żadnymi względami, przygotowują skrupulatnie rugi ludności polskiej z obszarów śląskich. Dnia 7 b.m. w nocy w Boguminie wypisano na liście 105 rodzin kolejarzy, którym na drzwiach mieszkań przyklejono kartki z podpisem jakiejś „Żelaznej Brygady" (czytaj zorganizowanej szajki, stworzonej przez urzędnika magazynu kolejowego w Boguminie, a zarazem wójta we Wierzbicy, Spruszla). Wymieniony na kartce ma w przeciągu 12 godzin opuścić służbę i mieszkanie i wynieść się z obrębu republiki czeskiej. Nie kryją się z tem, że będą wyrzucać wszystką ludność polską, a na jej miejsce sprowadzać Czechów. Cel przejrzysty. Ciekawem jest, jak władze polskie zaprotestują przeciw temu barbarzyństwu czeskich intruzów?

Dnia 6 b.m. wybito w Zabłociu obok Bogumina szyby w oknach wszystkich domów polskich, dlatego że nie były iluminowane na cześć zwycięstwa czeskiego. Kilku starszych i kilkoro dzieci jest rannych. To dopiero początek! Ludność polska z obawy przed terrorem gromadnie ucieka, szukając po stronie polskiej przytułku. Władze nasze powinne tych rycerzy kresowych, a obecnie tułaczy przygarnąć, zaopiekować się nimi i dać im poznać, że razem z nimi czujemy i że są nam zawsze jednakowo drodzy.

„Ilustrowany Kuryer Codzienny", 11 sierpnia 1920 r.

Zajęcie Zaolzia

Czesi nie zawahali się wykorzystać sowieckiej inwazji na Polskę w 1920 r., Polska zaś 18 lat później wykorzystała układ monachijski. Miał on zabezpieczać interes niemieckiej mniejszości w Czechosłowacji poprzez przyłączenie zamieszkanego przez tę mniejszość obszaru do Niemiec. Aneks do tego haniebnego układu głosił, że żądania innych narodowości w Czechosłowacji – chodziło tu o ludność polską i węgierską – zostaną rozpatrzone przez cztery mocarstwa (czyli Wielką Brytanię, Francję, Włochy i III Rzeszę) w sposób i w czasie, które mocarstwa te uznają za stosowne. Po politycznej kapitulacji rządu w Pradze Polska nie miała powodu czekać, aby – ewentualnie – otrzymać od byłej ententy i chwilowo sprzymierzonych z nią Niemiec to, co utraciła w 1920 r.

Minister spraw zagranicznych Józef Beck już od lata 1938 r. domagał się, aby polska ludność w Czechosłowacji uzyskała te same prawa co ludność niemiecka, i w tym samym czasie co ona. Stanowisko to poparła Francja, a pod jej wpływem także rząd w Pradze. 21 września, czyli w dniu, w którym Czechosłowacja zgodziła się przekazać Sudety Niemcom, Polska wystosowała następującą notę: „Rząd polski oczekuje postanowienia rządu czechosłowackiego w przedmiocie terytoriów zamieszkanych przez ludność polską, niezwłocznego i analogicznego do tego, które podjął w kwestii niemieckiej".

eprasa.pl 2986221024

Propagandowe porównanie potencjału Polski i Czechosłowacji

FOT. ARCHIWUM

Dzień później, 22 września, prezydent Edvard Beneš listownie zaproponował prezydentowi Ignacemu Mościckiemu „usunięcie przeszkód z wielu minionych lat" poprzez „przyjęcie rektyfikacji granicy". Dopiero 30 września, kilkanaście godzin po zawarciu układu monachijskiego, rząd polski wystosował do rządu czechosłowackiego ultimatum wzywające do niezwłocznego przekazania Polsce Zaolzia. Praga ultimatum przyjęła i wojsko polskie zajęło Zaolzie.

Czyli jeszcze przed konferencją w Monachium w Pradze zrozumiano, że Polska gra przeciwko Niemcom, a późniejsze polskie ultimatum było jedynie dyplomatycznym manewrem maskującym tę grę i ułatwiającym władzom czechosłowackim podjęcie decyzji krzyżującej plany autorów „monachijskiej zmowy". Polska uzyskała obszar, który nieco ułatwił jej obronę Śląska rok później.

Akcja polska na Zaolziu w październiku 1939 r. była politycznie skierowana przeciw wszystkim sygnatariuszom układu monachijskiego. Nonsensem jest insynuowanie, że była ona na rękę Niemcom, a może nawet uzgodniona z nimi. Między 2 a 11 października 1938 r. oddziały dowodzone przez gen. Władysława Bortnowskiego zajęły 801,5 km kw. z Karwiną, Trzyńcem, Bohuminem i Jabłonkowem oraz z 227 tys. ludności. W marcu 1939 r. do Polski przyłączono też Jaworzynę we wschodnich Tatrach (ogółem w październiku 1938 i w marcu 1939 r. Polska zajęła na Orawie i Spiszu oraz w Tatrach 226 km kw. z 3280 mieszkańcami).

Skutki rusofilii

Czechosłowacka rusofilia skojarzona z polonofobią oraz wyraźnym kompleksem małego narodu wobec dużego i obawą przez „polskim imperializmem" uniemożliwiła w okresie międzywojennym stworzenie i prowadzenie zgodnej polityki wobec wspólnego zagrożenia niemieckiego. Połączenie polskiego potencjału demograficznego i czeskiego przemysłowego postawiłoby w 1938 r. oba państwa w nieporównanie lepszej sytuacji. Praga wolała jednak wspierać (wraz z Berlinem) ukraińską irredentę w Polsce.

Okazało się, że nawet smutne doświadczenia lat 1938–1939 niczego nie nauczyły czeskich polityków. Prowadząc zainicjowane przez premiera Władysława Sikorskiego rozmowy na temat utworzenia federalnego państwa polsko-czechosłowackiego, prezydent Edvard Beneš marzył o sojuszu ze Stalinem. Nie powinno to zresztą dziwić, skoro – jak pisze Paweł Wieczorkiewicz – był agentem wpływu Kremla, a ponadto jego bliskim współpracownikiem był ambasador Czechosłowacji w Moskwie Zdeněk Fierlinger, agent NKWD. Z wielkim trudem wynegocjowany projekt polsko-czechosłowackiej federacji Beneš ostatecznie odrzucił w maju 1943 r., tuż po wybuchu sprawy Katynia i będącym jej konsekwencją zerwaniu przez Moskwę stosunków dyplomatycznych z polskim rządem.

Na koniec raz jeszcze powróćmy do konferencji w Spa. Polska zrezygnowała tam z przeprowadzenia plebiscytu na Śląsku Cieszyńskim pod warunkiem, że Czechosłowacja przepuści przez swoje terytorium transporty z bronią, i minister spraw zagranicznych Beneš zobowiązał się do tego. Jednak do wygranej przez Polaków bitwy pod Warszawą Czesi nie przepuścili żadnych transportów. Nie zgodzili się też na przemarsz przez swoje terytorium węgierskiej kawalerii. 10 lipca rząd polski zwrócił się bowiem do władz węgierskich z zapytaniem, czy mogłyby one wysłać na pomoc Polsce 20–30-tysięczny korpus jazdy.

Węgrzy – pomni własnych kłopotów z bolszewikami Beli Kuna i rozumiejący, że upadek Polski oznaczałby również ponowne zagrożenie dla nich samych (chrześcijańsko-narodowa gazeta „Új Nemzedék" stwierdziła: „Los Polski jest naszym losem") – zgodzili się pod warunkiem, że będą to ochotnicy, a Polacy ich uzbroją. Potrzebna była jeszcze zgoda Francji, a ta z kolei uzależniła ją – 4 sierpnia – od stanowiska Czechosłowacji i Rumunii. 10 sierpnia rząd w Pradze stwierdził, że nie przepuści „hord Horthyego" przez Słowację, mimo że węgierski korpus byłby nieuzbrojony.

Całkiem inaczej zachowały się władze w Bukareszcie. Rumunia miała z Węgrami stosunki najgorsze z możliwych, ale z racji swego położenia geograficznego rozumiała, że jeśli Polska przegra, to następna może być ona. Dostawy węgierskiej broni dla Polski wyruszyły już 10 czerwca, początkowo z Budapesztu przez Wiedeń, a do 30 lipca następne, tym razem przez Rumunię, której władze zgodziły się nawet, aby dla usprawnienia przejazdu transporty na jej terytorium konwojowali polscy żołnierze.

Oto różnica między polityką prowadzoną wyłącznie z uwzględnieniem własnego interesu narodowego a polityką opartą na ideologicznych przesłankach, wciąż żywych w Pradze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2986221024

Zofia Stryjeńska „Koncert Beriota"
FOT. CYFROWE MNW

1891–1976 / Burzliwe życie i twórczość Zofii Stryjeńskiej

Skandalistka II RP

Sławomir Koper

Była niespokojnym duchem sztuki polskiej. Kobietą o niezwykłym temperamencie, bohaterką skandali

Zofię Stryjeńską nazywano księżniczką polskiego malarstwa, boginką słowiańską… Była artystką mającą fantastyczną wyobraźnię i niezwykły talent, która zaznała w swoim życiu niemal wszystkiego. Ogromnej popularności, a następnie odrzucenia. Wielkiej miłości i katastrofy kolejnych małżeństw. Powodzenia finansowego i zupełnej biedy, a następnie śmierci w całkowitym zapomnieniu.

Zofia Lubańska urodziła się 13 maja 1891 r. w Krakowie. Jej ojciec był prezesem Izby Handlowej, właścicielem sklepu z rękawiczkami oraz kilku nieruchomości. Wcześnie też zauważył talent córki, która dzięki jego kontaktom została współpracowniczką pism ilustrowanych: „Roli" i „Głosu Ludu". W wieku 18 lat Zofia rozpoczęła naukę w szkole malarskiej dla kobiet Marii Niedzielskiej, którą ukończyła dwa lata później z medalem za malarstwo i sztukę stosowaną.

Niestety, już wówczas przejawiała całkowity brak samokontroli, co przy jej niezwykłym temperamencie tworzyło prawdziwie wybuchową mieszankę. Któregoś dnia wyszła bez słowa z rodzinnego domu i zaginęła. Po tygodniu odezwała się do przerażonych rodziców z Wiednia, prosząc o przysłanie pieniędzy na powrót.

Zofia pragnęła dalej się kształcić, marzyła o wyjeździe do Królewskiej Bawarskiej Akademii Sztuk Pięknych w Monachium. Był tylko jeden problem – uczelnia przyjmowała wyłącznie chłopców. Dziewczyna jednak się nie wahała. Ścięła na krótko włosy, zabrała paszport brata i jako Tadeusz Grzymała (nazwisko od herbu rodziny) rozpoczęła naukę. Po roku zdemaskowano ją jednak i Zofia w popłochu wyjechała z Monachium. Nie zmarnowała jednak czasu spędzonego w Bawarii i w Krakowie szybko zdobyła uznanie. Popełniała „tysiące nietaktów i faux pas, ale bezpośredniością i jakimś swoistym zamorusanym wdziękiem zdobywała każdego". Coraz głośniej mówiono o jej niezwykłym talencie.

Zainteresowana folklorem, historią i archeologią stworzyła cykl obrazów „Bogowie słowiańscy" i „Tańce polskie". Ujawniła talent pisarski, czego efektem był cykl 18 „Bajek" opartych na motywach ludowych i historycznych. Stylizowane na stare druki wydawnictwo ozdobiła osobiście wykonanymi ilustracjami, a całość zakupił za znaczącą kwotę znany mecenas sztuki, hr. Edward Tyszkiewicz.

W maju 1913 r. Jerzy Warchałowski omówił na łamach „Czasu" jej dotychczasową twórczość. Ogłosił, że pojawił się

eprasa.pl 2986221024

nowy, „fenomenalny" talent malarski, co było przepustką do świata inteligencji i cyganerii krakowskiej. Młoda artystka poznała najważniejsze pod Wawelem osoby, spotkała również Karola Stryjeńskiego – wielką miłość i przekleństwo swojego życia.

Karol był synem Tadeusza Stryjeńskiego – znanego krakowskiego architekta i przedsiębiorcy budowlanego. Stryjeński senior był „człowiekiem wielkiej wiedzy i kultury latyńskiej", który „będąc obywatelem szwajcarskim, wcale się za Polaka nie uważał". Zachowywał się w sposób godny i całkowicie pozbawiony emocji, przez co Zosia nazywała go „Filipem Hiszpańskim".

Zofia i Karol różnili się nie tylko pochodzeniem. Ona ekstrawertyczna i spontaniczna, on spokojny, opanowany, wręcz flegmatyczny. Obracali się jednak w tych samych kręgach towarzyskich i artystycznych – Karol z wykształcenia był architektem, studiował również rzeźbę. Pomiędzy młodymi wybuchło uczucie, Zofia „kochała dziko, zachłannie, histerycznie", on był bardziej powściągliwy. Związkowi nie wróżono przyszłości, wydawało się, że zakochani zbyt różnią się od siebie. Postanowili się jednak pobrać, uroczystość odbyła się niemal w zupełnej tajemnicy, nie zaproszono nawet nikogo z rodziny. Zresztą zaraz po ślubie Zofia uciekła mężowi sprzed ołtarza i pojechała do Zakopanego, gdzie przez trzy dni samotnie wędrowała po górach, podczas gdy jej świeżo poślubiony małżonek odchodził od zmysłów, poszukując jej wszędzie.

Początkowo jednak Karol był pod wielkim urokiem żony. Nazywał ją czule „czupiradełkiem", pomagał w promocji jej twórczości. Z tego okresu pochodzą chyba najlepsze jej prace przyjęte z zachwytem przez publiczność. Obrazy „Świt", „Po burzy", „Wykroty", rewelacyjne ilustracje do „Trenów" i „Monachomachii". Stryjeńska stworzyła oryginalną wizję panteonu słowiańskiego, zupełnie zapomnianych bóstw takich jak Pogody, Swaroga, Dziedzilii, Perkuna. Oszałamiającą karierę zrobił jej cykl „Pascha", gdzie Chrystus, apostołowie i trzy Marie to Polacy otoczeni żołnierzami w pruskich pikielhaubach. Jej ilustracje do kolęd, pieśni legionowych i obyczajów świątecznych wydawane były na pocztówkach.

W 1918 r. na świat przyszło pierwsze dziecko Stryjeńskich – córka Magda. Zofia

Zofia Stryjeńska FOT. NAC

marzyła o synu, urodzenie córki przyjęła z zawodem. W swoim pamiętniku zanotowała, że po porodzie była wściekła, drwiła z „powinszowań, kwiatów i odwiedzin", z niechęcią karmiła dziecko.

Rok później Stryjeńscy wyjechali do Paryża, pozostawiając córkę pod opieką rodziny. Nad Sekwaną doszło do pierwszego ostrego kryzysu małżeńskiego. Zofia zaczęła podejrzewać, że stała się mężowi obojętna, nie ukrywała, że chciała być „kochana dla siebie samej, nie dla pacykarstwa". Wybrała jednak fatalną metodę sprawdzenia uczuć męża.

„Pod wpływem tych gorzkich refleksji – opisywała w pamiętniku – lecę do stołu, gdzie leżały między książkami i zaczętymi drzeworytami przywiezione do Paryża oryginały mych prac i szast! Szast! Szast – strzępy rozsypały się po całym pokoju".

Karol rzeczywiście był już zmęczony wybuchami żony, nie wytrzymał presji i powrócił do kraju. Zachował się jednak zupełnie bez klasy, zostawiając żonę w Paryżu kompletnie bez pieniędzy. Wróciła dzięki pomocy rodziny i pod Wawelem zamieszkali oddzielnie.

Nie na długo. Zofia kochała jednak męża i zaproponowała, aby ponownie zamieszkali razem. Karol wyraził zgodę, zaproponował wspólne wyjście do teatru. Nie spędzili jednak tego wieczoru razem, mąż zawiózł ją do kliniki znanego krakowskiego psychiatry dr. Piltza.

Karol

Z opresji ponownie wybawili ją rodzice, ale małżeństwo nie miało przed sobą przyszłości. Zofia, pomimo pozorów ognistego temperamentu, nie przepadała za fizyczną stroną miłości. Pragnęła ciepła i czułości, seks właściwie jej nie interesował. A on miał potrzeby normalnego mężczyzny i tak się zachowywał. Na początku wymykał się na całonocne imprezy alkoholowe z przyjaciółmi, potem w jego życiu pojawiły się inne kobiety, tym bardziej że potrafił robić wrażenie na płci pięknej. Jak wyjaśniał Rafał Malczewski, „umiał się bawić i czarować kobiety od lat 1 do 100, wszelkiego pochodzenia: góralki, arystokratki, intelektualistki, artystki, sportsmenki, zakonnice, czarownice, święte, wariatki lub zgoła normalne, społecznice, ladacznice, dziewice, półdziewice, mężatki, rozwódki".

Irena Krzywicka również zachwycała się Karolem, uważając go za człowieka „promieniującego wewnętrznym ogniem", natomiast plastyczkę określała mianem „półwariatki". Takie relacje o obojgu powtarzają się do znudzenia w dokumentach z epoki, czego dowodem jest anonimowa relacja z wileńskiego „Słowa":

„Środkiem Krupówek leci jakiś pan, zygzakiem ogląda się trwożnie, umyka jak tubylec przed krokodylem. Za nim potężna, roztrzepana, nieuczesana, od ostatniego deszczu nieumyta, gruba pani, wymachując czymś nad głową – laską, parasolem czy też wielkim pędzlem [...]. Najciekawsze to, że w Zakopanem nikt się nie interesował taką chryją. Zapewne, Stryjeńska rozweselała całe miasto, dostarczała tematu do rozmów, ale było tego za dużo, wybiła kamieniami wszystkie szyby w szkole, której mąż był rektorem, pocięła frak na kawałki na godzinę przed uroczystym oprowadzeniem Prezydenta po szkole, nawymyślała jakiejś pannie, której mąż się ukłonił, kopnęła inną, a o gonitwach i pościgach po mieście nikt nawet nie wspominał, codzienne zjawisko".

Tymczasem oboje robili kariery. Zofia ilustrowała prace Lechonia, Ronsarda, Przerwy-Tetmajera. Uważano, że „w dziedzinie sztuki dekoracyjnej pani Stryjeńska ma w Polsce najwięcej do powiedzenia". W 1921 r. odniosła fantastyczny triumf w Zachęcie, gdzie wystawiła cykl „Łowy bogów". Słonimski zachwycał się jej „wściekłymi rzutami pędzla, jak pękiem strzał". Warszawa zakochała się w Stryjeńskiej, miała ogromną liczbę zamówień. I wzbudzała kontrowersje

eprasa.pl 2986221024

Zofia Stryjeńska (z butelką), przytulony do niej Leon Chwistek i Rafał Malczewski (z lewej) FOT. NAC

– w jej cyklu „Piastowie" Kazimierz Wielki pali papierosa, a Piast Kołodziej trzyma w dłoniach koło, bardziej przypominające kierownicę samochodu…

W 1922 r. Karol wygrał rządowy konkurs na plan regulacji Zakopanego, w tym roku objął również stanowisko dyrektora tamtejszej Szkoły Przemysłu Drzewnego. Opracowywał nadal projekty architektoniczne, a jeden z nich znany jest niemal każdemu Polakowi. To Wielka Krokiew w Zakopanem.

Stryjeńscy przenieśli się do Zakopanego, na świat przyszły bliźnięta Jan i Jacek. Zofia zadręczała jednak męża swoją zazdrością, inna rzecz, że miała ku temu powody. „Sekretarka Karola – wspominała Magdalena Samozwaniec – siedzi kiedyś w pracowni i pisze na maszynie; nagle trzask! Wszystkie szyby lecą! Przerażona wybiega, by zobaczyć, co się stało, a na to któryś z uczniów powiada, że to pani Stryjeńska przyjechała".

Zosia bardzo kochała swoich synków bliźniaków (wobec córki zawsze zachowywała dystans), ale nie sprawdzała się w roli matki. Kiedyś zamknęła niemowlęta w szufladzie, aby nie przeszkadzały jej w pracy, po czym zapomniawszy o dzieciach, wyszła na imprezę. Przypomniała sobie o tym dopiero w trakcie tańca…

Odnosiła jednak sukcesy jako artystka, czego ukoronowaniem była Międzynarodowa Wystawa Sztuki Dekoracyjnej w Paryżu w 1925 r. Otrzymała cztery Grand Prix (za malarstwo ścienne, plakat, tkaninę i ilustrację książkową), dwie drugie nagrody, a jej dekoracyjne panneau przedstawiające pory roku zdobiły ściany pawilonu polskiego. Francuscy dziennikarze z zachwytem podkreślali, że łączy polskość z nowoczesnością. Nie powielała bezkrytycznie zachodnich nowinek, prezentując własny styl, rozpoznawalny na pierwszy rzut oka, a fantazja i talent były wręcz oszałamiające.

Wreszcie Karol miał już dość. Porozumiał się z lekarzem zdrojowym Tadeuszem Gabryszewskim i komisarzem rządu na Zakopane. Obaj byli jego dobrymi znajomymi, a w całą sprawę wmieszano jeszcze policję. Ostatniego dnia sierpnia 1927 r. w domu Stryjeńskich doszło do kolejnej awantury, a Karol wezwał lekarza i siły porządkowe. Zofię zatrzymano i wywieziono do zakładu zamkniętego w Batowicach pod Krakowem.

Prasa ogólnopolska podała informację o wydarzeniach, a dziennikarze prześcigali się w spekulacjach. Natomiast opinia publiczna w Zakopanem podzieliła się na dwa obozy, przy czym za Zofią ujmowali się wyłącznie koledzy po fachu. Może oni najlepiej rozumieli koleżankę plastyczkę?

Krakowscy lekarze uznali zatrzymanie Stryjeńskiej za bezzasadne, zwolniono Gabryszewskiego, a zaraz po nim z posadą pożegnał się komisarz rządu. Sprawa trafiła na drogę sądową, a wyrok był jednoznaczny – zatrzymanie Stryjeńskiej było nieuzasadnione, koszty sądowe musiał pokryć Karol. Ostatecznie doszło do rozwodu, ale opiekę nad potomstwem przyznano mężowi. Karol nigdy się dziećmi specjalnie nie interesował, wobec czego wychowaniem zajęła się jego siostra, bezdzietna Joanna.

Do końca życia za Stryjeńską miała się ciągnąć opinia „osoby, która była w domu wariatów". Odsunęli się od niej znajomi, przyjaciele, musiała opuścić Zakopane. Wyjechała do Warszawy, gdzie wspólnie z siostrą wynajęła mieszkanie.

Do Warszawy przeprowadził się również Karol, obejmując Katedrę Rzeźby Monumentalnej na Akademii Sztuk Pięknych. Spotykali się czasami na ulicy, omijając się jak „dwoje obcych ludzi". W 1932 r. Stryjeński został współzałożycielem i pierwszym dyrektorem Instytutu Propagandy Sztuki – placówki konkurencyjnej wobec Zachęty. Nie nacieszył się długo nowym stanowiskiem, w tym samym roku zmarł na wylew krwi do mózgu.

Zofia nadal nie miała szczęścia do mężczyzn. Dwa lata po rozwodzie wyszła za mąż za aktora Artura Sochę, zmieniając wyznanie na ewangelickie. Nie mogła gorzej trafić. Stryjeński przynajmniej nieźle zarabiał, podczas gdy jej nowy mężczyzna tylko brał od niej pieniądze. Całymi dniami przesiadywał na jej koszt w lokalach, a na dodatek zaraził ją chorobą weneryczną.

Na świecie szalał kryzys ekonomiczny, sztuka przestała być opłacalna, artystka z trudem zdobywała pieniądze na codzienne życie, zwłaszcza że moda na jej prace przeminęła. Mówiono, że nie rozwija talentu, że powtarza te same motywy. Stryjeńska wiedziała, że znacznie obniżyła poziom: „Koloryt zaczyna być ordynarny – notowała w dzienniku – oświetlenie nieprzeprowadzone, wszystko puszczone, smarowane, aby się pozbyć, figury na obrazach mi kostnieją. Zresz-

Zofia Stryjeńska „Zbójnicki" FOT. ARCHIWUM

eprasa.pl 2986221024

tą już mnie nużą ciągle, w kółko tematy na zamówienie odstawiane. Boże, Boże znikąd ratunku".

Obrazy sprzedawała za bezcen, wyprzedawała ubrania, meble. Obsesją stało się zarobienie kwoty wystarczającej na wynajęcie samodzielnego mieszkania i sprowadzenie dzieci. Pożyczała od znajomych i nieznajomych, kupowała na kredyt farby, żyła za cudze pieniądze. Nachodzili ją wierzyciele – w 1935 r. wystawę w Instytucie Propagandy Sztuki zajął komornik.

Rozwiodła się z Sochą, przeżyła dwa gwałtowne romanse: z architektem i bon vivantem Achillesem Brezą, a następnie z podróżnikiem i pisarzem Arkadym Fiedlerem. Oba zakończyły się rozczarowaniami. Może rzeczywiście Stryjeńska nie była stworzona do stałego związku z mężczyzną?

Dopiero w 1938 r. otrzymała kilka zamówień z polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, w tym na kilim dla cesarza Japonii Hirohito. Wzięła udział w dekoracji wnętrz transatlantyków „Batorego" i Piłsudskiego", zaprojektowała również dekorację sali w cukierni Wedla. Ponownie zaczęły się sprzedawać jej obrazy o tematyce słowiańskiej i historycznej, a jeden z nich („Uczta Wierzynka") zakwalifikowano na światową wystawę do Nowego Jorku. Zofia tam jednak nie pojechała, stale przekładała wyjazd, chciała dotrzeć później, we wrześniu. I nie wyjechała do wybuchu wojny.

Osamotnienie

Paradoksalnie, najbardziej ustabilizowane życie rodzinne prowadziła w czasie wojny w Krakowie, przynajmniej była blisko dzieci i matki. Utrzymywała się, prowadząc biuro matrymonialne, próbowała również innych zajęć. Decyzję o emigracji podjęła po śmierci matki – nie chciała żyć w kraju rządzonym przez komunistów. Wyjechała do Szwajcarii, gdzie mogła liczyć na pomoc rodziny (Stryjeńscy mieli prawo do szwajcarskiego paszportu, po zasłużonym dla tego kraju dziadku Karola).

Ekstrawagancje Stryjeńskiej nasilały się z upływem czasu. Pled trzymała w lodówce, spała na desce w wannie. Mówiła coś o duchach, chodziła po domu w swetrach obciętych przy łokciach. Jednak wciąż tworzyła, stolik w jej mieszkaniu pokryty był stale ołówkami, kredkami, farbami. Malowała słowiańskie obrzędy, ludowe zwyczaje i stroje, hoże dziewoje i pięknych młodzianów. Zmarła w Genewie w kompletnym zapomnieniu w 1976 r.

Tymczasem w PRL ludowe motywy jej twórczości były naśladowane i masowo kopiowane. Stryjeńska stała się przypadkową patronką popieranej przez komunistów pseudoartystycznej cepelii. Artystka, która wywarła bodaj największy wpływ na oblicze polskiej sztuki użytkowej XX w., nie otrzymała jednak z tego tytułu żadnego honorarium. Komuniści nie zwracali uwagi na takie rzeczy jak prawa autorskie i szerokie grono odbiorców do dziś nie zdaje sobie sprawy, że wielokrotnie reprodukowane motywy są autorstwa Zofii. Gdyby odpowiednio podpisać jej reprodukcje w podręcznikach, na wyrobach cukierniczych, obrusach czy talerzach, to okazałoby się, że pod względem popularności rywalizować mogłaby wyłącznie z Matejką…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

patronat
HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl 2986221024

Kowboje XIX w. FOT. ARCHIWUM

Wywiad / Z Jamesem Reasonerem, autorem „Rewolwerowców"

rozmawia Piotr Włoczyk

Ostatnie dni Dzikiego Zachodu

Kiedy pastor wygłaszał w naszym kościele kazanie, kładł przed sobą na pulpicie Biblię, a po jej bokach dwa kolty...

PIOTR WŁOCZYK: Czy ktokolwiek mógł się równać na Dzikim Zachodzie z bandą Jamesów i Youngerów?

JAMES REASONER: Jeżeli chodzi o sprawianie problemów wymiarowi sprawiedliwości, to – przynajmniej w latach 70. XIX w. – nikt nie mógł się z nimi równać. Żadna inna grupa przestępcza nie była bardziej ścigana przez stróżów prawa. Jej członkami byli słynny Jesse i jego brat Frank Jamesowie oraz ich czterej kuzyni – bracia Youngerowie. Poza nimi do bandy należało też kilku ich krewniaków i znajomych.

Dziki Zachód pełen był zbirów. Dlaczego właśnie ta grupa przestępców sprawiała tyle problemów szeryfom?

eprasa.pl 2986221024

Ponieważ byli to ludzie zahartowani w ogniu wojny secesyjnej. W czasie tego konfliktu brali udział w potyczkach partyzanckich w Kansas i Missouri, które były przecież stanami granicznymi.

Czy wynik wojny domowej nie zachęcił przypadkiem niektórych byłych żołnierzy Południa do przeniesienia się na Dziki Zachód i wejścia na drogę bandytyzmu? Wiemy przecież, jak Północ obeszła się z weteranami Południa...

Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Wielu spośród mężczyzn, którzy poszli walczyć za Południe, po powrocie zamiast domów zastało zgliszcza. Ich rodziny były w rozsypce. A potem pojawili się w ich rodzinnych stronach przybysze z Północy, którzy jako zwycięzcy tej wojny na różne półlegalne sposoby starali się wzbogacić ich kosztem, kradnąc im majątki. Nie dość, że przegrali wojnę, to jeszcze stracili cały swój dobytek... Nie dziwmy się więc, że w takich warunkach wielu ludzi przestawało czuć przywiązanie do prawa i porządku. Ten czas nie był dobry dla południowców. Unia bezwzględnie traktowała przegranych, ale stany pogranicza wciąż były areną bitew. Jednak wówczas nie walczyły już ze sobą wojska Unii ani Konfederacji, tylko złoczyńcy i stróże prawa. Banda Jamesów i Youngerów stała się prawdziwą zmorą.

Zwykli mieszkańcy tamtych terenów nie mieli z nimi chyba większych problemów?

Ci zbóje byli na tyle bezwzględni, że nie mieli oporów, by wysyłać na tamten świat również przypadkowych świadków ich przestępstw. Jamesowie i Youngerowie zaczęli swoją bandycką działalność już w 1866 r. Napadali na pociągi i banki na terenie kilku stanów. Ich skoki stawały się coraz częstsze, aż banki i firmy kolejowe postanowiły wynająć najlepszych łowców głów, by raz na zawsze uporać się z tym problemem.

Kto dostał to zlecenie?

Agencja Pinkertona. Były detektyw Allan Pinkerton w czasie wojny secesyjnej zajmował się – na polecenie prezydenta Lincolna – tworzeniem Secret Service. Nic dziwnego, że jego agencja detektywistyczna miała świetną renomę. Ludzie Pinkertona tropili tę bandę, ale było to niełatwe zadanie.

W jednej ze strzelanin detektywi – odgrywający role handlarzy bydła – polegli w starciu z braćmi Youngerami, chociaż udało im się wówczas zabić jednego z nich.

Wojna między bandą Jamesów i Youngerów a detektywami była wojną totalną. Pojmani agenci Pinkertona byli przed śmiercią torturowani, co z kolei doprowadziło do radykalizacji działań agencji. Apogeum tej eskalacji było wysadzenie domu, w którym mieszkała matka Jessego i Franka Jamesów... Nie było ich akurat w środku, ale w wyniku wybuchu zginął ich przyrodni brat, a matka straciła rękę.

To nie mogło wyglądać dobrze w prasie.

I dlatego agencja Pinkertona straciła wówczas poparcie. W związku z tym jej szef postanowił w końcu porzucić zlecenie na Youngerów i Jamesów.

Ta historia nie mogła się skończyć dla bandytów happy endem. W końcu rozmawiamy o Dzikim Zachodzie, gdzie na końcu zawsze zwyciężała sprawiedliwość.

Oczywiście bandyci nie mogli odetchnąć, ponieważ ścigały ich jeszcze tysiące lokalnych stróżów prawa. Bob, Cole i Jim Youngerowie wciąż jednak dokonywali napadów wraz z Jamesami. Kres ich bandyckiemu procederowi przyniósł dopiero napad na bank w Northfield w Minnesocie, który okazał się dla nich kompletną katastrofą. Doszło do tego 7 września 1876 r. Po nieudanym skoku wywiązała się wielka strzelanina, a właściwie bitwa. Wszyscy trzej bracia zostali wówczas ciężko ranni. Cudem przeżyli, ale trafili oczywiście za kratki. Bob zmarł w więzieniu w 1889 r., natomiast Cole i Jim, po 25 latach odsiadki (skazano ich na dożywocie), zostali... ułaskawieni. Cole Younger, który stał się na stare lata religijnym człowiekiem, aż do śmierci w 1916 r. dużo pisał o swoich bandyckich czasach.

To jednak tylko połowa historii tej bandy. Jaki los spotkał Jamesów?

Starszy brat Frank dożył sędziwego wieku, ale to młodszy Jesse stał się prawdziwą legendą. Był jednym z najsłynniejszych bandytów w historii USA. 3 kwietnia 1882 r. zabił go Robert Ford, jeden z nowych członków bandy. Jesse stał akurat na krześle i odkurzał obraz, gdy Ford wpakował mu kulę w tył głowy.

Co sprawiło, że zdradził swojego szefa? Górę wzięła chęć sławy czy żądza pieniądza?

Ford zrobił to dla pieniędzy. Władze oferowały za głowę Jessego Jamesa 10 tys. dol., co było wówczas fortuną. Co ciekawe jednak, Ford nigdy nie otrzymał tej nagrody w całości. Więcej – został aresztowany i skazany za zabójstwo, ale ostatecznie ułaskawił go gubernator Missouri. Po wyjściu na wolność, rozgoryczony tym, że nie został uznany przez społeczeństwo za wielkiego bohatera, wyjechał na zachód. Był wprawdzie znany, ale właściwie aż do śmierci traktowano go niemal powszechnie z pogardą. Dorabiał na zachodzie kraju, fotografując się za pieniądze z ludźmi, którzy chcieli mieć pamiątkowe zdjęcie z zabójcą słynnego Jessego Jamesa...

Z tego, jak Dziki Zachód przedstawiany jest w kulturze popularnej, można by wysnuć wniosek, że tam się po prostu nie dało normalnie żyć. W każdej chwili jakaś banda degeneratów mogła najechać farmę bogobojnego farmera czy poczciwego hodowcy bydła.

Słyszał pan o filmie „Milion sposobów na śmierć na Dzikim Zachodzie"? To oczywiście komedia pełna wyolbrzymień, ale w tamtej części kraju faktycznie nie brakowało niebezpieczeństw. Co ciekawe, bandyci nie byli zapewne tak powszechnym problemem, jak pokazują to filmy i książki. Napady na pociągi, banki czy sklepy nie były wcale tak częste. Inaczej sprawa wyglądała z Indianami. Oni akurat mogli się pojawić w każdej chwili, i to bez ostrzeżenia.

Kościół, do którego chodziłem jako dziecko, został zbudowany w 1871 r. Zapoznałem się kiedyś z jego historią. Otóż pastor, który objeżdżał okoliczne

eprasa.pl 2986221024

Zastrzelony bandyta Bill Doolin FOT. ARCHIWUM

wspólnoty, wygłaszając kazanie w naszym kościele, zawsze kładł przed sobą na pulpicie Biblię, a po jej bokach dwa kolty. Wszyscy mężczyźni, którzy przychodzili posłuchać słowa Bożego, brali ze sobą do kościoła strzelby i karabiny.

To brzmi trochę jak historia z westernu.

Myślę jednak, że ta historia jest jak najbardziej prawdziwa. Ci ludzie naprawdę nie znali dnia ani godziny, kiedy grupa Komanczów po raz kolejny zapuści się na ich teren. Mamy relacje o uprowadzaniu przez Indian białych ludzi z mojej okolicy. Ten typ zagrożenia skończył się w Teksasie dopiero na przełomie lat 70. i 80. XIX w. (bitwa w Kanionie Palo Duro w 1874 r. była punktem przełomowym), ale na innych obszarach pogranicza Indianie stanowili pewne zagrożenie jeszcze przez kolejne 10–20 lat.

Jednakże zagrożenie utratą życia w wyniku ataku Indian nie było znowu tak duże. Dużo większym niebezpieczeństwem było ukąszenie przez grzechotnika albo zdmuchnięcie przez tornado.

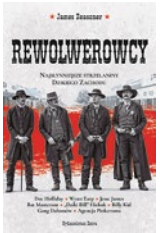

JAMES REASONER „REWOLWEROWCY” ASTRA

Co jak co, ale to się chyba nie zmieniło przez te wszystkie lata?

Tak, te dwa niebezpieczeństwa do dziś sprawiają problemy mieszkańcom Teksasu. Ja sam nigdy wprawdzie nie znalazłem się na drodze tornada, ale nie dalej niż rok temu zastrzeliłem wielkiego grzechotnika, który wpełznął na moją werandę…

Innym dużym niebezpieczeństwem były choroby. Oczywiście bakterie oraz wirusy występowały i występują wszędzie, ale ludzie w miastach mieli łatwiejszy dostęp do opieki medycznej. Gdy mieszkało się 40 mil od najbliższego miasteczka i miało tylko wóz i konia, to w przypadku prawdziwej choroby człowiek zdany był tylko na siebie samego. Podróże nie były przecież łatwą sprawą z uwagi na piekielny skwar latem, słynne Blue Northers, czyli galopujące chłodne fronty przynoszące nagłe ochłodzenie, bezlitosne śnieżyce zimą i bardzo gwałtownie pojawiające się powodzie, które mogły zaskoczyć mieszkańców właściwie o każdej porze. Tak, życie było wtedy naprawdę ciężkie.

A jednak ludzie w milionowych masach wyruszali na zachód. Teksańczycy w szczególności znani są z determinacji. Nie lubimy się poddawać, ulegać innym ludziom czy naturze. Skąd to się bierze? Podejrzewam, że z trudności, przez jakie przeszli nasi przodkowie. Pionierzy z Teksasu nie mieli zbyt dużo czasu, by siedzieć i zastanawiać się, w jaki sposób przejdą do historii, tylko walczyli z przeciwnościami losu. Ta walka zostawiła ślad w osobowości Teksańczyków. To uczucie wciąż jest u nas żywe, choć nie jest już niestety tak szeroko rozpowszechnione jak kiedyś. Ja w każdym razie jestem dumny z tego, że jestem Teksańczykiem.

Bat Masterson, Dziki Bill Hickok i Wyatt Earp. Który z tych trzech stróżów prawa najbardziej trafia do pańskiej wyobraźni?

Wydaje się, że życiorys Bata Mastersona był najbliższy tej wielkiej legendzie. Mnie w jego historii rozbraja to, że Masterson po latach został dziennikarzem piszącym o... sporcie. I to w Nowym Jorku! Zarówno Masterson, jak i Wyatt Earp dożyli do lat 20. XX w. Czasem nie chce mi się wierzyć, że młodość moich rodziców przypadła na czasy, gdy ci dwaj legendarni stróże prawa wciąż żyli!

Dziki Zachód obrósł przez lata grubą warstwą mitów. Podobno nawet te wielkie „10-galonowe” kapelusze to bajka.

Tak naprawdę style kapeluszy różniły się w zależności od regionu. Chyba nie da się powiedzieć, który kapelusz jest typowym nakryciem głowy Zachodu. Kowboje nosili duże kapelusze, ale te wysokie „10-galonowe” to raczej wymysł Hollywood. Nigdy nie widziałem zdjęcia kowboja z takim czymś na głowie! Poza przesadą z przemocą przez wiele lat za mało pokazywano czarnych i latynoskich kowbojów.

Podoba się panu nowy styl westernów, który mniej więcej od dekady króluje niepodzielnie w Hollywood?

Dzisiaj westerny są naturalistyczne, ale moim zdaniem ich twórcy przesadzili w drugą stronę. Miasteczka Dzikiego Zachodu są zawsze brudne, zawalone błotem i się rozpadają, a ich mieszkańcy to brudasy, brutale i bigoci. Ja osobiście wolę produkcje z dawnych lat. Są one podobnie nierealistyczne – np. Roy Rogers i Gene Autry jeżdżą w tych swoich pięknych koszulach i śpiewają piosenki – ale mimo wszystko wybieram Roya i Gene'a!

Kiedy tak naprawdę skończył się Dziki Zachód?

Jeszcze w czasie I wojny światowej na Zachodzie wciąż można było znaleźć miejsca, które były tak samo dzikie jak pół wieku wcześniej. Cywilizacja potrzebowała dużo czasu, by dotrzeć do każdego zakątka pogranicza. Jeszcze w latach 20. część ludzi używała do przemieszczania się tych samych starych powozów i koni. Myślę, że nie będzie przesadą, jeżeli powiem, że Dziki Zachód tak naprawdę wykończyła akcja elektryfikacji prowincji z lat 30.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

James Reasoner jest amerykańskim pisarzem specjalizującym się w tematyce Dzikiego Zachodu. W Polsce ukazała się niedawno jego książka pt. „Rewolwerowcy. Najsłynniejsze strzelaniny Dzikiego Zachodu”.

eprasa.pl 2986221024

1940–1945 / Niezwykłe historie ocalenia znanych polskich Żydów

Stawką było życie

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Tomasz Stańczyk

Polacy podczas okupacji uratowali między innymi przyszłego reżysera światowej sławy Romana Polańskiego

Wśród Polaków ratujących i przechowujących u siebie Żydów byli zarówno inteligenci, jak i chłopi. Ocalenie jednego Żyda wymagało z reguły pomocy kilku osób. Niektórzy robili to bezinteresownie, inni za pieniądze potrzebne do utrzymania ukrywających się, czasami także dla zysku. Jednym i drugim groziła za to śmierć z rąk Niemców. W historiach ocalenia opisanych w tym artykule pojawiają się szantażyści, Polacy i Niemcy. To dlatego Żydzi musieli zmieniać kryjówki i znajdowali je dzięki kolejnym Polakom.

JULIAN ALEKSANDROWICZ (ur. 1908). Przed II wojną światową ukończył medycynę. Po wojnie profesor, kierownik kliniki hematologicznej Akademii Medycznej w Krakowie, filozof medycyny.

Po ucieczce kanałami z krakowskiego getta z żoną i córką poprosił napotkaną „elegancką kobietę w krótkim czarnym futerku" o pomoc. Była żoną zarządcy wiślanego portu. „Bez wahania prowadzi nas do dróżnika zamieszkującego niewielki drewniany domek tuż obok ujścia kanału. Sama ubezpiecza naszą grupę, czy nie zagraża nam skądś niebezpieczeństwo". Stamtąd Aleksandrowiczowie musieli jednak uciekać, bo w pobliżu pojawiła się policja niemiecka z psami. Uciekając, napotkali trzech mężczyzn. Jeden z nich był kolegą z wojska dr. Aleksandrowicza. „Dwaj koledzy mojego kompana okazali się również dobrymi ludźmi". Byli to węglarze, którzy ugościli zbiegów, przenocowali ich, nie chcąc żadnego wynagrodzenia. Julian Aleksandrowicz udał się z rodziną do domu w Krakowie, gdzie ukrywały się jego babka i teściowa. Jednak tam wpadła niemiecka policja kryminalna. Lekarz usiłował popełnić samobójstwo, jego żona dała Niemcom okup. Dalszej pomocy, także w znalezieniu mieszkania, udzieliła im córka znanego malarza Wincentego Wodzinowskiego. „W międzyczasie zjawiła się w naszym życiu Maria Armatys, użyczając

eprasa.pl 2986221024

swoich papierów podobnej z wieku i fizjonomii mojej żonie, a potem nawet swojego mieszkania". Doktor Aleksandrowicz chciał walczyć z Niemcami i dalszą część okupacji spędził w oddziale partyzanckim AK jako „Doktor Twardy". Żona z synem byli pod opieką inż. Kazimierza Stefanika oraz jego żony i mieszkali w willi ich krewnych Erbanów w Bogucicach.

(cytaty: Julian Aleksandrowicz, „Kartki z dziennika »Doktora Twardego«", Kraków 2017)

Obraz Mieczysława Wątorskiego przedstawiający krakowskie getto FOT. ŻIH

LUDWIK HIRSZFELD (ur. 1884). Wybitny lekarz bakteriolog, profesor. Przed II wojną światową m.in. dyrektor Państwowego Zakładu Badania Surowic. Po wojnie utworzył we Wrocławiu Instytut Immunologii i Terapii Doświadczalnej PAN.

Wywodził się ze spolonizowanej rodziny, był katolikiem. W warszawskim getcie zyskał azyl w domu parafialnym kościoła Wszystkich Świętych na terenie dzielnicy żydowskiej. Proboszczem był ks. Marceli Godlewski. „Ongiś bojowy antysemita, kapłan wojujący w piśmie i słowie. Ale gdy los zetknął go z tym dnem nędzy, odrzucił precz swoje nastawienie i cały żar swego kapłańskiego serca poświęcił Żydom […]. Stał na czele Caritasu dzielnicy i kazał rozdawać zupę bez względu na to, czy głodny jest chrześcijaninem, czy żydem".

Na kilka dni przed wtargnięciem Niemców do domu parafialnego Hirszfeld z rodziną uciekli z getta. „Inżynier D. komunikuje mi, że życzliwy mi Polak, magister Potocki, polecił mu ratować mnie i rodzinę, bez względu na koszty". Pierwsze schronienie żona Hirszfelda znalazła u swojej koleżanki dr Marii Wierzbowskiej. „Z całą prostotą – a przecież groziła za to kara śmierci – powiada, że »naturalnie pani Hania przyjdzie do mnie«".

Hirszfeldem zaopiekował się jego przyjaciel Stanisław Kiełbasiński wraz z bratem. A jego córką znajomi profesora – państwo Voitowie. Doktor Szymon Starkiewicz znalazł dla Hirszfelda i jego córki schronienie na małopolskiej wsi u chłopa, a potem we dworze Grabkowskich w Kamiennej, znajomych Starkiewicza. Nie chcieli słyszeć o pokryciu kosztów utrzymania. Powiedzieli, że ich obowiązkiem jest pomagać inteligencji.

„Ci ludzie do gruntu dobrzy i sprawiedliwi gardzili Żydami i przypisywali im wszystko zło. Byli przekonani, że Żydzi są odwiecznymi wrogami Kościoła […]. A pomimo to litowali się nad Żydami i surowo osądzali okrucieństwa niemieckie. Na ich przykładzie i na przykładzie wielu innych ludzi z tej sfery był widoczny uszlachetniający wpływ kultury chrześcijańskiej. Mimo całej antypatii dla Żydów, mimo chęci pozbycia się ich z Polski potępiali morderstwa okupantów".

Po śmierci córki, która długo chorowała, Hirszfeldowie przenieśli się do Laury Kenigowej w Starej Miłośnie, mieszkali też u jej siostry Ireny Przedpełskiej. „Dużo pisze się o chciwości ludzi, którzy ukrywali skazańców. Myśmy mieli do czynienia z ludźmi zgoła innymi. Panią Laurę trzeba było prosić, by przyjęła opłatę za mieszkanie".

Później Hirszfeld, ze względu na to, iż „zaczęto w okolicy mówić, że pani Kenigowa przechowuje Żydów", zamieszkał we wsi Lipka u gospodarza Stanisława Kaflika. „Kaflikowie opowiadali mi z największym przejęciem o mordowaniu Żydów: »Przecież to byli ludzie i często dobrzy ludzie. Chodziło się do nich jak do swoich. Często i na borg dawali i pożyczyli parę groszy. A dzieci ich były czasem jak małe aniołki. I pomyśleć, że te małe dzieci zabijali jak kaczki. I gdzie jest ich kultura?«".

Wieś była blisko linii kolejowej, którą wieziono Żydów do obozu zagłady w Treblince. Niektórym udało się uciec z transportów. Hirszfeld pisze, że część z nich spotykała się z pomocą Polaków. „Ale te przejawy dobrego serca nie mogą przesłonić innego obrazu: uciekający bywał jednocześnie łupem dla wielu okolicznych mieszkańców. Chodziło się na nich jak na polowanie, by zrabować im dolary i kosztowności". Hirszfeld stwierdza jednak, że winę za to nie ponosi polski antysemityzm, tylko Niemcy, którzy Żydów postawili poza prawem.

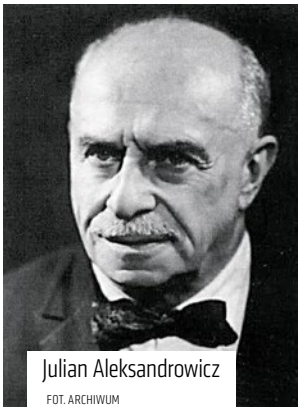

Julian Aleksandrowicz FOT. ARCHIWUM

(cytaty: Ludwik Hirszfeld, „Historia jednego życia", Warszawa 1957)

ROMAN POLAŃSKI (ur. 1936). Wybitny reżyser filmowy. Twórca m.in. nagrodzonego trzema Oscarami filmu „Pianista".

Podczas likwidacji krakowskiego getta ojciec Romana Polańskiego (nosił wówczas nazwisko Liebling) przeciął druty i kazał synowi uciekać. Miał dokąd. Pierwszą noc spędził w domu Wilków, znajomych ojca, który przekazał im środki na utrzymanie syna. Wilkowie „podrzucili" go Putkom. Bolesław Putek był dozorcą. „Dom, którego doglądał, stanowił doskonałą kryjówkę. Komu przyszłoby do głowy szukać małego uciekiniera z getta w czynszowej kamienicy zarekwirowanej dla niemieckich oficerów z rodzinami".

Roman przyjaźnił się z synem dozorcy – Mietkiem, który nie zadawał kłopotliwych pytań. „Może przez cały czas wiedział, ale dyskretnie nie poruszał tematu". Polański miał „dobry wygląd", więc mógł z kolegą swobodnie poruszać się po mieście. Miał też kieszonkowe z sumy, którą ojciec przekazał Wilkom. To wtedy zaczęła się jego miłość do kina. Namówił Mietka, by poszli do kina tylko dla Niemców, podając się za niemieckie dzieci. Kuzynka Mietka – Janka – nie lubiła małego Romana i kiedyś powiedziała: „Doniosę na tego gówniarza do Niemców. Putkowej udało się jej to wyperswadować, ale było jasne, że przechowywanie mnie staje się dla gospodarzy coraz bardziej ryzykowne".

eprasa.pl 2986221024

Jednak to Janka odwiozła Polańskiego do wsi Wysoka, do gospodarzy Buchałów. Wspominał panią Buchałową: „Dobroć, jaką mi okazywała, była tym bardziej zdumiewająca, że Putkowie prawie nic nie płacili jej za moje utrzymanie. Wyglądało na to, że większa część nieoficjalnego depozytu rozpłynęła się po drodze".

W biedującej rodzinie Roman pracował. „Obierałem ziemniaki, nauczyłem się pleść sznur z konopi, karmiłem kury, króliki, bawiłem się z kotem". Kiedy Niemcy przyszli do Wysokiej, by przeprowadzić spis ludności, Buchałowa postarała się, by na ten czas Romek ukrył się w sąsiedniej wsi. Biedujący Buchałowie nie mieli już możliwości go wyżywić, a ponadto przed zbliżającym się frontem w całej okolicy zaroiło się od żołnierzy niemieckich. Polański powrócił do rodziny Putków w Krakowie i tam doczekał się przyjścia Armii Czerwonej.

(cytaty: Roman Polański, „Roman by Polański", Warszawa 2017)

JOANNA OLCZAK-RONIKIER (ur. 1934). Pisarka, scenarzystka, współtwórczyni kabaretu Piwnica pod Baranami. Wnuczka Jakuba Mortkowicza, właściciela znanego wydawnictwa i księgarni.

Gdy w 1940 r. Niemcy nakazali rejestrować żydowskie majątki, jej babka, by uchronić własność przed konfiskatą, sprzedała, antydatując, księgarnię Annie Żeromskiej, wdowie po pisarzu, rzekomo za długi wydawnictwa wobec niego. Dochody z księgarni dostarczały środków na życie babce, matce Joanny Olczak, i jej samej. Córka Stefana Żeromskiego – Monika – znalazła dla ukrywającej się rodziny schronienie w Żbikówku, majątku jej teścia, wydzierżawionym siostrom niepokalankom. Tam trzy panie spędziły ponad rok. Z obawy przed denuncjacją musiały opuścić to schronienie. „Nie wygnały nas przecież dobre siostry w tę ciemną noc bez żadnej opieki. Musiały zadbać o to, gdzie się podziejemy. Nasze pojawienie się musiało być wcześniej zapowiedziane, ktoś z kimś na pewno ustalił ten adres na wypadek nieszczęścia, ktoś nas prowadził, wskazywał drogę".

Jednak to kolejne miejsce nie nadawało się na schronienie na dłuższy czas. I wówczas przez przypadek, szukając pokoju do wynajęcia, matka Joanny trafiła w Piastowie na panią Grabowską. Być może Grabowska nie zorientowała się, że ma do czynienia z Żydówkami, lecz „po jakimś czasie cała rodzina wiedziała już, kogo przygarnęła pod swój dach. Jednak nie okazywano cienia strachu ani niechęci, przeciwnie, ofiarowano jeszcze więcej życzliwości".

Stamtąd Joanna trafiła do sióstr niepokalanek do internatu przy ul. Kazimierzowskiej w Warszawie. „A przecież śmiercią groziło właściwie wszystko, co działo się wewnątrz klasztoru. Nie tylko ukrywanie żydowskich dzieci. Ale także nauka w klasztornej szkole przedmiotów zakazanych przez okupanta. Tajne komplety dla młodzieży gimnazjalnej i licealnej. Tajne wykłady uniwersyteckie. Duszpasterstwo dla akowców. Kontakty z podziemiem. Pomoc więźniom i osobom pozbawionym środków do życia. Dożywianie Żydów wymykających się z getta".

Był jednak donos, że w klasztorze ukrywa się żydowska dziewczynka. Wtedy Joannę i kilka innych dziewczynek żydowskich siostry ukryły za klauzurą. Niemcy usiłowali tam wejść, ale zrezygnowali, gdy siostra Wanda Garczyńska powiedziała stanowczo: „Przypominam jeszcze raz, że tu jest klauzura". Pewnego razu, gdy pod opieką Ireny Grabowskiej Joanna jechała, by odwiedzić matkę i babkę, nieznajomy mężczyzna powiedział, że wie, kim jest, bo zna jej matkę. Udawał, że idzie w inną stronę, a jednak śledził je i doszedł za nimi do kryjówki. Szantażysta wziął okup, a Joanna wróciła do klasztoru.

(cytaty: Joanna Olczak-Ronikier, „W ogrodzie pamięci", Kraków 2003)

MICHAŁ GŁOWIŃSKI (ur. 1934). Profesor, historyk literatury polskiej i teoretyk literatury.

Ucieczkę z getta wraz z rodzicami zawdzięczał bliskiemu kuzynowi matki. Miał wśród znajomych granatowego policjanta, który ich odebrał po opuszczeniu dzielnicy żydowskiej i zabrał do siebie. „W ten sposób uniknęliśmy niebezpiecznego włóczenia się po ulicach i znaleźliśmy się w świecie w jakiejś mierze przygotowanym na nasze przyjęcie – przynajmniej w ciągu najbliższych dni". Ukrywał się potem z matką w domu przy ul. Srebrnej. Tam naszedł ich szmalcownik. Wziął okup przysłany przez ojca Michała. Ukrywali się następnie w Radziwiłłowie u Kazimierza Wolskiego, emerytowanego zawiadowcy stacji. Następną kryjówką było wielopokojowe mieszkanie rodziny Bobrowskich w Warszawie. „Było ono bowiem swojego rodzaju hotelem dla ukrywających się Żydów". Bobrowscy zarabiali na tym, lecz „musieli być świadomi, że za ukrywanie Żydów dla zysku tak samo groziła kara śmierci, jak za ukrywanie ich z pobudek humanitarnych".

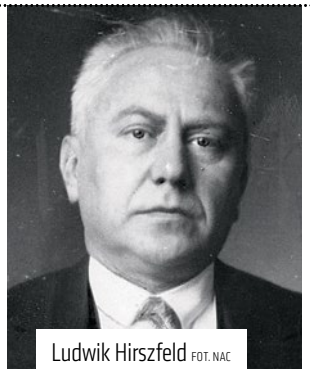
Ludwik Hirszfeld FOT. NAC

Dzięki Irenie Sendlerowej matka Michała znalazła posadę służącej, a zarazem schronienie u nauczycielki w Otwocku. On zaś przeżył dramatyczny moment w warszawskiej kawiarni. Siostra jego matki, która miała „dobry wygląd" i poruszała się swobodnie po mieście, zostawiła go na chwilę i poszła zadzwonić. Kobiety w kawiarni zwróciły na chłopca uwagę, zaczęły go indagować. „Słyszałem »Żydek, z pewnością Żydek«. »Ona nie, ale on – Żydek«... »Podrzuciła nam go«...". Zastanawiały się, co robić. Usłyszał: „Trzeba dać znać na policję". Na szczęście ciotka wróciła i wyprowadziła go z kawiarni.

Irena Sendlerowa umieściła Michała u sióstr służebniczek Najświętszej Marii Panny w Turkowicach. Był jednym z 30 żydowskich dzieci ukrywanych w klasztorze, „a więc niezmiernie, wręcz nieprawdopodobnie dużo, co siódmy czy ósmy z wychowanków był naznaczony pochodzeniem, którego ujawnienie równało się śmierci".

W Turkowicach przeżył kolejny dramatyczny moment, gdy chłopcy, bracia Z., powiedzieli: „Wiemy, że jesteś Żydem, jutro będą tu Niemcy, to im o tym powiemy, a oni zrobią z tobą porządek". Michał poszedł po ratunek do siostry Róży. „Usłyszałem, żebym się nie bał, bo wcale nie jest powiedziane, że Niemcy mają jutro przybyć do Turkowic, siostry ich kolejnego najścia się nie spodziewają. A gdyby nawet do Turkowic przyszli, to bracia Z. z pewnością tego nie zrobią, co zapowiadali. Zostaną wezwani i usłyszą, że takich rzeczy robić nie wolno. I myślę, że szybko, jeszcze w ów dzień niedzielny, wezwani zostali – i to przed oblicze samej Siostry Przełożonej. Co usłyszeli, tego, oczywiście, nie wiem, przypuszczam wszakże, że padły słowa zasadnicze".

(cytaty: Michał Głowiński, „Czarne sezony", Kraków 2002)

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

W następnym numerze „Historii Do Rzeczy" losy kolejnych ocalonych.

eprasa.pl 2986221024

IX w. /

„Wikingowie", sezon 3. Kadr reklamowy

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wikingowie

epraśa.pl 2986221024

Skandynawskie podboje w serialu Hirsta

w wersji pop

prasa.pl 2980221024

Jakub Ostromęcki

„Nie interesuje mnie fantastyka, tylko prawdziwi ludzie" – rzekł Michael Hirst o swoim największym dziele, liczącym już pięć sezonów serialu „Wikingowie". Minął się z prawdą

Pierwszoplanowi bohaterowie serialu, którego akcja toczy się w IX w., z wyjątkiem na poły mitycznej Lagerthy, są plejadą postaci historycznych. Wielu z nich nie mogło jednak spotkać się w rzeczywistości. Największą pomyłką jest tu rówieśnictwo Ragnara „Wełniane Portki" i Hrolfra (w filmie Rollo). Ragnar, zależnie od źródła, umarł w 845 r. w wyniku zarazy po złupieniu Paryża albo najpóźniej w latach 60., gdy żył jeszcze król Ælla, który skazał go na okrutną śmierć. Rollo był wtedy niemowlęciem. Ragnar nie mógł również walczyć w jednej armii z pojawiającym się w środku serialu Haraldem Pięknowłosym ani ścierać się z hr. Odo, którzy należą już do innego pokolenia.

Największym kuriozum w serialu jest wspomnienie, na szczęście epizodyczne, o zabitym Swenie Widłobrodym, który – jak wiemy – panował pod koniec X w. i umarł śmiercią naturalną. Kilku najsłynniejszych wikingów IX w., choćby pustoszący Anglię Guthrum i zmora Paryża Sigurd, są w serialu postaciami drugoplanowymi.

Grzywy, tatuaże i seks

Serial pełen jest wątków nawiązujących do prawdziwych wydarzeń lub fragmentów poematów i sag z całej, liczącej ponad 200 lat, epoki wikingów. W jednej z lokalnych, choć krwawych potyczek Rollo przebija włócznią swojego byłego przyjaciela, unosząc go nad sobą – to przywołanie bitwy pod Brunanburh, gdzie koalicja wikingów i Celtów została rozgromiona przez Anglosasów. Torturowanie angielskiego biskupa przywiązanego do kościelnej kolumny nawiązuje do śmierci króla Anglii Wschodniej – Edmunda Męczennika. Filmowy Ragnar nieomal zdobywa Paryż za pomocą brawurowego podstępu, żądając chrześcijańskiego pochówku, kładąc się w trumnie i udając trupa. Za swoją naiwność płaci nachylający się nad domniemanym truchłem biskup, który rychło zostaje przebity mieczem przez Ragnara. Fortel ten w rzeczywistości zastosował Hastein, towarzysz Björna

Clive Standen jako Rollo

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 2986221024

Żelaznobokiego, syna Ragnara, w czasie zdobywania włoskiej Luny.

Rozciągnięte na kilka odcinków oblężenie Paryża to zaś kompilacja dwóch kampanii – z lat 40. i 80. Hirst, przedstawiając hr. Odo, ociera się o paszkwil. Ten frankoński wódz niczym perwersyjny markiz z XVIII w. lubuje się w chłostaniu nagich kobiet. Jego królewskie ambicje doprowadzają go zaś do okrutnej śmierci. Prawdziwy Odo z rodu Robertynów rzeczywiście zdobył koronę Franków zachodnich. Był zaś władcą, do którego przyczepić się nie sposób – waleczny, zdolny do poświęceń i jednocześnie rozważny.

Hirst dostarcza dość wyrywkowej wiedzy o wikińskich obyczajach. Sceny pogrzebów zacnych wojów i jarlów wiernie skopiowano z relacji arabskich podróżników. Podobnie jest z dość swobodnymi w oczach chrześcijan i muzułmanów obyczajami seksualnymi. Reżyserowi ewidentnie bliżej do wikingów niż chrześcijan. Przemilczał więc to, że w powszechnym zwyczaju w Skandynawii było rzucanie całkowicie zdrowych noworodków, najczęściej dziewczynek, na pastwę żywiołów. Zwyczaju tego zakazano po wprowadzeniu chrześcijaństwa, o czym szerzej pisała choćby Nancy L. Wicker w pracy zbiorowej „Violence and Society in the Early Medieval West".

W filmie nie powinno nas z kolei zdziwić malowanie oczu przez mężczyzn – zwyczaj ten zaobserwowali kupcy i misjonarze w Hedeby. Podobnie z tatuażami pokrywającymi olbrzymie fragmenty ciała wikińskich wojów. Gorzej przedstawiono same fryzury – prawdziwi wikingowie zapuszczali długie grzywy, podgalając włosy z tyłu. Długa kita Ragnara czy Rolla to element reżyserskiej wyobraźni. O długich włosach u europejskich rycerzy możemy mówić dopiero w epoce pełnego średniowiecza.

Poważne zastrzeżenie budzą też nazbyt fantazyjne skórzane stroje. Bardzo wątpliwa jest sprawa tortury zwanej krwawym orłem, którą w serialu oglądamy dwa razy. Rytuał, podczas którego ofierze wyciągano na zewnątrz płuca, uprzednio rozerwawszy żebra, opisany został kilkaset lat po wyprawach wikingów.

Można wybaczyć reżyserowi błąd polegający na przypisaniu każdej z walczących stron innych typów kolczug i hełmów – widz łatwiej identyfikuje wtedy bohaterów. Kompromitacją są jednak hełmy drużynników z Wessexu, będące żywą kopią XVII-wiecznych kirasjerskich papenheimów.

Kobiety z tarczą

W świecie Michaela Hirsta armie wikingów są silnie sfeminizowane. Niewiasty stanowią niemal jedną trzecią wojowników, są przy tym równie agresywne jak mężczyźni. Gwardia Lagerthy to zaś w całości tarczowniczki. Sytuacja ta nie dziwi ani wikingów, ani chrześcijan – raz tylko frankońska księżniczka Gisela przystaje wzruszona nad trupami nordyckich wojowniczek – dowiaduje się, że niewiasty owe są „równie odważne jak mężczyźni, a nieraz nawet bardziej". Hirst w swym ukłonie przed zwolennikami tezy o średniowiecznym równouprawnieniu nie jest jednakowoż konsekwentny.

Największym kuriozum w serialu jest wspomnienie o zabitym Swenie Widłobrodym, który panował pod koniec X w. i umarł śmiercią naturalną

Kobiet w wikińskiej hordzie pełno w scenach walki, życia obozowego, podczas rejsów. Gdy jednak przychodzi do łupienia, mordowania nieuzbrojonych mnichów czy wieśniaków, torturowania jeńców, czyli stałych elementów wikińskich rajdów bez względu na pochodzenie hordy, wtedy nagle orężne panie znikają, a owymi przebrzydłymi czynami zaczynają trudnić się jedynie mężczyźni. Lagertha nie ma nic przeciwko temu, aby jej kompani brali udział w mordowaniu nieuzbrojonych kapłanów, ale jest oburzona, gdy jeden zaczyna gwałcić anglosaską chłopkę.

Czy wikińskie armie przeprowadziły pierwsze w historii równouprawnienie w siłach zbrojnych? Hirst powołuje się na dwa znaleziska. Pierwsze z nich dotyczy grobu BJ 581, w którym obok ciała – jak się niedawno okazało – kobiecego pochowano broń. Drugie odkrycie dotyczy brosz przedstawiających uzbrojone kobiety. Historyk Neil Price jest skłonny uznać owe znaleziska za wystarczające dowody na istnienie wojowniczek w świecie skandynawskim. Pytanie o częstość takich zjawisk. Judith Jesch, autorka pracy „Women in the Viking Age", wyklucza, aby wojowniczki pojawiły się na polach bitew w znaczącej liczbie.

Łukasz Malinowski, autor fundamentalnej pracy „Berserkir i Ulfhednar w historii, mitach i legendach", wyraźnie zaznacza, że bractwa wojowników były typowo męskie. W opisach ich rytuałów mowa o „braciach", a nie o „braciach i siostrach". Zastanawiające, że w serialu „Wikingowie" o berserkach i ulfhednarach, czyli jednym z bardziej epickich elementów świata wikingów, mówi się półgębkiem. Owi mężowie mieli czasem w zwyczaju rozbierać się do naga w czasie walki. Być może taki obraz, poprzez podkreślenie roli mężczyzn, zaburzyłby reżyserską wizję egalitarnego społeczeństwa skandynawskiego.

Doktor Leszek Gardeła, pracownik uniwersytetów w Bergen i Bonn zajmujący się m.in. wikińskimi pochówkami, tak opisuje kwestię obecności broni w grobach kobiecych: „Pogrzeby w dobie średniowiecza (i nie tylko) były teatralnymi spektaklami mającymi na celu spełnienie oczekiwań przede wszystkim żałobników. [...] Poprzez składanie przedmiotów do grobu wyrażano różne treści – a same przedmioty wcale nie musiały świadczyć bezpośrednio o tym, KIM zmarli byli za życia. Pamiętajmy, że zmarli nie grzebią samych siebie – to, jak wygląda pochówek, jest decyzją żałobników".

Odpowiedź na pytanie, czy kobiety stawały wraz

eprasa.pl 2986221024

z mężami w ścianie tarcz, przyniosłyby badania kości poległych lub zmarłych. Przerosty prawej ręki – na jakie wskazuje Else Roesdahl w „Historii wikingów" – były cechą typowo męską, nie kobiecą. Podobnie ślady cięć i kontuzji. Do tego ostatniego zjawiska odnosi się Gardeła: „Jak dotąd w ŻADNYM grobie kobiecym zawierającym broń takich śladów nie znaleziono. Nie ma ich również na szczątkach kobiety pochowanej w grobie BJ 581 w Birce. Należy jednak zauważyć, że takich śladów zazwyczaj brak także w grobach mężczyzn pochowanych z bronią. Tłumaczyć to można na wiele sposobów – albo te osoby za życia miały dużo szczęścia i nie odniosły w boju poważniejszych ran pozostawiających trwałe ślady na kośćcu, albo NIGDY wojownikami nie były".

Gardeła przypomina też sam etos wojownika skandynawskiego: „W staronordyckich źródłach pisanych nie ma ani jednej wzmianki o tym, aby do tego zaświatowego miejsca przyjmowano kogokolwiek oprócz mężczyzn oraz aby oprócz przebywających tam einherjar (wojowników mieszkających w Walhalli i toczących tam codzienne boje) były również kobiety (oczywiście z wyjątkiem nadnaturalnych Walkirii)". Gardeła konkluduje: „Jestem dość sceptyczny wobec postulowanych przez niektórych badaczy pomysłów na temat powszechności »kobiet wojowniczek« w epoce wikingów. Nie wykluczam, że takie jednostki istniały, ale raczej nie tak często, jak pokazuje to serial »Vikings«".

Żaden ze współczesnych wikingom saskich lub frankońskich kronikarzy nie zwrócił uwagi na tak niecodzienny z pewnością w oczach chrześcijanina fakt, jak ściana tarcz pełna niewiast. Zanotowano natomiast w „Rocznikach fuldajskich", że po stronie wikingów polegli „mężowie piękni i rośli, jakich nigdy nie spotkano w tych stronach".

O kobietach wojowniczkach pisze Saxo Grammaticus, jednakże swoje dzieło stworzył 300 lat po opisywanych wydarzeniach i – jak wykazała Judith Jesch – niemiecki kronikarz kopiował zarówno dawne mity skandynawskie, jak i wątek amazonek Herodota. Obecność poległych kobiet odnotowali zaś Bizantyjczycy po zdobyciu twierdzy Dorostolon. Tam jednak mieliśmy do czynienia z obroną rejonu umocnionego przez grupę zdesperowaną wizją przegranej. W takim przypadku na mury idą wszyscy – czasem nawet dzieci.

Tchórzliwi chrześcijanie

Hirst przedstawił zbrojnych z Nortumbrii wręcz karykaturalnie. Przy pierwszym spotkaniu z wikingami Anglosasi są przerażeni. Dochodzi do sytuacji groteskowej, w której gospodarze zapewniają przybyszów o swojej łagodności, chęci handlu, dobrych intencjach. Jeden z wikingów ostentacyjnie zrywa Nortumbryjczykowi krzyż, nie wywołuje to jednak należytej reakcji napadniętego. Kończy się to wszystko, jak łatwo przewidzieć, masakrą gospodarzy. Podczas innych bitew nie jest lepiej. Woje skandynawscy biją mocniej, szybciej, prezentują większy kunszt szermierczy i są bardziej agresywni.

Warto skonfrontować te sceny z dowolnym opisem bitew, które toczyły się w IX w. między wikingami a Anglosasami. Najciekawsze ich fragmenty przytaczał Wojciech Lipoński w swych „Narodzinach cywilizacji Wysp Brytyjskich". Okazuje się, że wyspiarski etos wojskowy, poza oczywiście ewidentnymi różnicami religijnymi, akcentował podobne wartości co skandynawski. Pierwsze historyczne starcie z wikingami, które rzeczywiście odbyło się na jakiejś plaży, Anglosasi przegrali, ale próżno tam było szukać u nich śladów tchórzostwa czy gnuśności.

W połowie IX w. wikingowie coraz częściej myśleli nie tylko o grabieży, lecz także o osadnictwie. Podobną ewolucję przechodzi filmowy Ragnar. Skandynawowie dopięli swego – w Anglii powstał obszar Danelag całkowicie wyłączony spod władzy angielskich królów. Sukces owej inwazji nie polegał jednak na indywidualnej wyższości jednych wojowników nad drugimi, jak sugeruje się w serialu. Wikingowie mieli przewagę strategiczną i operacyjną, której kluczowym elementem były langskipy (długie łodzie). Byli bardziej mobilni, zdolni do skrytych nocnych marszów, organizowania kampanii zimowych i zasadzek. Hirst pokazał kilka takich triumfów. Bitwa o York, podczas której wikingowie wpuścili Anglosasów w obręb murów miejskich, atakując ich zaraz potem z flanki i wyrzynając, rzeczywiście przebiegła według takiego scenariusza.

Mało bojowo przedstawiają się też zbrojni frankijscy. Dobrze radzą sobie, gdy trzeba strzelać z kuszy i zza murów. W czasie filmowych bitew ich morale spada na tyle, że trzeba interwencji najwyższych seniorów. Raz ma mury Paryża wychodzi księżniczka Gisela i wywieszając święty sztandar Francji – oriflamme – powoduje, że w osłabione już na samym początku oblężenia serca paryskich zbrojnych wstępuje duch walki. Podczas innej bitwy interweniować musi sam Rollo, walczący od niedawna po stronie zachodnich Franków. Wymowa owej sceny jest bardzo wyraźna: zachodni Frankowie wygrywają tylko dlatego, że przewodzi im ekswiking. Znowu ma to mało wspólnego z rzeczywistością. Hirst, włączając wątek świętego sztandaru, zagalopował się – pierwszy raz użyto go podczas bitwy 300 lat po przedstawionych w filmie wydarzeniach.

Frankońskie niedomagania wojenne miały w rzeczywistości zupełnie inny wymiar niż domniemana cherlawość wojów. Wynikały z kłopotów Karola Łysego i Karola Grubego z własnymi wasalami, hrabiami. Philippe Contamine w słynnej „Wojnie w średniowieczu" pisze na temat stosunku hrabiów do wypełniania obowiązków wobec króla: „Wszyscy wzdragali się przed udziałem w tej wojnie, ciężkiej i nieprzynoszącej zysków". I dalej: „Sukcesy Skandynawów należy tłumaczyć przede wszystkim załamaniem się wszelkiego braterstwa i zgody między potomkami Ludwika Pobożnego, szybką dezintegracją władzy centralnej".

W całym okresie podbojów, czyli w stuleciach IX i X, skandynawscy wojowie przegrali połowę większych bitew – kompletnie umknęło to reżyserowi. Ich najskuteczniejszym oponentem okazał się król Wessexu Alfred Wielki, którego w serialu na razie oglądamy jako chłopca.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2986221024

1942 r. / Jak doszło do masakry desantu aliantów

Dieppe: kanadyjski koszmar

Piotr Semka

Ta bitwa była dla Kanadyjczyków tym, czym dla Polaków Monte Cassino

Pobojowisko pod Dieppe. Zabici żołnierze kanadyjscy

FOT. WIKIPEDIA

Polacy śpiewają, że maki na Monte Cassino czerwieńsze są, „bo z polskiej wzrosły krwi". Podobne uczucia mają Kanadyjczycy w stosunku do normandzkiego miasta Dieppe. 19 sierpnia 1942 r. w piasek i żwir tutejszych plaż wsiąkło tyle kanadyjskiej krwi, że wybrzeże tego francuskiego miasta uważane jest niemalże za kawałek Kanady. Symbol klonowego liścia ozdabia liczne pomniki ku czci poległych z poszczególnych jednostek, które lądowały na tutejszych plażach. Jedna z głównych arterii miasta nosi nazwę Avenue des Canadiens.

Ostatnią okrągłą 75. rocznicę bitwy – 23 sierpnia 2017 r. – świętowano w kanadyjskiej stolicy Ottawie na czele z premierem Justinem Trudeau przed National War Memorial. Weteranów uczczono w Ottawie, bo z racji wieku podróż za Atlantyk byłaby dla większości z nich już zbyt trudna. Najmłodsi mają ok. 95 lat. Ich chwałę upamiętnia „Le Mémorial du 19 août 1942" zbudowany w 2002 r. w dawnym teatrze miejskim, który zbiera wszystkie pamiątki po krwawych wydarzeniach sprzed 76 lat. Oprócz Kanadyjczyków w walkach na lądzie wzięli udział Brytyjczycy (głównie komandosi), Amerykanie i garstka „wolnych" Francuzów. Polacy wspomagali inwazję z morza (ORP „Ślązak") i z powietrza (dywizjony 302. i 303.). Z tej racji także polska flaga powiewa nad Mémorial de Dieppe.

eprasa.pl 2986221024

Wśród ofiar lądowych zdecydowaną większość stanowili jednak Kanadyjczycy. Z 4961 żołnierzy kanadyjskich, którzy uczestniczyli w lądowaniu, w ciągu jednego dnia 907 zginęło, 586 zostało rannych, a 3367 zostało wziętych do niewoli. Straty brytyjskie były mniejsze, choć też poważne. Z 1075 żołnierzy brytyjskich poległo 275 komandosów i 62 lotników. Była to największa liczba ofiar kanadyjskich sił zbrojnych poległych w pojedynczej bitwie w całych jej dziejach. Jak doszło do tej krwawej łaźni?

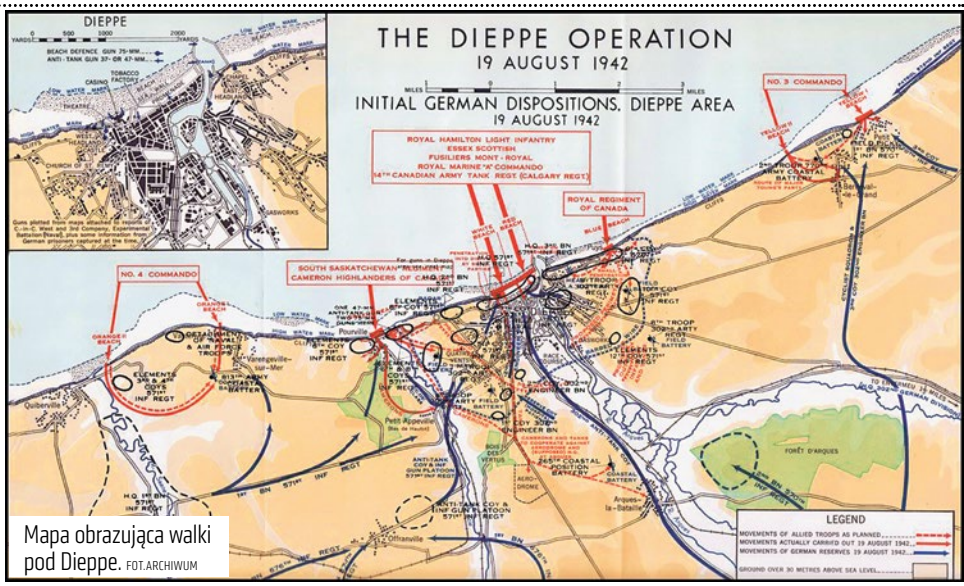

Mapa obrazująca walki pod Dieppe. FOT. ARCHIWUM

Nacisk sojuszników

Kanada w 1867 r. zyskała status dominium, czyli kolonii o sporym stopniu samodzielności. Faktycznie było to osobne państwo, choć z królową Wielkiej Brytanii jako jego głową. Jednocześnie świadomość wspólnoty politycznej i duchowej z metropolią była bardzo silna.

Po wycofaniu w 1871 r. wojsk brytyjskich Kanada nie miała regularnej armii. Nie miała także żadnych wrogów na swych granicach – Stany Zjednoczone za „republikańskie zagrożenie" uważali jedynie najbardziej radykalni kanadyjscy monarchiści. Porządek zapewniały słynna konna policja oraz milicje chroniące granice z USA i na północy z należącą do Danii Grenlandią. Po raz pierwszy korpus ekspedycyjny dla wsparcia Londynu powstał w Kanadzie na potrzeby wojny burskiej, w której walczyło ok. 1 tys. Kanadyjczyków. Po raz kolejny – już na większą skalę – siły kanadyjskie wzięły udział w I wojnie światowej, zdobywając bardzo dobrą opinię o swych walorach bojowych. Najsławniejszymi bitwami Kanadyjczyków były: zdobycie wzgórza Vimy latem 1917 r. i bitwa pod Passchendaele jesienią 1917 r. Bitna postawa wojsk zza Atlantyku w obu tych wojnach stworzyła legendę „canadian spirit".

Władze w Ottawie dzięki sławie swych wojsk wzmocniły pozycję w Londynie i we wspólnocie Commenwealth. Nic dziwnego, że po 1918 r. zaczęto tworzyć silną i – co ważniejsze – doświadczoną bojowo armię. Jej prestiż był niezwykle wysoki. Kanadyjscy oficerowie po przejściu w stan spoczynku bez trudu znajdowali pracę w Australii oraz Indiach. Kanadyjczycy uważani byli za ludzi odważnych, godnych zaufania i kompetentnych, co wiązano z trudnymi warunkami życia na północy Ameryki. Faktem była też wielka lojalność Kanadyjczyków wobec Korony. Mało kto pamięta, że po powstaniu USA do Kanady zbiegli liczni Amerykanie wierni Anglii. Niektórzy brytyjscy generałowie armię kanadyjską stawiali brytyjskim oddziałom za wzór cnót twardości i ducha bojowego.

W 1939 r. Wielka Brytania znów poprosiła o pomoc swoją zamorską siostrzycę. 10 września kanadyjski premier William Lyon Mackenzie King wypowiedział wojnę Niemcom. Podobnie jak w 1914 r. duch solidarności z metropolią okazał się zaskakująco silny. Do punktów mobilizacyjnych zgłosiło się wiele tysięcy młodych ludzi, będących pod wpływem legendy oddziałów kanadyjskich z poprzedniej wojny.

16 grudnia 1939 r. pierwszy oddział kanadyjski wylądował na terenie Wielkiej Brytanii. Do lata 1941 r. z trzech dywizji piechoty oraz brygady i dywizji pancernej stworzono I Korpus Kanadyjski. Wiosną 1942 r. siłom kanadyjskim jako formacjom doborowym wyznaczono główną rolę w planowanym ataku na jeden z francuskich portów nad kanałem La Manche. Rozpoczęły się żmudne ćwiczenia w symulowanym lądowaniu na francuskim brzegu.

Rozpoznanie bojem

Pomysł rajdu na francuski brzeg, który podjął premier Winston Churchill wiosną 1942 r., był wynikiem paru niezależnych od siebie czynników. Pierwszym były naciski Stalina, domagającego się otworzenia drugiego frontu na zachodzie dla osłabienia naporu Wehrmachtu, który latem 1942 r. zdawał się niepowstrzymany w swym natarciu zmierzającym ku złożom ropy naftowej na Kaukazie. Kolejnym czynnikiem był aktywizm strony amerykańskiej i osobiście prezydenta Franklina D. Roosevelta, który uważał, że trzeba jak najszybciej rozpocząć odwojowywanie Europy z rąk Hitlera. Dowódcy RAF, którzy po wygranej z Niemcami bitwie o Anglię dysponowali dużą liczbą „bezrobotnych" myśliwców, uważali z kolei, że atak na któryś z dużych portów Normandii (początkowo typowano Hawr) będzie okazją do wielkiej bitwy powietrznej, w której złamana zostałaby potęga Luftwaffe na froncie zachodnim. Brytyjskie służby nasłuchu marzyły o zdobyciu nieuszkodzonego egzemplarza doskonałych niemieckich stacji radarowych Freya, które były sporym zagrożeniem dla floty powietrznej RAF.

Wreszcie – i tu było najbardziej racjonalne jądro ataku – brytyjscy generałowie uznali, że tylko rozpoznanie bojem może dać wyobrażenie o skali obrony wybrzeża Normandii i problemach, jakie powstaną w razie inwazji na całe wybrzeże kanału La Manche. W optymistycznym założeniu oddziały kanadyjskie plus mniej liczni Brytyjczycy i garstka Amerykanów, wspomagani przez komandosów działających na tyłach, mieli zdobyć Dieppe i po zniszczeniu instalacji obronnych Niemców wycofać się na okręty.

Praktyka okazała się znacznie bardziej brutalna. Po pierwsze, Niemcy byli

eprasa.pl 2986221024

przygotowani na atak. Do dziś trwają spory, czy był to efekt dobrej pracy niemieckiego wywiadu, czy wczesnego zauważenia przez Kriegsmarine ruchów floty inwazyjnej. W czasie zbliżania się ku Dieppe jedna z grup okrętów przypadkowo znalazła się na kursie niemieckiego konwoju i wskutek walki uległa rozproszeniu. Krytykowano też aluzje w audycjach radiowych BBC dla Francuzów zapowiadające „ważne wydarzenia". Faktem jest, że Hitler – czy to pod wpływem danych wywiadu, czy dzięki osobistej intuicji – przerzucił w lipcu 1942 r. z frontu wschodniego na zachód parę silnych jednostek – dywizję SS „Das Reich", dywizję „Leibstandarte SS Adolf Hitler", dywizję „Grossdeutschland" oraz brygadę „Hermann Göring".

Na domiar złego brytyjskie dowództwo poniechało poprzedzenia ataku ostrym ostrzałem artyleryjskim. Zakładano, że ostrzał zniweczy efekt zaskoczenia i może zagrozić francuskim mieszkańcom Dieppe, co niechybnie wykorzystałaby propaganda Vichy. Jednak skoro efektu zaskoczenia i tak nie dało się uzyskać, brak wsparcia ogniowego oznaczał dla lądujących oddziałów tragedię.

Desant zaczął się o godz. 4.52, ale niemal wszędzie Niemcy byli przygotowani na atak. Niemiecka obrona była skuteczna i miała przewagę ogniową. Doświadczył tego South Saskatchewan Regiment, który wylądował za daleko na zachód od wyznaczonej strefy plaży. Także komandosom z powodu silnej obrony nie udało się dotrzeć do niemieckiego radaru w Pourville. Najbardziej krwawy był los żołnierzy oddziału Black Watch z Royal Highland Regiment of Canada, któremu wyznaczono lądowanie na plaży pod Pusy (oznaczenie operacyjne „Blue Beach"). Część statków przybyła tu za wcześnie, więc zaalarmowani Niemcy wysiekli ogniem maszynowym większość desantu. Nieliczni, którzy przeżyli, zostali wzięci do niewoli.

Równie tragiczny był los desantu Essex Scottish Regiment, który miał zająć plażę „Red Beach", oraz żołnierzy Royal Hamilton Light Infantry, którzy wyszli na ląd na plaży „White Beach". Niemcy dobrze okopani na okolicznym wzgórzu zalali Kanadyjczyków ogniem. Część żołnierzy Royal Hamilton Light Infantry uratowało zdobycie ufortyfikowanego przez Niemców budynku kasyna, co nie uchroniło ich jednak potem przed kapitulacją i niewolą. Niewiele dało przedarcie się części Kanadyjczyków do miasta, gdzie Niemcy szybko otaczali paroosobowe grupy, by je niszczyć ogniem maszynowym lub brać do niewoli.

Opóźnienia w lądowaniu różnych grup desantu okazały się tragiczne dla czołgów z 14. Batalionu Pancernego Calgary Tank Regiment. Miały trafić na brzeg razem z piechotą, ale wiozące je barki się spóźniły. W rezultacie 28 wozów bojowych, w większości typu Churchill Mk II, ugrzęzło w piasku i stało się łatwym celem dla Niemców.

Ponury był los Fusiliers Mont-Royal z francuskojęzycznego Quebecu, których barki wyrzuciły zbyt mocno na prawo na małą plażę otoczoną klifami. Była to pułapka, z której nie dało się uciec pod ogniem MG-42 siekących seriami ze szczytu klifu. Około godz. 11, w tej beznadziejnej sytuacji zarządzono odwrót, ale tylko niewielu żołnierzom udało się opuścić plaże, z czego część utonęła w drodze na statki. Katastrofa była totalna.

Duma Kanady

Po latach skala strat kanadyjskich pod Dieppe zmuszała do stawiania pytania, czy Brytyjczycy z rozmysłem wysłali na zatracenie nie swoje oddziały. Wątek ten z lubością podejmowała propaganda niemiecka, która kpiła, że Brytyjczycy prowadzić będą wojnę do ostatniego Kanadyjczyka. Jednak wówczas, w 1942 r., wybór Kanadyjczyków był raczej wyrazem przekonania o doborowym charakterze tych jednostek. Jakieś znaczenie miało też zapewne to, że część żołnierzy z frankofońskich prowincji mogła bez trudu porozumieć się z lokalną ludnością.

Marynarz Kriegsmarine przy czołgu Churchill pod Dieppe FOT. ARCHIWUM

Skala tragedii pod Dieppe, choć łagodzona przez wojskową cenzurę, była trudna do ukrycia wobec siły niemieckiej propagandy, która nagłośniła tę ogromną porażkę. Kanadyjczycy potraktowali tragedię pod Dieppe bardzo odpowiedzialnie. Jako powód do dumy, a nie jako powód do pretensji. Jeśli pojawiały się narzekania na „perfidny Albion", to tylko wśród frankofońskich separatystów.

Lądowanie pod Dieppe było krwawą lekcją, którą alianci niezwykle wnikliwie zanalizowali. Podstawowe wnioski mówiły o konieczności posiadania przewagi w powietrzu, o potrzebie stworzenia sztucznych portów dla uniknięcia konieczności zdobywania ufortyfikowanych przystani. Doświadczenia z Dieppe skłoniły też brytyjskiego gen. Percy'ego Hobarta do stworzenia wielu pomysłowych amfibii i pojazdów użytecznych przy desancie, zwanych potem Hobart's Funnies (dziwadłami Hobarta).

Niemcy wykorzystali klęskę do swojej propagandy. Fotoreporterzy zostali dopuszczeni do pobojowiska tuż po klęsce. Zdjęcia plaż pełnych zwłok poległych i płonących wraków czołgów stworzyły wrażenie powtórki z klęski pod Dunkierką. Sugerowano, że taki los czeka każdego, kto podniesie rękę na niemiecki plan odbudowy zjednoczonej Europy. Słynny hitlerowski plakat pokazywał plażę usianą trupami i spływający krwią krzyż z napisem: „Invasion".

Dobre samopoczucie Niemców nie trwało jednak długo. Trzy miesiące po tej klęsce alianci wylądowali bez problemów w Maroku w ramach operacji „Torch". Bez doświadczeń w Dieppe popełniliby znacznie więcej błędów w czasie inwazji w Normandii w czerwcu 1944 r.

Dowódcy sprzymierzonych pamiętali o daninie krwi z 1942 r. i zadbali o to, by honor wyzwolenia Dieppe przypadł tym, którzy przelali tu sporo krwi. 1 sierpnia 1944 r. I Kanadyjska Dywizja Piechoty wyzwoliła miasto. Już rok później – 19 sierpnia 1945 r. – odbyły się w mieście pierwsze uroczyste obchody ku czci ofiar lądowania sprzed trzech lat.

Dieppe jest dziś dla Kanadyjczyków świętym zaklęciem. Akurat my, Polacy, potrafimy takie uczucia docenić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2986221024

1960 r. / Zestrzelenie samolotu szpiegowskiego

U-2 nad Sowietami

Marcin Bartnicki

Sowieci zestrzelili amerykański samolot szpiegowski. Jego pilot Francis Powers miał popełnić samobójstwo. Nie zrobił tego i CIA uznała go za zdrajcę

Atmosfera w sowieckich jednostkach obrony powietrznej w kwietniu 1960 r. musiała być bardzo swobodna. Jednostka w semipałatyńskiej strefie testów nuklearnych dysponowała nowymi rakietami ziemia-powietrze S-75 Dźwina, które mogły zestrzelić maszynę lecącą w stratosferze na wysokości 21 km. Na takim właśnie pułapie poruszały się amerykańskie samoloty szpiegowskie U-2. Sowieccy żołnierze nie zrobili jednak użytku z nowej broni. Gdy 9 kwietnia 1960 r. amerykański pilot przelatywał nad nimi, robiąc zdjęcia supertajnych obiektów, żołnierze odpowiedzialni za monitorowanie przestrzeni powietrznej ucięli sobie drzemkę. Zareagowali za późno, a amerykańska misja szpiegowska zakończyła się sukcesem.

„Jeśli nasze jednostki przeciwlotnicze będą miały oczy otwarte i powstrzymają się od ziewania, jestem pewien, że strącimy ten samolot" – meldował Chruszczowowi marsz. Rodion Malinowski. Sekretarz generalny KPZS żądał zestrzelenia szpiega przy użyciu wszelkich dostępnych środków. Dlatego – poza rakietami – Sowieci postanowili użyć myśliwców, a nawet wysłać jednego z pilotów w nieuzbrojonym samolocie z samobójczą misją staranowania U-2.

Francis Gary Powers był najbardziej doświadczonym pilotem U-2, odbył dotąd 27 misji, m.in. nad ZSRS i Chinami. Miał na sobie ciężki skafander przystosowany do lotów w stratosferze. Bardziej przypominał w nim astronautę niż zwykłego pilota. 1 maja nie czuł się najlepiej, mimo to o godz. 1.59 czasu uniwersalnego rozpoczął procedurę startu na lotnisku w Peszawarze w północnym Pakistanie. Przelot miał trwać dziewięć godzin. Trzy czwarte z liczącej ponad 6 tys. km trasy zaplanowano nad terytorium ZSRS, w tym nad pilnie strzeżonymi lotniskami, ośrodkami wojskowymi, fabrykami przemysłowymi, a przede wszystkim nad wyrzutniami międzykontynentalnych pocisków balistycznych.

Pilotowany przez niego samolot szpiegowski U-2 wyposażony był w sprzęt fotograficzny stworzony do wykonywania zdjęć w wysokiej rozdzielczości z wysokości stratosfery. Na podstawie fotografii można było dokonać szacunków dotyczących rozwoju sowieckich zbrojeń.

W państwie kontrolowanym przez NKWD nawet cień podejrzeń o szpiegostwo mógł oznaczać śmierć. Czyniło to prowadzenie operacji wywiadowczych na terenie ZSRS wyjątkowo trudnymi. W tej sytuacji materiały fotograficzne z samolotów szpiegowskich miały szczególne znaczenie. Umożliwiały Amerykanom zajrzenie do wielu miejsc niedostępnych w inny sposób.

Powers doskonale zdawał sobie sprawę, jaka ciąży na nim odpowiedzialność. Długi, samotny lot niósł ze sobą ogromne ryzyko śmierci. W przypadku awarii lub zestrzelenia pilot miał niewielkie szanse na przeżycie. Gdyby to się udało, czekały go przesłuchania i tortury. Śmierć mogła nastąpić po pokazowym procesie lub po strzale w tył głowy bez wyroku – w zależności od tego, co uznano by akurat na Kremlu za bardziej opłacalne.

Dlatego w standardowym wyposażeniu samolotu znajdował się mechanizm samozniszczenia aparatury szpiegowskiej, a pilot otrzymywał dodatkowo srebrną dolarową monetę do zawieszenia na szyi. Po wciśnięciu paznokciem odpowiedniego miejsca moneta otwierała się, a w jej środku znajdowała się szpilka z trucizną, która umożliwiała natychmiastowe popełnienie samobójstwa.

eprasa.pl 2986221024

Lockheed U-2 FOT. ARCHIWUM

Miał to być ostatni ratunek w przypadku tortur.

1 maja 1960 r., po namierzeniu samolotu Powersa, Sowieci próbowali zestrzelić go za wszelką cenę. Ich determinacja doprowadziła do absurdalnych sytuacji. Zanim odpalono pociski S-75, z lotniska Kolcowo, znajdującego się 20 km na południowy wschód od Swierdłowska, wystartowały dwa samoloty MiG-19 i jeden Su-9. Migi nie były w stanie operować na pułapie U-2. Su-9 – rozwijający prędkość ponad dwukrotnie większą od dźwięku – mógł wznieść się na odpowiednią wysokość i doścignąć szpiega. Problem w tym, że samolot był nieuzbrojony. Jego pilot kpt. Mitiagin otrzymał więc rozkaz samobójczego ataku – staranowania U-2. Polecenie miało pochodzić od najwyższego dowództwa. Atak Mitiagina zakończył się jednak niepowodzeniem. Su-9 minął się z celem, na powtórzenie akcji zabrakło paliwa. Nie wiadomo, czy trafienie w samolot przy tak dużej prędkości okazało się zbyt trudne, czy oficer nie miał po prostu ochoty na samobójstwo.

Mniej szczęścia miał pilot jednego z migów Siergiej Safronow. Samolot Powersa został trafiony przez pierwszą z trzech rakiet wystrzelonych przez obronę przeciwlotniczą i zniknął z radarów. Kapitan Michaił Woronow dowodzący batalionem przeciwlotniczym pod Swierdłowskiem nakazał więc ponownie odpalić rakiety w kierunku kolejnego celu, który pojawił się na radarze. Były to sowieckie migi. Myśliwiec Safronowa został zniszczony, a on sam zginął. Obrona przeciwlotnicza użyła w sumie od ośmiu do nawet 14 rakiet.

W tym czasie Francis Powers walczył o życie na wysokości ok. 20 km. Wybuch rakiety spowodował oderwanie skrzydła, nie zranił jednak pilota. Powers czekał do ostatniej chwili na włączenie przycisku, który miał uruchomić mechanizm zniszczenia szpiegowskiego wyposażenia samolotu po 70 sekundach. Nie zdążył lub nie chciał tego zrobić. Gdy wydostał się z kabiny, nadal miał na twarzy maskę z tlenem, która była połączona przewodem ze spadającym wrakiem. Przewód pękł i Powersowi udało się bezpiecznie wylądować ze spadochronem. Amerykanin mógł również nie wierzyć swoim przełożonym i bał się, że uruchomienie autodestrukcji go zabije. Nie chciał popełniać samobójstwa, dlatego gdy znalazł się na ziemi, nie wykorzystał trucizny ukrytej w srebrnej dolarówce. Jego decyzje miały poważne konsekwencje dla dalszego przebiegu zimnej wojny, dlatego w CIA pojawiło się podejrzenie, że pilot doprowadził do zestrzelenia celowo.

Sowieci natychmiast zaczęli poszukiwania wraku i pilota. Powersa znaleźli kołchoźnicy, którzy przekazali go miejscowym milicjantom. W ich ręce trafiły także 7,5 tys. rubli, dolary, franki, funty, złoto, zegarki i oczywiście zdjęcia szpiegowskie, moneta z trucizną i cała szpiegowska aparatura samolotu. To wszystko spadło z nieba w samym środku Związku Sowieckiego. Chruszczow sam nie wybrałby sobie lepszego prezentu z okazji 1 maja.

Przerwana odwilż

Zanim U-2 rozpoczęły misje nad ZSRS, testowano je w serii lotów nad państwami satelickimi. Jak wynika z odtajnionych dokumentów CIA, pierwszy taki przelot, oznaczony jako „Misja 2003", odbył się 20 czerwca 1956 r. nad Polską i NRD. Departament CIA zajmujący się analizą zdjęć uznał, że są dobrej jakości. Kolejne misje – oznaczone numerami 2009 i 2010 – przeprowadzono 2 lipca. Pierwsza trasa prowadziła przez Czechosłowację i Węgry do Bułgarii, druga przez NRD, Polskę, Węgry i Rumunię.

Prezydent Eisenhower zgodził się na dalsze loty, wierząc w zapewnienia CIA, że U-2 nie są wykrywane przez radary państw bloku wschodniego. Jednak gdy 4 lipca 1956 r. samoloty wykonywały już pierwszą misję nad ZSRS, CIA nadal nie zdołała tego potwierdzić. Według instrukcji prezydenta misje miały zostać zawieszone, jeśli Sowieci będą w stanie odkryć tajne loty. Już pierwszy przelot nad Polską i NRD powinien rozwiać wątpliwości, U-2 zostały bowiem wykryte. Sowieci nie byli jednak w stanie śledzić

Gary Powers FOT. WIKIPEDIA

i przechwytywać U-2. Ograniczyli się więc tylko do noty protestacyjnej złożonej w ambasadzie USA w Moskwie.

Gdy 1 maja 1960 r. Francis Gary Powers znalazł się w rękach Sowietów, Amerykanie nadal byli przekonani, że U-2 są poza zasięgiem obrony przeciwlotniczej komunistów. Co więcej, Eisenhower został kolejny raz wprowadzony w błąd przez Allena Dullesa, szefa CIA, który zapewniał, że w przypadku zestrzelenia samolotu pilot nie przeżyje.

Gra prowadzona przez Dullesa miała katastrofalne następstwa dla USA. Po zaginięciu U-2 wykorzystano standardową „legendę", która miała tłumaczyć obecność samolotu nad ZSRS, zaakceptowaną jeszcze w 1956 r., przy pierwszych lotach szpiegowskich. 5 maja NASA wydała oświadczenie, z którego wynikało, że 1 maja straciła kontakt z samolotem prowadzącym badania meteorologiczne na dużych wysokościach. Pilot nadał komunikat na częstotliwości awaryjnej, twierdząc, że ma problemy z tlenem i znajduje się nad jeziorem Van w Turcji. Ukrywano przy tym, że Powers w rzeczywistości startował z lotniska w Pakistanie.

eprasa.pl 2986221024

RYS. JACEK GRAMBURG

Nawet gdyby pilot nie przeżył i komuniści nie odnaleźliby aparatury szpiegowskiej, tłumaczenie to musiało wydawać się wyjątkowo naciągane. Katastrofa nastąpiła bowiem kilka tysięcy kilometrów w głąb ZSRS. 2 maja, gdy Eisenhower akceptował tę wersję, Amerykanie nie wiedzieli, w którym miejscu zestrzelono samolot, a jego trasa wiodła m.in. na daleką północ do Murmańska. Wersja, według której samolot pokonałby taki dystans z martwym lub omdlałym pilotem, była kuriozalna. Eisenhower dał się również złapać w pułapkę Chruszczowa, który 4 maja potępił USA za wtargnięcie na terytorium ZSRS i przyznał się do zestrzelenia maszyny. Nie wspomniał jednak nic o pilocie.

Trzy dni później, gdy Amerykanie zabrnęli już w tłumaczenia o samolocie meteorologicznym, Nikita Chruszczow oświadczył, że pilot przeżył i przyznał, iż służy w CIA. Chruszczow ze szczegółami opowiedział o przebiegu lotu, wyposażeniu samolotu, życiorysie pilota i pokazał zdjęcia wykonane przez U-2. Amerykanom nie pozostało nic innego, jak tylko przyznać się do tajnej operacji. W Waszyngtonie popełniono jednak kolejny błąd, zdradzając, że prezydent zgodził się na prowadzenie podobnych akcji na szeroką skalę. Przyznano się więc nie tylko do pojedynczego incydentu – co i tak udowodnili już Sowieci – lecz także do całego zorganizowanego programu. Ukoronowaniem sowieckiego zwycięstwa była wystawa zorganizowana w Parku Gorkiego w centrum Moskwy. Od 11 maja można było tam oglądać szczątki wraku i wyposażenia szpiegowskiego U-2.

Powersowi urządzono pokazowy proces, na który – co wyjątkowe – zaproszono jego żonę i rodziców. Pilot wyraził skruchę i zadeklarował, że nie uważa Rosjan za wrogów. Nie otrzymał spodziewanej kary śmierci, skazano go na 10 lat – trzy lata więzienia i siedem lat ciężkich robót. Spędził jednak w ZSRS niecałe dwa lata. 10 lutego 1962 r. przeszedł przez most Glienicke, na którym Amerykanie i Sowieci wymieniali schwytanych szpiegów. Wypuszczono go w zamian za uwolnienie Rudolfa Abla.

Pod koniec lat 50. Związek Sowiecki uzyskał przewagę w broni zarówno konwencjonalnej, jak i nuklearnej. Zestrzelenie U-2 przerwało korzystny dla Zachodu proces rozluźniania napiętej sytuacji międzynarodowej. Na ile była to wina nieodpowiedzialnej polityki Dullesa i Eisenhowera, a na ile proces kontrolowany przez Moskwę, pozostaje dziś kwestią dyskusyjną.

Po wizycie Chruszczowa w USA w 1959 r. kolejny rok miał przynieść przełomowe decyzje o rozbrojeniu. 16 maja, przed wizytą Eisenhowera w Moskwie, przywódcy USA, ZSRS, Francji i Wielkiej Brytanii mieli spotkać się w Paryżu, jednak przez kryzys związany z U-2 konferencja została przerwana. Zmiana w polityce mocarstw, która wówczas nastąpiła, doprowadziła w konsekwencji w 1962 r. do kryzysu kubańskiego i rzeczywistego ryzyka wybuchu wojny nuklearnej.

Łatwość, z jaką U-2 i jego pilot wpadli w ręce komunistów, oraz skala porażki USA na arenie międzynarodowej powodowały, że w CIA podejrzewano Powersa o współpracę z Moskwą i „ustawienie" całej katastrofy. Z odtajnionych dokumentów CIA wynika, że 1 maja 1960 r. Sowieci wstrzymali ruch samolotów cywilnych nad znaczną częścią terytorium, aby jak najskuteczniej obserwować U-2, i śledzili go, już zanim opuścił terytorium Afganistanu. Zanim doszło do zestrzelenia, wysłano 13 myśliwców, którym nie udało się jednak przechwycić szpiega. Może to wskazywać, że Moskwa była dobrze poinformowana o trasie lotu. Niekoniecznie jednak przez samego pilota.

Po powrocie do USA Powers był szczegółowo przesłuchiwany przez CIA, poddano go badaniu wariografem, porównywano jego wersję ze wszystkimi zgromadzonymi na jego temat materiałami. Mimo że weryfikacja wypadła dla niego pomyślnie, nie wszyscy uwierzyli w jego wersję o udanym lądowaniu bez odniesienia poważnych ran po zestrzeleniu na wysokości 21 km.

Mimo odtajniania kolejnych dokumentów sprawa Powersa nadal budzi wiele wątpliwości. Wersja Chruszczowa, według której nie udało się zestrzelić U-2 przelatującego nad poligonem atomowym i międzykontynentalnymi pociskami balistycznymi, ponieważ żołnierze pilnujący tego kluczowego strategicznie miejsca spali, wydaje się mało wiarygodna. Szczególnie że aktywność U-2 była w Moskwie doskonale znana. Sowieci, pozwalając wykonać fotografie, mogli utwierdzić Zachód w przekonaniu o swojej przewadze militarnej. Wybierając korzystniejszą dla siebie datę na zestrzelenie samolotu szpiegowskiego, Chruszczow mógł wpędzić USA w pułapkę i potraktować incydent jako pretekst do zerwania rozmów oraz zmiany kursu.

Bez wątpienia sprawę zestrzelenia U-2 Moskwa rozegrała mistrzowsko i wygrała w rozgrywce z USA wszystko, co było do zgarnięcia. Amerykanie łatwo dali się ograć, popełniając niemal wszystkie możliwe błędy.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2986221024

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

1925–1945 / Łączność wywiadu sowieckiego

Długie macki GRU

Marian Zacharski

Sowieccy agenci działający na Zachodzie stosowali metody rodem z książek i filmów szpiegowskich

Zapewnienie ochrony tajnej łączności przed penetracją było, jest i będzie dla każdej służby wywiadowczej kluczem do sukcesu prowadzonych operacji. Sposoby utrzymywania łączności możemy w zasadzie podzielić na dwie grupy. Jedna opiera się na otwartych kanałach, czyli oficjalnych placówkach dyplomatyczno-konsularnych, a druga na kanałach niejawnych, a więc bez pośrednictwa wspomnianych placówek. W ramach kanałów otwartych krótkie informacje przesyłane były zaszyfrowanymi depeszami, natomiast obszerne materiały transportowano przy pomocy kurierów dyplomatycznych.

Achmedow i Guzenko

Amerykanie rozpoznali zasady rosyjskiej niejawnej łączności działającej w latach 1925–1951 głównie za sprawą dwóch uciekinierów z szeregów GRU. Pierwszym z nich był Ismail G. Achmedow, który w Ankarze w roku 1942 poprosił najpierw Brytyjczyków o udzielenie mu azylu, by ostatecznie, przynajmniej na kilka lat, wybrać parasol ochronny rozpięty nad nim przez turecki Inspektorat ds. Bezpieczeństwa. W tym czasie ppłk Achmedow, używając nazwiska legalizacyjnego – Grigorij Nikojew, pracował w sowieckim konsulacie w charakterze attaché prasowego.

Powodem podjęcia decyzji o dezercji było pojawienie się w Ankarze zastępcy dyrektora GRU, Leonida Naumona vel Leonida Eitingona. Celem jego misji było zorganizowanie zabójstwa niemieckiego ambasadora von Papena. Naumon planował uczynić go kozłem ofiarnym, obciążając go zarzutem zamiaru powiadomienia tureckich służb, bezzwłocznie skontaktował się z zaprzyjaźnionym oficerem wywiadu Jugosławii, który zaalarmował Brytyjczyków oraz miejscowe organy ścigania. Achmedow zapobiegł skandalowi, ale jednocześnie wpadł z deszczu pod rynnę. Powodem było to, że w imieniu brytyjskiego wywiadu przesłuchiwał go szef placówki SIS w Ankarze, Kim Philby, który uzyskane informacje dostarczał zarówno Londynowi, jak i – jak przystało na wiernego agenta sowieckiego – Moskwie.

Po 1948 r. Achmedow pojawił się na krótko w Europie, by ostatecznie osiąść na stałe w USA. W 1953 r. był przesłuchiwany przez senacki komitet ds. wymiaru sprawiedliwości. Miał o czym opowiadać, bo w swojej karierze, oprócz epizodu w Turcji, piastował kierownicze stanowisko w centrali GRU w Moskwie, a potem do dnia wybuchu wojny sowiecko-

eprasa.pl 2986221024

Igor Guzenko podczas rozmowy z dziennikarzem Associated Press w 1954 r. FOT. EAST NEWS

-niemieckiej pracował w ambasadzie swojego kraju w Berlinie, gdzie 22 czerwca 1941 r., przy akompaniamencie młotów używanych przez niemieckich policjantów próbujących sforsować stalowe drzwi, osobiście uczestniczył w pospiesznym paleniu niejawnej dokumentacji na podłodze w tajnej sekcji ambasady.

Drugim ważnym źródłem informacji był szyfrant ambasady sowieckiej w Ottawie, Guzenko, który 5 września 1945 r. poprosił o azyl. Oprócz rozległej wiedzy o zdobywaniu przez wywiad sowiecki tajemnic atomowych dostarczył także informacje o szyfrach i zasadach utrzymywania niejawnej łączności między Moskwą a placówką w Ottawie.

W ambasadzie funkcjonowali szyfranci pięciu niezależnych służb, tj. MSZ, MHZ, partii komunistycznej, NKWD oraz GRU. Każda z tych organizacji miała swój system kodowania i szyfrowania. Za bezpieczeństwo tej sekcji, koordynację nadchodzącej i wysyłanej korespondencji oraz archiwum odpowiadał jej szef. Każdy z szyfrantów zobowiązany był do umieszczenia swoich nieużywanych w danej chwili ksiąg kodowych, szyfrów oraz nieutajnionych depesz w specjalnej torbie, którą osobiście zamykał i opieczętowywał woskowym stemplem. Jako generalną stosowano zasadę, że pracownicy tajnej sekcji nie mogli prowadzić życia towarzyskiego z osobami spoza personelu placówki. Nie zalecano również spoufalania się z pracownikami niemającymi dostępu do materiałów tajnych i ściśle tajnych. W większości placówek szyfranci mieszkali na terenie ambasady lub konsulatu.

Matrosy gieroje

Jeśli chodzi o tajną dokumentację przewożoną w specjalnych kufrach przez dyplomatycznych kurierów, to bardzo często, dla zmniejszenia objętości, dokumentacja była najpierw fotografowana na kliszach 35 mm. Niektórzy agenci otrzymywali od oficerów prowadzących kamery Leica Zeiss Ikon wraz z niezbędnymi instrukcjami co do sposobu ich wykorzystania. Agenci zobowiązani byli do przekazywania filmów bez ich uprzedniego wywoływania. Chodziło w tym przypadku o to, aby w sytuacji awaryjnej mieć możliwość zniszczenia zawartości przez jej wyeksponowanie na światło dzienne.

W niektórych operacjach (np. w przypadku grupy Juliusa Rosenberga i siatki Owiakimiana) utrzymywano mieszkania, w których zgromadzony był profesjonalny sprzęt do fotografowania zdobywanej dokumentacji. Jedno z takich laboratoriów prowadził Nathan Gregory Silvermaster. Umieszczone ono było w piwnicy jego rezydencji. Nadchodzącej dokumentacji było tak dużo, że zmuszony został do korzystania z usług wspólnika, Ludwiga Ullmanna.

Funkcjonował też szeroko rozwinięty system komunikowania się z agenturą z pominięciem oficjalnych placówek. Czyniono to, korzystając z nadajników obsługiwanych bezpośrednio przez agentów, przy pomocy tajnych kurierów, wykorzystując tajnopisy oraz listy pisane tzw. otwartym kodem i przesyłane na z góry umówione adresy do korespondencji. Od roku 1926 sowiecki wywiad szeroko korzystał z usług kurierów w postaci marynarzy pływających na różnych trasach, w tym między Hamburgiem a portami amerykańskimi. Tą drogą obsługiwano m.in. siatki kierowane przez Łotysza Alfreda Tyltyna, znanego w Stanach pod nazwiskiem Tiltin lub Tilton, oraz Moische Sterna.

Z usług marynarskich kurierów korzystali również tacy sowieccy szpiedzy jak Whittaker Chambers (na terenie USA pracował dla wywiadu rosyjskiego w latach 1932–1938). Nicholas Dozenberg (nazwisko legalizacyjne: Nicolas Ludwig Dallant), urodzony w 1882 r. w Rydze, od 1904 r. mieszkający w USA, zwerbowany w 1927 r. przez Alfreda Tyltyna, przez 12 kolejnych lat służył wywiadowi sowieckiemu. Aresztowano go dopiero w grudniu 1939 r. Z usług marynarzy korzystał także pracujący dla GRU na terenie Francji Robert Gordon Switz. Marynarscy kurierzy nie tylko odbierali materiały, lecz także zaopatrywali agenturę w pieniądze.

Po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych między USA a Rosją, co stało się w 1933 r., system łączności z pominięciem oficjalnych placówek utrzymywano nadal, ale – według zeznań kolejnego sowieckiego uciekiniera, oficera Razwiedupru (poprzednik GRU), a od 1934 r. NKWD, Waltera Kriwickiego (prawdziwe imię i nazwisko: Samuel Ginzberg) – chodziło bardziej o stałe testowanie jej sprawności na wypadek wojny i spodziewanych z uwagi na nią zakłóceń w żegludze. Nawiasem mówiąc, Kriwicki w swoim wywiadowczym życiu zostawił również ślad w Polsce. W 1920 r., w czasie letniej ofensywy Armii Czerwonej, prowadził w naszym kraju działalność dywersyjną.

W latach 30. i 40. sowieccy agenci operujący na terenie południowej Ameryki utrzymywali łączność z centralą w Moskwie poprzez placówki wywiadu GRU/NKWD funkcjonujące w USA. Używano w tym celu tajnych kurierów oraz zaszyfrowanych listów słanych na z góry przygotowane adresy do korespondencji. Od początku 1941 r. amerykańska cenzura przechwytywała listy przesyłane między Nowym Jorkiem i Buenos Aires oraz Nowym Jorkiem i Mexico City. Korespondencja ze stolicy Meksyku dotyczyła głównie starań wywiadu sowieckiego o uwolnienie Ramóna Mercadera del Rio (nazwisko legalizacyjne Frank Jacson), urodzonego w Barcelonie mordercy Lwa Trockiego.

Ponieważ Mercader dawał sygnały z więzienia, że nie dociera do niego cała korespondencja, w sierpniu 1943 r. sowiecki wywiad zdecydował się na wysłanie do Mexico City kurierki, którą była nauczycielka z Nowego Jorku, Anna Vogel Colloms. Na granicy Teksasu i Meksyku w czasie kontroli znaleziono przy niej czystą papeterię, która poddana próbom chemicznym ujawniła kilka stron zaszyfrowanego tajnopisu. W październiku 1943 r. wiele krajów południowoame-

eprasa.pl 2986221024

rykańskich nawiązało z Rosją stosunki dyplomatyczne i odtąd obsługa lokalnej agentury stała się częścią misji oddelegowanych do pracy „dyplomatów".

Sorge w Tokio

Ciekawym przypadkiem była sprawa Richarda Sorgego, który w 1935 r. został oddelegowany przez Czwarty Departament sowieckiego wywiadu do pracy w Tokio. Ten niemiecki komunista od lat 20. działał w Kominternie. W Tokio pracował jako dziennikarz dla niemieckiej prasy. Doskonale wtopił się w miejscowe środowisko dostojników III Rzeszy. Przez pięć lat Sorge utrzymywał łączność z centralą w Moskwie przy pomocy kurierów przewożących rolki filmów do Hongkongu lub Szanghaju. W drodze powrotnej przywozili niezbędną do pracy gotówkę. Terminy i miejsca spotkań uzgadniano drogą radiową.

Radiooperatorem Sorgego był niemiecki komunista, Max Klausen. W Tokio przebywał pod przykryciem biznesmena zaangażowanego w eksport japońskich produktów. Pierwszy aparat nadawczo-odbiorczy zbudował sam głównie z części zakupionych w Tokio. Kolejne urządzenia przez niego konstruowane były coraz mniejsze, a więc łatwiejsze do przechowywania i w transporcie. Często zmieniał częstotliwości, na których nadawał, i znaki wywoławcze, zatrudniał pomoc domową, ale tylko na dzień, po każdym seansie łączności rozmontowywał i dokładnie ukrywał aparat nadawczo-odbiorczy, unikał rozwijania 7,5-metrowej anteny na zewnątrz, rozpościerając ją w pokoju. Jego nadajnik miał zasięg ok. 1,8 tys. km pozwalający na odbiór sygnału w Szanghaju, Chabarowsku i Władywostoku.

Od 1938 r. Klausen był także szyfrantem, dając tym samym odpocząć przepracowanemu Sorgemu. Podstawowy klucz szyfrowy pozwalający na podstawienie jedno- lub dwucyfrowych liczb w miejsce liter przechowywali w pamięci. Szyfr wzmacniali, dodając cyfry, które pobierali z niemieckiego rocznika statystycznego. W depeszy znajdowała się zawsze grupa wskaźnikowa precyzująca stronę i kolumnę cyfr rocznika, z której korzystano przy szyfrowaniu. Szyfr był trudny do złamania, ponieważ rzadko powtarzały się te same symbole. Aby mieć wyobrażenie o częstotliwości nawiązywania łączności, warto podać, że zarówno w 1939, jak i w 1940 r. Klausen po 60 razy nawiązał łączność z centralą i przekazał po ok. 23 tys. grup szyfrowych. W październiku 1941 r. Sorge, Klausen i ich siatka zostali aresztowani przez japońską policję. 7 listopada 1944 r. był ostatnim dniem życia Sorgego. Wyrok wykonano przez powieszenie.

Zdając sobie sprawę ze zbliżającego się konfliktu z III Rzeszą, Sowieci usiłowali zainstalować w Berlinie całą sieć stacji radiowych mogących zastąpić łączność opartą na ambasadzie i konsulatach. Operacją kierował radca ambasady, a jednocześnie oficer wywiadu Kobułow.

Aktywność niemieckiej policji zmusiła Sowietów do szukania bezpiecznych miejsc pracy na terenie Francji i krajów Beneluksu. Główną rolę odgrywała organizacja zwana Czerwoną Orkiestrą, którą kierował polski komunista, Leopold Trepper. W roku 1943 Niemcy unieruchomili podstawowe człony Czerwonej Orkiestry. Aresztowano wówczas prawie 100 jej członków.

Na koniec warto wspomnieć o pojedynku rosyjskiego wywiadu ze szwedzkim kontrwywiadem, na co dzień ściśle współpracującym z Sekcją Kontroli Radiowej, która odkryła w latach II wojny rosyjskie radiostacje pracujące w ambasadzie, w sowieckiej Komisji Handlowej i w biurze podróży. Jednak Sowieci pod kierownictwem jednego z oficerów, Stefana Artemiewa, rozlokowywali także dodatkowe stacje awaryjne w mieszkaniach członków szwedzkiej partii komunistycznej. Jedną z tych stacji przez bardzo krótki okres (czerwiec–sierpień 1942 r.) kierował Lennart Katz. Został złapany na gorącym uczynku, czyli w trakcie transmisji. Tego samego dnia wpadło małżeństwo Eriksson.

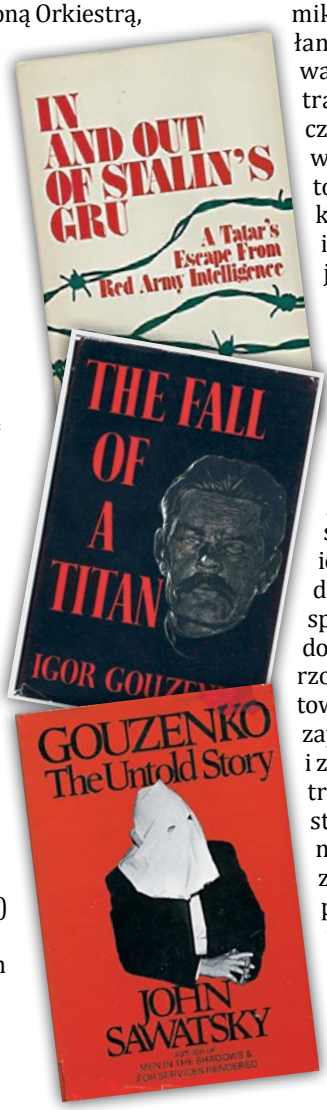

Niektórzy z radiooperatorów pełnili również funkcję szyfrantów. W trakcie rewizji ich mieszkań szczególną uwagę zwracano na regały z książkami. Szukano egzemplarzy z pobrudzonymi okładkami i stronami. Powód był prozaiczny. Radiooperatorzy mieli zwykle brudne ręce, co powodowało, że używając na co dzień książek, które służyły do wzmacniania szyfrów (w Szwecji Sowieci wykorzystywali wydania popularnych powieści skandynawskich), nieuchronnie zostawiali odciski palców niemożliwe do wytarcia.

W końcowej fazie wojny Sowieci wprowadzili na stan nowe radia znane odtąd jako Trezor M. W zakresie fotografii zbudowali kopię aparatu Leica, który został nazwany rosyjskim Fed. Kolejnym krokiem w tym postępie było stosowanie w fotografii techniki mikrokropek. Agenci wysyłani na cichy front otrzymywali wielomiesięczny plan transmisji obejmujący daty, częstotliwości i znaki wywoławcze. Ponieważ była to duża dawka informacji, kopiowano zdjęcia tych instrukcji na kawałkach jedwabiu, które wszywano do ubrań w formie podszewki.

Pomimo tego, że szkolenie radiowca trwało niekiedy nawet osiem miesięcy, nadal, jak to w życiu bywa, popełniali „głupie" błędy, ułatwiając służbom goniometrycznym ich namierzenie i likwidację. Do jednej z bardziej spektakularnych wpadek doszło w Grecji, gdzie namierzono dwa nadajniki i aresztowano 22 osoby. Starając się zapobiec „błędom człowieka" i zdecydowanie przyspieszyć transmisję, Sowieci skonstruowali automatyczny nadajnik współpracujący z Trezor M, który mógł przekazywać do 500 słów na minutę. Przeciętny radiooperator był w stanie przekazać w tym samym czasie zaledwie od 10 do 15 słów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2986221024

1994 r. /

Trzy trupy w

Piotr Zychowicz

Czarnoskóry policjant na oczach całego świata zamordował trzech afrykanerskich bojówkarzy

Gęste tłumy czarnoskórych zbierały się na ulicach miasta i poboczach głównej drogi prowadzącej z lotniska. Ludzie byli wzburzeni, wznosili groźne okrzyki, w rękach niektórych dostrzec można było kije i kamienie. Ochraniający drogę żołnierze armii bantustanu Bophuthatswany z trudem panowali nad sytuacją.

Wreszcie na horyzoncie pojawił się długi konwój pick-upów i samochodów osobowych. Pojazdy wypełnione były białymi mężczyznami w paramilitarnych, piaskowych uniformach. Byli uzbrojeni po zęby w broń krótką i maszynową. Na ich czapkach i koszulach widniały złowieszcze czerwone znaki z trójramienną swastyką.

Byli to bojówkarze Afrykanerskiego Ruchu Oporu (AWB), skrajnej nacjonalistycznej organizacji opowiadającej się za utrzymaniem w Republice Południowej Afryki apartheidu. Tłumy czarnych zafalowały, nad ciżbą przeszedł gniewny pomruk. Ludzie próbowali zastąpić drogę nadjeżdżającym, ale wówczas rozległy się strzały. Biali otworzyli ogień. Przerażeni czarni rzucili się do panicznej ucieczki.

Część członków AWB strzelała na postrach, ponad ludzkimi głowami. Inni jednak celowali w tłum i okna domów. Pociski trafiły co najmniej kilka osób. Dwie z nich miały zginąć na miejscu. Wywołało to furię nie tylko wśród cywili, lecz także w szeregach żołnierzy. Widząc białych strzelających do ich rodaków, żołnierze Bophuthatswany wpadli we wściekłość. Wściekłość tę wyładowali na ostatnim pojeździe zamykającym konwój.

Był to błękitny mercedes W114, w którym siedziało trzech Afrykanerów. W momencie mijania posterunku jeden z mężczyzn miał wycelować w stronę żołnierzy. Ci odpowiedzieli ogniem. Mercedes został zasypany gradem

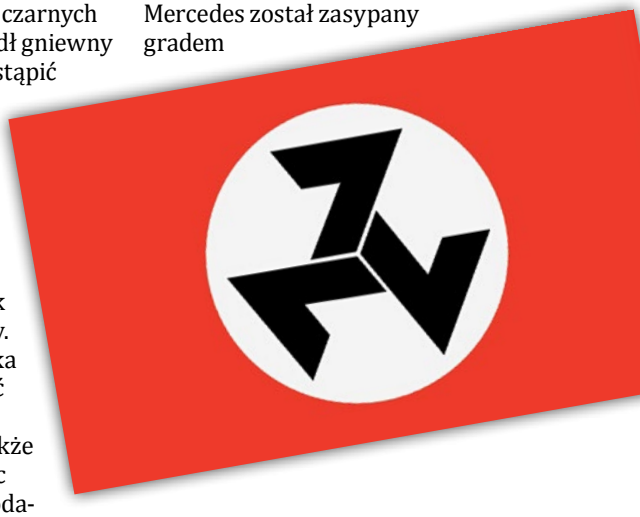

eprasa.pl 2986221024

Ranni, a następnie zastrzeleni bojówkarze AWB. FOT. AP/EAST NEWS (3)

Walka o niepodległą Bophuthatswanę

bantustanie

pocisków z broni automatycznej – w pobliżu stały dwa jeepy sił zbrojnych Bophuthatswany. Ostrzelany samochód zjechał na pobocze i po chwili wyczołgało się z niego trzech mężczyzn. Wszyscy byli ranni.

Najgorzej oberwał kierowca – Nicolaas Fourie. Otrzymał on postrzał w kark i po wygrzebaniu się z mercedesa leżał bez ruchu w kałuży krwi. Alwyn Wolfaardt został postrzelony w ramię, a Jacobus Uys w nogę. Samochód został natychmiast otoczony przez czarnoskórych żołnierzy i policjantów. Krzyczeli i mierzyli z karabinów w rannych. Członkowie AWB nie zamierzali stawiać oporu – poddali się natychmiast.

Wolfaardt – na polecenie żołnierzy – położył się na ziemi z szeroko rozłożonymi rękami, a Uys leżał na plecach oparty głową o tylne koło mercedesa. Ręce trzymał podniesione w górę.

Po chwili na miejsce przybiegł tłum dziennikarzy i fotoreporterów. Jeden z nich nagrał całe wydarzenie na kamerę. Film ten ze szczegółami ukazuje rozwój wydarzeń.

– Czy ktoś mógłby zadzwonić po pomoc? Nasz kolega jest ranny – mówi rozciągnięty na ziemi Wolfaardt.

Żołnierze nie reagują i wówczas Afrykaner zwraca się do dziennikarzy:

– Czy skończyliście już robić zdjęcia i możecie nam pomóc? Potrzebujemy ambulansu dla naszego kolegi – Wolfaardt pokazuje palcem na Fourie'ego. – Jest ranny – dodaje.

Potem kamera przesuwa się i ukazuje opartego o samochód Uysa. Jeden z żołnierzy pyta go dwukrotnie, czy jest członkiem AWB. Uys dwukrotnie daje odpowiedź twierdzącą.

– Ja – mówi po afrykanersku.

Po pewnym czasie Uys zaczyna się niecierpliwić.

– Czy możecie nam pomóc? Bardzo krwawię. Leżę tu już piętnaście – patrzy na zegarek – nie, blisko dwadzieścia minut.

Ktoś uspokajająco mówi zza kadru:

– Ambulans już jedzie.

W tym momencie do akcji wkracza jeden z umundurowanych Murzynów. Podbiega do leżących na ziemi rannych jeńców i z bezpośredniej odległości otwiera do nich ogień z karabinu automatycznego Vektor R4. Rozlega się huk wystrzałów. Dziennikarze i zgromadzeni wokół gapie rozbiegają się w przerażeniu.

Mężczyzna w mundurze z zimną krwią morduje pierwszego, drugiego, a następnie trzeciego jeńca. Po czym odwraca się i spokojnie odchodzi. Znowu błyskają flesze aparatów fotograficznych. Tym razem dziennikarze robią zdjęcia trupów. Nicolaas Fourie, Alwyn Wolfaardt i Jacobus Uys nie mieli żadnych szans. Zginęli na miejscu.

Był 11 marca 1994 r. Następnego dnia wstrząsające nagranie zostało pokazane w telewizjach po obu stronach Atlantyku. O południowoafrykańskim bantustanie Bophuthatswanie dowiedział się cały świat.

System apartheid

Aby wyjaśnić opisaną powyżej tragedię, należy cofnąć się do lat 70. Władze RPA przeszły wówczas do kolejnego

eprasa.pl 2986221024

Eugène Terre'Blanche podczas konferencji prasowej FOT. GETTY IMAGES

etapu polityki apartheidu. Czyli systemu segregacji rasowej zakładającego, że biali i czarni nie powinni tworzyć jednego społeczeństwa, tylko żyć niezależnie. Z terytorium RPA wykrojono wówczas tzw. bantustany, czyli terytoria zamieszkane przez czarne plemiona. Docelowo miały one stać się niepodległymi państwami.

Jednym z takich bantustanów była Bophuthatswana – nazywana popularnie „Bopem". Było to terytorium zamieszkane przez szczep Tswana. Bantustan 6 grudnia 1977 r. uzyskał od rządu w Johannesburgu niepodległość, a jego prezydentem został Lucas Mangope. Automatycznie 3 mln mieszkańców państewka straciły obywatelstwo RPA.

Spotkało się to ze sprzeciwem ONZ. Żadne państwo świata – oczywiście oprócz RPA – nie uznało niepodległości Bophuthatswany. Państewku udało się stworzyć tylko jedną nieformalną ambasadę – w Tel Awiwie.

Niepodległości „Bopa" nie uznał również radykalny Afrykański Kongres Narodowy (ANC) Nelsona Mandeli. Ta wspierana przez Sowietów, podziemna organizacja walczyła bowiem o likwidację bantustanów i przejęcie władzy przez czarnych na terenie całej RPA. A nie tylko w jej częściach.

Borykający się z wielkim niezadowoleniem społecznym Mangope musiał dwukrotnie – w latach 1988 i 1990 – zwracać się do armii RPA o interwencję. Raz gdy na terenie Bophuthatswany doszło do puczu wojskowego, a za drugim razem – gdy na ulicach trwały gigantyczne demonstracje. Władze w Johannesburgu za każdym razem wkraczały i przywracały porządek.

Czarne chmury nad „Bopem" zawisły w 1993 r., w trakcie rozmontowywania apartheidu. Rządzący RPA biali pod międzynarodową presją zgodzili się na rozpisanie wyborów, w których udział mogli wziąć czarni obywatele. Bantustany zostały zlikwidowane. Prezydent Mangope odmówił jednak oddania władzy i powrotu swojego państewka do RPA. 7 marca 1994 r. ogłosił, że na terenie Bophuthatswany wybory się nie odbędą.

Wywołało to gwałtowne protesty, które były bezwzględnie tłumione przez siły bezpieczeństwa i wojsko wierne Mangope. Sytuacja wymknęła się jednak spod kontroli. Spora część wojska i policji przeszła na stronę demonstrantów. Na terenie „Bopa" zapanowała anarchia. Tłumy mieszkańców grabiły i plądrowały sklepy. Na ulicach dochodziło do gwałtownych aktów przemocy. Płonęły budynki rządowe, kraj został sparaliżowany przez strajki.

Prezydent tym razem nie mógł prosić o ratunek rządu RPA. Władze w Johannesburgu miały swoje problemy. Mangope postanowił więc zwrócić się do Afrikaner Volksfront (AVF). Była to prawicowa, skupiająca białych obywateli organizacja kierowana przez byłych generałów. Jej członkowie starali się ratować to, co było jeszcze do ratowania. Nie chcieli żyć pod władzą Mandeli i domagali się wykrojenia z RPA Volkstattu. Kraju dla białych Burów ze stolicą w Kapsztadzie.

Dowódca AVF gen. Constand Viljoen chętnie zgodził się pomóc Lucasowi Mangope i wysłał do „Bopa" swoje oddziały. Mimo stanowczego sprzeciwu prezydenta do członków AVF dołączyli przedstawiciele innej organizacji – wspomnianego Afrykanerskiego Ruchu Oporu (AWB).

Wzorem Hitlera

AWB był skrajną nacjonalistyczną formacją, która nie godziła się na żadne kompromisy z czarnymi. Opowiadała się za supremacją białej rasy i utrzymaniem apartheidu. Członkowie AWB wzorowali się na hitlerowcach. Ubierali się w piaskowe mundury do złudzenia przypominające uniformy SA. Na swój symbol wybrali zaś trójramienną swastykę (trzy siódemki) umieszczoną w białym kole na czerwonej fladze.

Przywódcą i założycielem AWB był ekspolicjant Eugène Terre'Blanche. Potężny, brodaty mężczyzna, który słynął z wygłaszania płomiennych przemówień. Członkowie organizacji nie stronili od przemocy. Dokonywali brutalnych ataków na czarnych obywateli RPA, stosowali sabotaż i dywersję mające na celu zerwanie negocjacji z czarnymi. AWB był znienawidzony przez Murzynów.

eprasa.pl 2986221024

Zadaniem oddziałów AVF i AWB, które przybyły na początku marca 1994 r. do Bophuthatswany, było ratowanie reżimu prezydenta Mangope. Biali mieli obsadzić kluczowe punkty na terenie bantustanu i przywrócić porządek na ulicach. Bojówkarze AWB z miejsca zaczęli jednak dopuszczać się dzikich brewerii. Strzelali nie tylko do tłumów plądrujących sklepy, lecz także do zwykłych przechodniów.

– Przybyliśmy tu na piknik, którego główną atrakcją będzie strzelanie do Kaffirów – miał powiedzieć jeden z członków grupy.

Kaffir to obelżywy termin używany w Republice Południowej Afryki na określenie Murzynów. Odpowiednik angielskiego „Nigger" i polskiego „czarnucha". Trudno więc się dziwić, że ludzie prezydenta Mangope zażądali natychmiastowego wycofania oddziałów AWB z terenu ich państewka. Eugène Terre'Blanche po długich negocjacjach toczących się na terenie bazy lotniczej ustąpił. 11 marca 1994 r. konwój samochodów z białymi bojówkarzami opuścił lotnisko.

Jako ostatni jechał błękitny mercedes z trzema pasażerami…

Śmierć lidera

Jak skończyła się ta historia? Bophuthatswana oczywiście nie utrzymała się jako niepodległe państwo. Siły zbrojne RPA po raz kolejny wkroczyły na teren bantustanu. Tym razem żeby obalić reżim Mangope. „Bop" przestał istnieć, a jego terytoria zostały wcielone do dwóch prowincji RPA – Wolnego Państwa Oranii i Prowincji Północno-Zachodniej.

Prezydent Lucas Mangope uciekł ze swojego państewka na pokładzie śmigłowca. Potem przez wiele lat stał na czele marginalnej partyjki politycznej. W końcu został z niej jednak wyrzucony za korupcję i „skłonności dyktatorskie". Umarł pół roku temu w wieku 94 lat. W jego rodzinnej miejscowości wzniesiono mu pomnik, który ma być „atrakcją dla turystów".

Ontlametse Menyatsoe – oficer policji, który zastrzelił trzech członków AWB – stanął przed słynną Komisją Prawdy i Pojednania. W trakcie przesłuchania zeznał, że feralnego dnia działał pod wpływem silnych emocji wywołanych widokiem rannej matki. Miała ona zostać postrzelona przez jednego z bojówkarzy AWB jadących przez miasto.

Argumentację tę odrzuciły rodziny Fouriego, Wolfaardta i Uysa. Wynajęci przez nich prawnicy dowodzili, że trzej członkowie AWB mieli status jeńców. Ranni mężczyźni leżeli bezbronni na ziemi i nie stwarzali już żadnego zagrożenia. Ich zabójstwo należy więc uznać za zbrodnię z premedytacją. Argumenty te zostały przez komisję odrzucone. Uznała ona, że Menyatsoe działał z pobudek politycznych, i pozwoliła mu odejść wolno.

AWB działa do dziś, chociaż jest tylko cieniem organizacji z lat 90. Spory wpływ na jej upadek miała tragiczna śmierć Eugène'a Terre'Blanche'a. 3 kwietnia 2010 r. przywódca grupy uciął sobie popołudniową drzemkę na swojej farmie Villana w pobliżu Ventersdorp.

Tam napadło go jego dwóch młodych czarnoskórych pracowników. Bestialsko zatłukli go pałkami i maczetami. Twarz i głowa Terre'Blanche'a zostały zamienione w jedną bezkształtną masę. Aby dodatkowo upokorzyć nieboszczyka, oprawcy ściągnęli mu spodnie.

Do dziś nie są jasne motywy, jakie nimi kierowały. Według jednej wersji działali z pobudek rasowych, a według innej chcieli się zemścić za to, że Terre'Blanche zalegał im z wypłatą pensji. W trakcie procesu jeden z oskarżonych zeznał, że Afrykaner… dokonał na nim homoseksualnego gwałtu. Sąd nie dał wiary tej wersji. Jeden z morderców został skazany na dożywocie, drugi – z powodu braku dowodów – został uniewinniony.

Co ciekawe, bestialski mord Terre'Blanche'a ostro potępili nie tylko przywódcy Afrykanerów, lecz także liderzy czarnej społeczności RPA. Na czele z prezydentem Jacobem Zumą, który zabójstwo nazwał „okropnym czynem i aktem tchórzostwa".

Członkowie i zwolennicy AWB uważają zaś, że to, co dzieje się obecnie w RPA, jest dowodem na to, iż Terre'Blanche miał rację. Na terenie kraju codziennie dochodzi bowiem do brutalnych napaści na białych obywateli i mordów. Świat Burów przechodzi do historii.

„Biali mogą przeżyć w Afryce tylko jako naród – mówił Terre'Blanche. – A tym narodem zawsze byli mówiący językiem afrikaans chrześcijańscy Burowie, którzy zdobyli ten kraj dla Białych, walczyli nad Krwawą Rzeką i złożyli przysięgę, by o tym zwycięstwie pamiętać. Izrael jest ojczyzną Żydów. Czy kiedykolwiek Izraelczycy będą się dzielić władzą nad tym krajem z Palestyńczykami?".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

RYS. JACEK GRAMBURG

eprasa.pl 2986221024

1831–1868 / Mściwość carów

Pogrzebany w Szlisselburgu

Marek Gałęzowski

Walerian Łukasiński jako tajny carski więzień był osadzony w twierdzy przez 37 lat. 31 z nich spędził w celi piwnicznej, bez okien i podłogi

Półwiekowe doświadczenie jasno przekonało Polaków, że nie tylko pod rządem, ale pod wpływem Rosji Polska nie może być spokojną i dowolną. Sto razy orężem Polaki mogą być zmuszeni do posłuszeństwa i sto razy powstawszy, walczyć będą z powiększonym zapałem za swoją niepodległość, dopóki nie zostaną wolnymi. Już my nie żyjemy w tych czasach, kiedy gwałty i przemoc stanowiły prawo, i stąd możemy spodziewać się, że nasze nieszczęścia nie będą trwać długo. [...] Polska koniecznie musi być i będzie odłączona od Rosji".

Tych dumnych słów nie wygłosił żaden z XIX-wiecznych polskich przywódców politycznych ani żaden z dowódców wojskowych, rzucających wyzwanie rosyjskiemu zaborcy. Ich autorem był mjr Walerian Łukasiński, przywódca Towarzystwa Patriotycznego, najważniejszej polskiej konspiracji niepodległościowej przed powstaniem listopadowym. Pisał je w 1863 r., kiedy w Polsce o niepodległość walczyło kolejne pokolenie. Pisał je kilka miesięcy po śmierci Stanisława Dobrogoyskiego, syna swojego towarzysza z pamiętnej kaźni na Powązkach w 1824 r., który zginął w boju z Moskalami. Pisał bez nadziei, że kiedykolwiek zostaną przeczytane w ojczyźnie. Wszak od ponad 30 lat był więziony w twierdzy Szlisselburg, na jednej z wysp w pobliżu carskiej stolicy Petersburga. Jego męczeństwo spowił mrok całkowitej tajemnicy. O tym, że Łukasiński żyje w Rosji, nie wiedział w kraju nikt.

Przywódca patriotów

Słusznie nazwany męczennikiem sprawy narodowej Walerian Łukasiński urodził się w 1786 r. w Warszawie, kilka lat przed II i III rozbiorem Polski, które pogrzebały niepodległość Rzeczypospolitej. W 1807 r. wstąpił jako ochotnik do formujących się oddziałów polskich. Wsparły one armię cesarza Napoleona w wojnie z Prusami i Rosją, toczącej się wówczas na ziemiach polskich. Dwa lata później, już jako oficer Armii Księstwa Warszawskiego, odznaczył się męstwem w słynnej bitwie z Austriakami pod Raszynem. Wkrótce został przydzielony do świeżo utworzonego pułku piechoty galicyjsko-francuskiej – to w nim pozna oficerów, z którymi w przyszłości będzie współtworzyć Towarzystwo Patriotyczne – poza wspomnianym Ignacym Dobrogoyskim także Kazimierza Machnickiego i Jakuba Szredera. Nie wziął Łukasiński udziału w wyprawie Napoleona na Rosję, przydzielony został do Ministerstwa Wojny, widzimy go natomiast w ostatniej kampanii Armii Księstwa Warszawskiego – jesienią 1813 r. w bitwie pod Lipskiem i w obronie Drezna, gdzie został wzięty do niewoli.

Wrócił do kraju w następnym roku i wstąpił do Armii Królestwa Polskiego. Służył w warszawskim 4. Pułku Piechoty, popularnych „czwartakach". Interesował się sprawami publicznymi, czego wyrazem było opublikowanie głośnej wówczas broszury dotyczącej stosunków polsko-żydowskich. Zajął w niej bardzo przychylne stanowisko wobec Żydów,

eprasa.pl 2986221024

Twierdza Szlisselburska
FOT. WIKIMEDIA

Tablica na obelisku w Zgierzu, upamiętniającym Łukasińskiego FOT. MIASTO.ZGIERZ.PL

postulując ich równouprawnienie, co – jak dowodził – sprawi, że przestaną być obojętni na sprawy kraju.

Broszura była jedynie wstępem do dalszej aktywności mjr. Łukasińskiego, który 3 maja 1819 r. stworzył tajne Wolnomularstwo Narodowe. Do działalności niejawnej, opozycyjnej wobec polsko-rosyjskich władz Królestwa Polskiego, skłoniło go łamanie jego gwarantowanej konstytucją autonomii. Pisał o tym po latach: „A co robiła ta liberalna konstytucja? Ona była schowana i zamknięta w archiwach, dlatego że była liberalna, a tyrania była chodząca i działająca w osobie w. księcia Konstantego. Czasem wspominano konstytucję w niektórych postanowieniach i urządzeniach mniejszej wagi. Nawet cesarz wspomniał ją dwa razy" (wszystkie cytaty za: „Z Pamiętnika Waleriana Łukasińskiego", oprac. i wstęp Rafał Gerber, Warszawa 1986).

Odpowiedzialnym za łamanie konstytucji czynił Łukasiński przede wszystkim wielkiego księcia Konstantego – formalnie wodza Armii Królestwa Polskiego, faktycznie jego wielkorządcę, brutalnego, podejrzliwego i chętnie wysłuchującego donosów tajnej policji.

„W. księciu Konstantemu oddano nieszczęśliwą Polskę, ażeby tam bez przeszkody mógł doświadczać swojej tyranii i kaprysów, w nadziei, że Polaki, słabi, nie odważą się stawić mu żadnego oporu [...]. Zniechęciwszy cesarza z pomocą niedołężnych, lecz lubiących władzę ministrów i może nadto gorliwego i rozjątrzonego sejmu, w. książę Konstanty zrobił się samowładnym monarchą, senator Nowosilcow jego pierwszym ministrem, prawdziwi ministrowie jego pokornymi sekretarzami, a nieszczęśliwy i godny litości starzec [Józef] Zajączek, osłabiony fizycznie i umysłowo, przyjął rolę być maszyną do podpisowania, co mu tylko przedstawiono. Czegóż można było spodziewać się od podobnego rządu? [...] Złe pomnażało się codziennie. Szpiegostwo i donosy tak zagęściły się, że nikt nie był spokojnym wpośród swojej rodziny. Nieufność była wszędzie. Maksyma tyranów: »divide et impera«, była godnie naśladowana przez w. księcia Konstantego; Polaków ostrzegano pod ręką: »Strzeżcie się Ruskich, oni [na] was donoszą«, a Ruskim toż samo mówiono o Polakach; jednym słowem, dawna nieprzyjaźń dwóch narodów, żyjących teraz razem i mających codziennie między sobą stosunki, nie tylko nie zmniejszyła się, ale zamieniła się w nienawiść".

Donosicielstwo stało się powszechne. „Czternaście rodzajów policji tajnych i jawnych liczono w samej Warszawie. Jawna policja, rozumie się, pod podobnym rządem była kłótliwa i niespokojna, mieszała się we wszystko i przed jej szperaniem trudno się było ukryć. Najmniejsze zdarzenia, niewarte nawet żadnej uwagi, były donoszone w. księciu Konstantemu, który chwalił się tym przed wszystkimi tak dalece, że mnie powiedział, rozmawiając ze mną: »Ty nie ukryjesz się przede mną ze swoimi postępkami, ja wiem, co ty jadasz na obiad«. Tak w samej rzeczy on nie znał o utworzonej rewolucji 1830 roku ani nawet przedtem o Wolnomularstwie Narodowym. Karmiono go tylko fraszkami i on był dowolny, myśląc, że wie o wszystkim".

Bardzo silny sprzeciw budziło również postępowanie Konstantego, w którego osobowości można było dostrzec skłonności sadystyczne, co dotkliwie odczuli żołnierze i oficerowie podległej mu armii polskiej. „Co się tyczy kary [Konstanty], to on w tym szczodrością przechodził wielu monarchów. Sto kijów za najmniejsze uchybienie to była zwyczajna kara; w przypadku posuwał liczbę tę aż do tysiąca. On nie lubił rozlewać krwi, on tylko znajdował ukontentowanie męczyć ludzi. Kajdany, kule działowe z łańcuchami ważącymi 18 funtów, noszone przez więźniów na ramionach przy ciężkiej pracy – te były zwyczajnie używane. Ile razy w. książę Konstanty był w Zamościu, to chodził między więźniami (z których znał bardzo wielu i przy swojej nadzwyczajnej pamięci wiedział ich nazwiska i ich wykroczenia), to wtenczas z największą radością naigrawał się nad nimi" – wspominał Łukasiński.

Dość więc było przyczyn, by sprzeciwić się rosyjskiemu satrapie – carskiemu bratu, wielkiemu ks. Konstantemu.

Sąd nad majorem

Wolnomularstwo Narodowe przetrwało dwa lata, po czym Łukasiński uznał

eprasa.pl 2986221024

za konieczną jego rozbudowę, i w maju 1821 r., podczas zebrania w Warszawie, powołał w jego miejsce Towarzystwo Patriotyczne – konspiracyjną organizację niepodległościową, działającą w Królestwie Polskim. Sam objął kierownictwo nie tylko całości, lecz także prowincji wojskowej, czyli struktury Towarzystwa Patriotycznego w armii. Jak pisał Szymon Askenazy, w słowach tych oddając całą głębię patriotyzmu Łukasińskiego: „Tutaj, najwidoczniej, był istotny punkt ciężkości całego związku, tutaj też posterunek najtrudniejszy i najniebezpieczniejszy. Stanął na nim, rzecz prosta, Łukasiński, jedyna dusza bezwzględnie ofiarna śród wszystkich trzynastu obradujących".

Działalność ta nie trwała długo. Łukasiński i jego współpracownicy zostali aresztowani jesienią następnego roku, a w czerwcu 1824 r. skazani przez sąd wojenny złożony z polskich oficerów. Łukasiński otrzymał dziewięć lat ciężkiego więzienia, został też wraz z Dobrogoyskim i Mikołajem Dobrzyckim poddany publicznej degradacji, która nastąpiła 2 października 1824 r. w obozie wojskowym na warszawskich Powązkach. Wszystkim trzem oficerom zerwano szlify i odznaki wojskowe, kat złamał szablę nad ich głowami, następnie jego pomocnicy „zdarli im mundury, ubrali ich w szare kitle więzienne i zgolili głowy" (Askenazy), po czym okuto ich w kajdany i zmuszono przy biciu w bębny do przejścia przed szeregiem wojska.

Łukasiński był początkowo więziony w twierdzy w Zamościu, a następnie został potajemnie przewieziony na dalsze śledztwo do Warszawy. Tutaj przed komisją śledczą, złożoną z ośmiu polskich senatorów, 30 listopada 1827 r. „po raz ostatni widział i słyszał Polaków i sam polską do nich odzywał się mową". Na koniec jeszcze, odchodząc, „w kajdanach, wychudły, wyniszczony, ruina ludzka [...] rzekł z rozpaczą: »Patrzcie, co ze mnie zrobiono«" (Askenazy).

Nie był jeszcze całkowicie izolowany, wiedział o wstąpieniu na tron rosyjski Mikołaja I i o pogorszeniu sytuacji politycznej w Królestwie, o czym wiele lat później pisał: „Położenie kraju było nieznośne i pogarszało się codziennie. W. książę Konstanty bez żadnego hamulca uciskał kraj swoimi dzikimi skłonnościami i przez swoje kaprysy i tyranią przyprowadziwszy Polaków do rozpaczy, zmusił ich do powstania. Cesarz Mikołaj, oślepiony pychą i zemstą, nie kładł żadnych granic swojej nienawiści. On nie mógł tego znosić, że Polacy tak prędko zapomnieli tych wielkich dobrodziejstw, którymi tak szczodrze obdarzył ich w Warszawie, to jest widowiska koronacji i pieczonych wołów, karał więc surowo, często nie oddzielając winnych od niewinnych, podeptał nie tylko sprawiedliwość i ludzkość, ale nawet przyzwoitość. On natężał swój umysł, ażeby w każdym momencie i miejscu pokazywać Polakom swoją nienawiść i wzgardę". Jak pisał dalej Łukasiński, poza tą polityką do wybuchu powstania 1830 r. „wiele przyczyniły się niespokojności w Europie", lecz decydującą przyczyną było jednak łamanie prawa – te „przekonały nas, że pod rządem ruskim nie możemy spodziewać się żyć spokojnie, i zmusiły nas z rozpaczą prawie powstać z bronią w ręku".

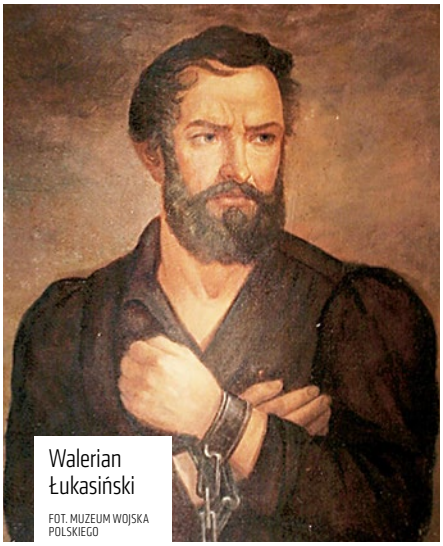
Walerian Łukasiński

FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

Tymczasem wybuchło powstanie listopadowe. Trudno nie zadrżeć pod przejmującym opisem dalszych losów mjr. Łukasińskiego, które dał wielki Askenazy: „Rozpacz tępa, śmiertelna dopieroż przytłoczyć go musiała, kiedy nazajutrz, 30 listopada, o 10 z rana, Wołyńcy w szyku bojowym, w widocznym już odwrocie przed rewolucją, wystąpili z koszar, i wziąwszy go przemocą w środek szeregów, uprowadzili z sobą, okrężną okopami drogą, za rogatkę mokotowską, do obozu w. księcia. Stąd, przy wyjściu Konstantego i wojsk rosyjskich z Królestwa, zabrano go, na Górę, Puławy, Włodawę, Wysokie Litewskie. Po raz ostatni widziano Łukasińskiego nad samą granicą, we Włodawie, w nędznej siermiędze, z brodą po pas, ciągnionego pieszo na postronku, pod strażą konną z dobytymi pałaszami, jak go uprowadzano precz z kraju, za Bug".

Następnie z Białegostoku został wywieziony do Bobrujska, a stamtąd, na osobisty rozkaz Mikołaja I, sekretnie do Szlisselburga, dokąd przybył saniami po zamarzniętym jeziorze Ładoga nocą 5 stycznia 1831 r.

Rząd Narodowy wystąpił co prawda wobec naczelnego wodza, gen. Jana Skrzyneckiego, z prośbą, by ten wszczął starania o uwolnienie Łukasińskiego w zamian za rosyjskich generałów wziętych do niewoli. W zastępstwie prezesa rządu ks. Adama Jerzego Czartoryskiego odpowiednią prośbę do Skrzyneckiego skierował Wincenty Niemojowski, wskazując, aby „użyć ich na okup wolności jednego z najlepszych, a zarazem najnieszczęśliwszych współobywateli naszych [...]. I któżby służył gorliwie niewdzięcznej ojczyźnie, która by zapomniała synów swych w więzach?". Generał Skrzynecki tyle jednak pomógł Łukasińskiemu, co i samemu powstaniu.

W Szlisselburgu tymczasem trwał już następny etap męczeństwa mjr. Waleriana Łukasińskiego. W sekretnym zamku jako tajny więzień carski był odtąd więziony przez 37 lat, z czego 31 w celi piwnicznej, bez okien i podłogi, „za życia już pogrzebany, odcięty od świata. W milczeniu podawali mu żołnierze strawę, nie mając prawa zamienić z nim słowa" (Rafał Gerber). Wyjątkowo tylko wyprowadzano go poza celę na spacery. W czasie jednego z takich „spacerów" zamienił kilka słów ze słynnym rosyjskim anarchistą Michaiłem Bakuninem, pytając go o rok i o to, „co w Polsce".

Śmierć Mikołaja I, która uwolniła z syberyjskiego zesłania przywódcę podchorążych i bohatera nocy listopadowej Piotra Wysockiego, nie zmieniła niczego w losie Łukasińskiego. Dopiero w 1862 r. w ludzkim odruchu komendant twierdzy nakazał przenieść dobiegającego 80. roku życia majora do zwykłej celi i dał mu prawo swobodnego poruszania się po twierdzy, dopuścił doń również księdza katolickiego. Wówczas też Łukasiński napisał swój pamiętnik, zadziwiający do dziś przenikliwością myśli. Niezbyt zręcznie wyraził się Askenazy, określając ówczesny stan majora jako „półobłąkanie", rację miał Gerber, pisząc, że „lata samotnego więzienia nie wpły-

eprasa.pl 2986221024

nęły na osłabienie władz umysłowych Łukasińskiego".

Jeszcze w 1866 r. widział majora w twierdzy uwięziony tam rosyjski student, który relacjonował, że Łukasiński mówił mieszaniną polskiego, francuskiego i rosyjskiego, pisał pamiętniki i dawał wyraz nadziei, że będzie wolny. Nigdy się to nie stało – nie opuścił już Szlisselburga „i tam zakończył szlachetny, pełen cierpień żywot" (Rafał Gerber). Stało się to 27 lutego 1868 r., a wiadomość o jego śmierci przekazano synowi jego kata – Aleksandrowi II, kontynuującemu z zadziwiającą mściwością dzieło swojego ojca.

To okrucieństwo cara ciążyło na Łukasińskim i po śmierci. Nadal bowiem odmawiano jego uparcie dążącym do prawdy krewnym wszelkiej informacji o nim. W 1873 r. sędziwy Antoni Łukasiński, brat Waleriana, prosił o świadectwo zgonu lub powiadomienie, gdzie ten przebywa – nie uzyskał odpowiedzi. Zaświadczenie o śmierci Łukasińskiego otrzymała dopiero trzy lata później jego siostrzenica Julia Wierzbołowicz. Była to pierwsza informacja od połowy lat 20., kiedy mjr Łukasiński został uwięziony w twierdzy w Zamościu, relacja Bakunina o spotkaniu z Łukasińskim w Szlisselburgu została bowiem ujawniona dopiero w dziele Askenazego, a ten poznał ją w 1906 r.

Orzeł z czapki żołnierza 3. Pułku Piechoty Królestwa Polskiego

FOT. ARCHIWUM

Jego pamiętnik, z którego jako pierwszy korzystał na początku XX w. Szymon Askenazy, autor monumentalnej biografii majora, ukazał się w całości po II wojnie światowej. Opracował go z oryginału Rafał Gerber. Prace profesora nad drugim wydaniem, uzupełnionym aneksami i poprawkami, przerwała śmierć, jednak kontynuowała je Zofia Lewinówna. Znakomita redaktorka, córka Maksymiliana Lewina, oficera Legionów Polskich i Wojska Polskiego, obrońcy Polski z 1939 r., zamordowanego przez Niemców, doprowadziła do końca pracę Gerbera.

Dzięki wysiłkowi tych badaczy pamiętnik mjr. Łukasińskiego może do dziś wzbudzać refleksję, tak jak choćby taka opinia: „Bezpieczeństwo Europy, jej przyszła spokojność wymagają tego, ażeby Polska mocna i rządna zasłaniała ją od Rosji, tak jak dawniej zasłaniała ją od Turków i Tatarów. Taki był plan Napoleona I przy zaczęciu wojny 1812 r. Dopóki ten plan wykonany nie będzie, Europa zostanie w obawie. Rosja jest państwem jedynowładnym i wojskowym, a zatem duch i dążność jej – wojna i zdobycia. Pomimo wszystkich reform i chęci cesarza utrzymać pokój z innymi narodami ona nie zmieni swego dawnego ducha i sam lubiący pokój jej władca będzie zmuszony prowadzić wojnę, aby zatrudnić liczne swoje wojsko, które będzie zmuszony trzymać, znając, że jego potęga wzbudza nienawiść i obawę w Europie. A tak Europa nigdy nie będzie mieć pokoju".

Autor jest doktorem habilitowanym, profesorem Uczelni Łazarskiego.

REKLAMA

MAREK A. KOPROWSKI

WOŁYŃ

KRWAWA EPOPEJA POLAKÓW
TOM I

HEROIZM PRZECIW BESTIALSWU

Niech pamięć trwa
i będzie wyrzutem dla morderców.

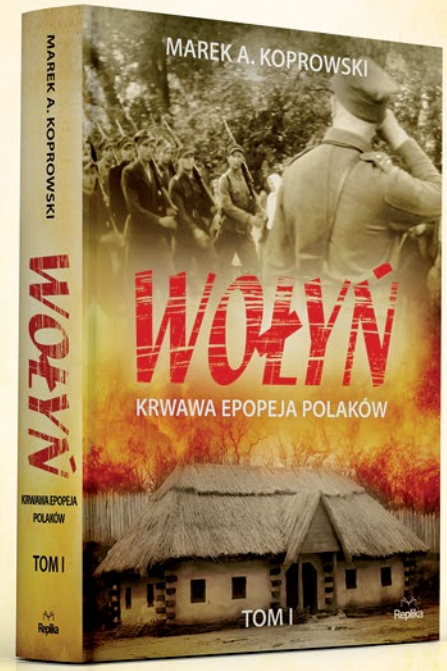

Replika wydawnictwo
www.replika.eu
Tel. 61 868 25 37

eprasa.pl 2986221024

Mikołaj Iwanow

Bolszewicy rozstrzelali 13 tys. Greków. Czyli niemal co 20. mieszkającego w ZSRS...

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Wielki terror 1937–1938 / Kolejny „naród ukarany"

Operacja grecka NKWD

eprasa.pl 2986221024

Lata 1937–1938 to apogeum wielkiego terroru w Związku Sowieckim. Represjom poddano wszystkie bez wyjątku warstwy społeczeństwa sowieckiego. Na pierwszy ogień stalinowskiej machiny terroru poszli prawdziwi przeciwnicy władzy sowieckiej: tzw. kułacy, niedobitki walczących w szeregach armii białych, członkowie nielegalnych partii opozycyjnych, zwolennicy prawej i lewej opozycji w partii bolszewickiej, resztki arystokracji i szlachty rosyjskiej oraz wiele, wiele innych grup ludności wrogo lub nieufnie nastawionych do ustroju totalitarnego.

Rysą szczególną wielkiego terroru było zastosowanie masowych represji wobec poszczególnych narodowości, z których przeważająca większość nie miała nic wspólnego z opozycją wobec Stalina. Za pomocą terroru miano stworzyć atmosferę powszechnego strachu. Miał stać się podstawowym narzędziem rządzenia. Po raz pierwszy w historii Związku Sowieckiego represjonowano na podstawie tzw. klucza krwi, czyli przynależności narodowej.

Zaczęto od Polaków

W biurze politycznym partii komunistycznej z inicjatywy Stalina dojrzała idea „wielkiego puszczania krwi" własnemu społeczeństwu, która weszła do historii pod nazwą „operacji narodowościowych". Zdecydowano odstąpić od leninowskiego klasowego podejścia do terroru i na pierwszy ogień brać niektóre mniejszości narodowe. Zaczęto od Polaków mieszkających przeważnie na tzw. dalszych kresach, terytoriach dawnej I Rzeczypospolitej, które na mocy pokoju ryskiego nie weszły w skład odrodzonej po 123 latach niewoli Polski.

Zbrodniczy system stalinowski wymordował w toku operacji polskiej i innych masowych antypolskich represji prawie 200 tys. Polaków. Zabito od 15 do 20 proc. ludności polskiej. Zginął prawie co drugi mężczyzna w sile wieku, oskarżony przeważnie o nieistniejące zbrodnie, tylko dlatego, że był Polakiem, tylko po to, by wzniecić kolejną falę terroru w celu zastraszenia całości społeczeństwa sowieckiego i jeszcze

Nikołaj Jeżow
FOT. ARCHIWUM

większego wzmocnienia systemu stalinowskiego.

Stalin posłużył się Polakami jako straszakiem na inne narody, potencjalnie zdolne wypowiedzieć mu posłuszeństwo. Była to konsekwentna polityka depolonizacji tzw. dalszych kresów, które na zawsze miały stracić bardzo istotną część swego narodowościowego charakteru. Było to niewątpliwe ludobójstwo na tle narodowościowym. Polacy na zawsze weszli do historii Związku Sowieckiego jako „pierwszy naród ukarany".

Poza Polakami okrutny los spotkał również wiele innych narodów imperium Stalina. Skazywano na karę śmierci, wieloletnie więzienie i deportowano również dziesiątki tysięcy Koreańczyków, Niemców, Hemszyłów, Syryjczyków, Persów, Węgrów, Chińczyków, Bułgarów, mieszkańców krajów bałtyckich, Ukraińców będących zwolennikami UPA z Galicji, Wołynia i Polesia, Włochów i Ormian zamieszkałych na Krymie, Kurdów, Turków, Azerów z Gruzji, nohajców, Romów krymskich i inne większe lub mniejsze grupy narodowościowe.

Szczególnym represjom poddano ludność grecką, zamieszkałą w Związku Sowieckim przeważnie wzdłuż wybrzeży Morza Czarnego. Straty ludnościowe Greków w okresie wielkiego terroru są najbardziej zbliżone do polskich. Według spisu powszechnego z 1937 r. w Związku Sowieckim zamieszkiwało 306 tys. Greków. W wyniku terroru stalinowskiego życie straciło od ok. 13 tys. osób narodowości greckiej, co stanowi ponad 4 proc. ich ogólnej liczby.

Represje stalinowskie wobec Polaków w ramach tzw. operacji polskiej były spowodowane przede wszystkim istniejącą groźbą wybuchu nowej wojny polsko-sowieckiej, która mogła się stać swoistą kontynuacją wojny 1920 r. W polskiej mniejszości narodowej w Związku Sowieckim widziano potencjalną piątą kolumnę zdolną do poparcia II RP w tym konflikcie. Do tego dochodziły wielowiekowe uprzedzenia Rosjan wobec Polaków, a także osobista nieufność Stalina wobec komunistów polskich, których „ojciec narodów" podejrzewał o sprzyjanie trockizmowi.

Faszyści spod Akropolu

Z Grekami było zupełnie inaczej. Malutka Grecja, znajdująca się daleko od granic Związku Sowieckiego, nie stanowiła ani nie mogła stanowić żadnego bezpośredniego zagrożenia dla państwa Stalina. Dołączenie Greków do grupy „narodów ukaranych" i przeprowadzenie specjalnej operacji greckiej tłumaczy się zupełnie inaczej.

Przed rewolucją bolszewicką Rosjanie mieli długą tradycję przyjaznych stosunków z Grekami. Wyzwolenie Greków spod jarzma tureckiego nastąpiło w wyniku kilku wojen turecko-rosyjskich. Królewska Grecja była bardzo ściśle powiązana z imperium Romanowów, armia rosyjska od 1915 r. cały czas walczyła na froncie greckim przeciwko armii austro-węgierskiej. Po rewolucji bolszewickiej 1927 r. Grecja na pewien czas przekształciła się w swoisty „save haven" (bezpieczną przystań) dla białej emigracji rosyjskiej. Tam przeniosły się liczne antybolszewickie organizacje, a w latach wojny grecko-tureckiej (1919–1922) bolszewicy zdecydowanie poparli Kemala Atatürka, dostarczając armii tureckiej broń i zaopatrzenie.

W 1936 r. do władzy w wyniku zamachu stanu doszedł prawicowy polityk Joannis Metaksas. Sowiecka propaganda określała rządy Metaksasa jako dyktaturę faszystowską. Grecja była dla partii komunistycznej Związku Sowieckiego małym państwem faszystowskim na usługach imperializmu światowego, zdolnym przy pomocy swej licznej diaspory w ZSRS prowadzić w państwie Stalina działalność wywrotową i szpiegowską.

Skala represji wobec Greków w okresie wielkiego terroru wyraźnie ustępuje skali represji wobec Polaków, jednak podstawowe wytyczne operacji greckiej były prawie żywcem wzięte ze zbrodniczych doświadczeń operacji polskiej.

eprasa.pl 2986221024

Rodziny skazanych trafiały do niewolniczej pracy w łagrach FOT. ARCHIWUM

Rozwiązano dość szeroką autonomię kulturalną greckiej mniejszości. Zamknięto prawie wszystkie szkoły uczące w języku greckim, a było ich ponad 250. Znajdowały się na terenie Gruzji, w obwodzie krasnodarskim, na Krymie, wybrzeżu Morza Azowskiego, wszędzie tam, gdzie Grecy mieszkali od wieków w zwartych skupiskach. Zamknięto wszystkie gazety greckie, greckie wydawnictwa i czasopisma. Zlikwidowano trzy zawodowe teatry greckie (w Mariupolu, Batumi i Suchumi), greckie sądy i zespoły naukowe. Przestały pracować greckie seminaria pedagogiczne, m.in. w Mariupolu, Batumi, Suchumi, Rostowie nad Donem. Położono kres greckojęzycznym audycjom radiowym.

Rozkaz nr 50215

Początek operacji greckiej dał rozkaz NKWD nr 50215 podpisany przez szefa tej złowieszczej instytucji Nikołaja Jeżowa 11 grudnia 1937 r., prawie pół roku po rozpoczęciu operacji polskiej. Czytamy w nim:

Wyniki przeprowadzonych śledztw świadczą, że grecki wywiad prowadzi na terytorium ZSRS aktywną szpiegowsko-dywersyjną pracę, wykonując przy tym zadania angielskiego, niemieckiego i japońskiego wywiadu. Podstawa tej pracy wywiadowczej wykonuje się na bazie osiedli greckich w obwodach Rostów nad Donem, Krasnodar, na Kaukazie Północnym, obwodach Donieckim i Odeskim i innych obwodach Ukrainy, Abchazji i innych republikach Zakaukazia, na Krymie, a także w oparciu o poszczególne grupy Greków na całym terytorium Związku Sowieckiego. Oprócz pracy szpiegowsko-dywersyjnej na polecenie Niemców i Japończyków wywiad grecki rozwija szeroką działalność antysowiecką i nacjonalistyczną w oparciu o liczne grupy antysowieckie (kułacy-producenci tytoniu, ogrodnicy, spekulanci, handlarze walutą i inni) w społeczeństwie greckim ZSRS. W celu zaprzestania aktywności wywiadu greckiego rozkazuję:

1. 15 grudnia tego roku jednocześnie we wszystkich republikach, obwodach przystąpić do aresztowania wszystkich Greków podejrzanych o działalność szpiegowską, dywersyjną, powstańczą i nacjonalistyczną antysowiecką pracę.

2. Aresztować należy wszystkich Greków (zarówno obywateli greckich, jak i obywateli ZSRS) należących do następujących grup ludności:

a) znajdujący się pod śledztwem;

b) byli bogaci handlowcy, spekulanci, kontrabandyci, handlarze walutą;

c) Grecy prowadzący aktywną działalność antysowiecką, przede wszystkim byli kułacy, lub osoby ukrywające się przed rozkułaczeniem;

d) emigranci polityczni z Grecji, a także wszyscy Grecy przebywający w ZSRS nielegalnie, niezależnie od kraju, z którego przybyli; e) wszyscy przebywający na terytorium ZSRS tzw. zagraniczni agenci NKWD, wywiadu wojskowego Armii Czerwonej.

Ludowy Komisarz Spraw Wewnętrznych ZSRS N. Jeżow

Odznaka NKWD FOT. ARCHIWUM

Tak jak w czasie polskiej operacji NKWD nie ograniczało się do prześladowań poszczególnych członków rodzin. Areszt i skazanie głowy rodziny oznaczały prześladowania innych jej członków. Zgodnie z rozkazem NKWD nr 00486 żony wrogów ludu prawie automatycznie otrzymywały od 5 do 10 lat łagru. Dzieci przeważnie były przekazywane do specjalistycznych domów dziecka, gdzie wychowywano je na fanatycznych adeptów ustroju totalitarnego.

Pół roku egzekucji

Specyfika operacji greckiej, w odróżnieniu od operacji polskiej, polegała na tym, że wśród represjonowanych Greków prawie połowę stanowili posiadacze greckich paszportów, które zachowali jeszcze z czasów przedrewolucyjnych. Byli to tzw. Grecy pontyjscy, którzy przyjechali do Rosji pod koniec XIX i na początku XX stulecia w celach zarobkowych. Nie brakowało wśród posiadaczy greckich paszportów tych, którzy uciekli do Rosji podczas wojny grecko-tureckiej z lat 1919–1922. Stali się oni potencjalnym obiektem operacji greckiej. Uporczywe zachowanie obywatelstwa greckiego i odmowa przyjęcia obywatelstwa sowieckiego były dla Stalina świadectwem nielojalności mniejszości greckiej wobec władzy sowieckiej.

Operacja grecka w porównaniu z operacją polską, która trwała 15 miesięcy, była stosunkowo krótka. Jej zakończenie ogłoszono już po sześciu miesiącach. Represje antygreckie były jednak wyjątkowo intensywne i okrutne. Odsetek skazanych na karę śmierci wśród aresztowanych przekraczał 80 proc. Na wzór operacji polskiej początkowo wykorzystywano metodę albumową, przewidującą stworzenie list skazanych przez lokalne oddziały NKWD w specjalnych albumach, które wysyłano do moskiewskiej centrali NKWD w celu zatwierdzenia wyroków przez szefa NKWD i prokuratora generalnego. Jednak na początku 1938 r. metodę tę zamieniono na zatwierdzenie wyroków przez tzw. trójki, składające się z szefa miejscowego NKWD, szefa organizacji

eprasa.pl 2986221024

partyjnej regionu, lokalnego prokuratora generalnego. Związane to było z ogromnym napływem do Moskwy albumów z wyrokami, których władze centralne nie były w stanie zatwierdzić na czas wyznaczony przez Stalina.

Paradoksalnie Greków szukano i aresztowano nie tylko w rejonach ich zwartego zamieszkania na brzegach Morza Czarnego, lecz także na Syberii, w obwodach: wołogodzkim, swierdłowskim, nowosybirskim i innych. Tłumaczy się to zjawisko dość prosto. Ofiarami operacji greckiej na Syberii byli ci, których represjonowano wcześniej w latach 1932–1933 w toku kampanii rozkułaczania.

Istota operacji greckiej, podobnie jak operacji polskiej, polegała nie na tym, aby znaleźć prawdziwych przeciwników reżimu komunistycznego, lecz na tym, aby wykonać zadanie centrali NKWD dotyczące ogólnej liczby represjonowanych. Świadczą o tym wyraźnie następujące fakty. We wsi Wielka Karakuba w obwodzie donieckim na Ukrainie proces represjonowania odbywał się w następujący sposób. NKWD-ziści przyjeżdżali do przewodniczącego rady wiejskiej i na miejscu ustalali, kogo można aresztować. Później do domu takiego „kandydata" wysyłano jednego z aktywistów rady wiejskiej z prośbą o przyjście do siedziby rady. Ludność jednak dość szybko zorientowała się, że dzieje się coś niepojętego – zaproszeni po prostu znikają. Mieszkańcy wsi unikali więc wizyt w radzie. Wtedy NKWD-ziści zaczęli sami chodzić po domach i aresztować tych, których znaleźli. Było jasne, że nie chodzi tu o konkretne osoby, ale o wypracowanie ogólnej liczby aresztowanych.

W innej greckiej wsi niedaleko Batumi przewodniczący kołchozu mógł sam decydować, kogo wysyłać na odstrzał NKWD. Zebrano aktyw komunistyczny i dyskutowano, kogo można oddać w ręce stalinowskich oprawców. Trafiali tam najbardziej nieporadni chłopi, niemający ani rodziny wśród aktywistów kołchozowych, ani innych powiązań towarzyskich i rodzinnych, mogących uchronić ich przed NKWD.

Oficjalnie operację grecką zakończono w czerwcu 1938 r., jednak ostatnich „greckich szpiegów" aresztowano we wsi Wiszniewka, niedaleko Soczi.

W toku operacji greckiej ogółem aresztowano ok. 15 tys. osób, z tego blisko 13 tys. rozstrzelano. Resztę skazano na długoletnie więzienie. Specyfiką operacji greckiej był bardzo mały odsetek represjonowanych kobiet (do 2 proc.), a także niespotykana w operacji polskiej kara, polegająca na wydaleniu obywateli greckich poza granice Związku Sowieckiego. Takich wyroków historia operacji greckiej zna 25. Jedynie 5 proc. represjonowanych Greków w momencie aresztowania należało do komunistycznej partii lub komsomołu. Świadczy to o tym, że głównym celem operacji greckiej było sterroryzowanie całego społeczeństwa greckiego.

W niektórych regionach kraju nasilenie operacji greckiej przypominało doświadczenia masowych represji operacji polskiej. W obwodzie donieckim, uważanym za bardzo ważny region strategiczny, rozstrzelano i zabito w obozach do 4,5 tys. mężczyzn greckiej narodowości, co stanowi ok. 15 proc. tamtejszych mężczyzn-Greków w sile wieku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Prestige MJM 10 lat
Strefa Kultury Wrocław
ZET radio
Gazeta Wyborcza wprost Do Rzeczy T3 WP DlaWas.info cgm.pl ESSENTIAL MUSIC 4CLUBBERS.PL
TU Wrocław 4DANCE MultiKino empik STRÖER VIXON city pap PRESS SERVICE

eprasa.pl 2986221024

Rozmowa / Z Rafałem Węgrzyniakiem, autorem książki „Procesy doktora Weicherta"

rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

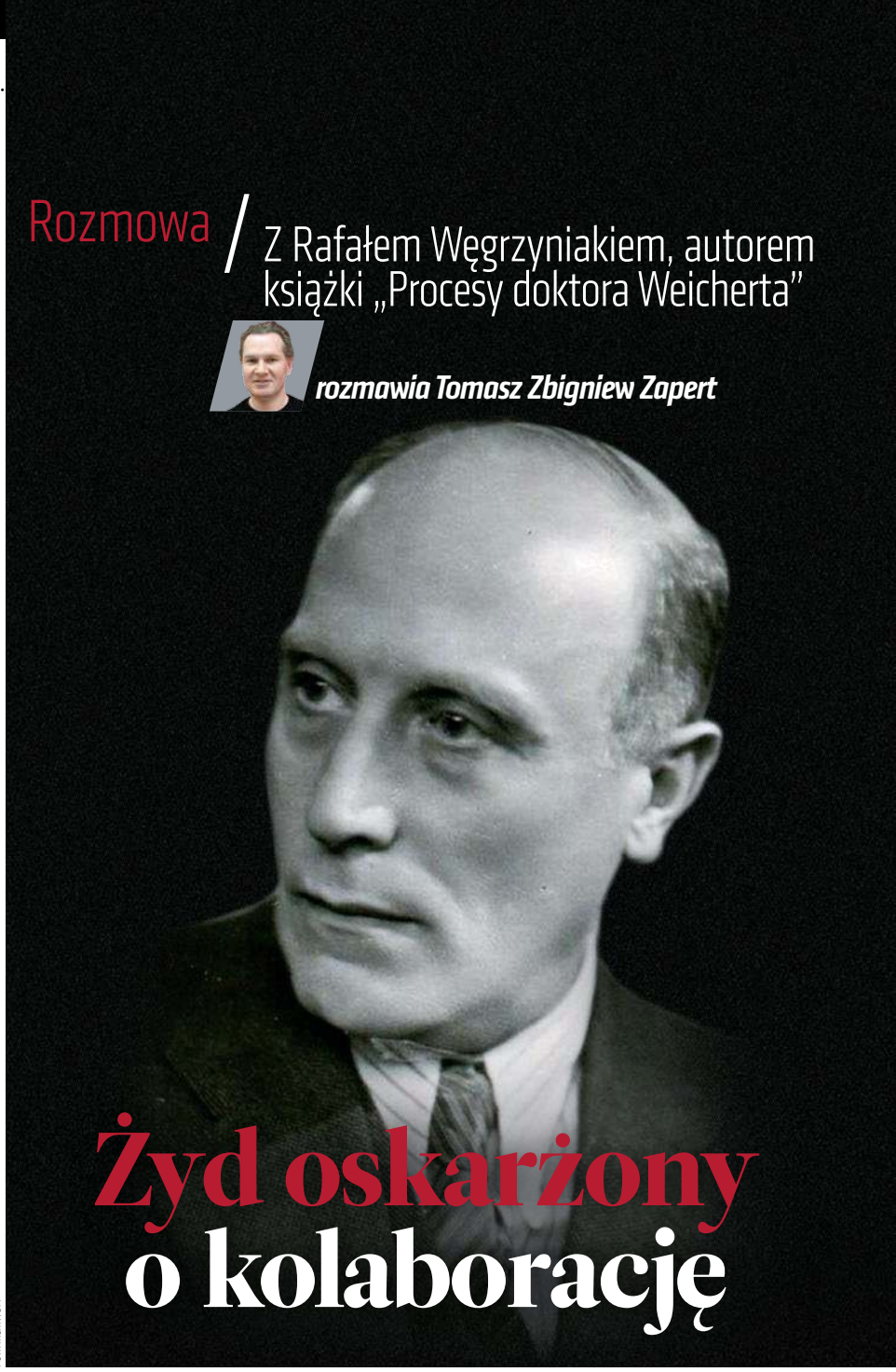

Żyd oskarżony o kolaborację

FOT. ARCHIWUM

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Dlaczego bohater pana monografii został oskarżony o kolaborację z Niemcami? I przez kogo?

RAFAŁ WĘGRZYNIAK: Michał Weichert, doktor prawa Uniwersytetu Wiedeńskiego i reżyser teatralny, który kształcił się u Maxa Reinhardta w Berlinie, w roku 1940 stanął na czele Żydowskiej Samopomocy Społecznej, w ramach Naczelnej Rady Opiekuńczej, udzielającej pomocy Żydom w Generalnym Gubernatorstwie. Kierował tą organizacją charytatywną z getta krakowskiego do lata 1942 r., gdy w sytuacji masowego mordowania polskich Żydów została ona przez Niemców rozwiązana. Od połowy 1943 r. zgodził się jednak poprowadzić z pomocą niegdysiejszych współpracowników Żydowski Ośrodek Wsparcia organizujący pomoc dla Żydów żyjących w okolicach Krakowa, zwłaszcza w obozie płaszowskim.

Jesienią 1943 r. działacze żydowscy ukryci po aryjskiej stronie, na czele z Adolfem Bermanem, bratem Jakuba, oraz polscy członkowie Żegoty poprzez swego reprezentanta, Marka Arczyńskiego, polecili Weichertowi zamknąć ośrodek. Zaproponowali mu w zamian ukrycie lub wywiezienie. Ten jednak odmówił i działał aż do końca lipca 1944 r., gdy umieszczony został z fałszywymi dokumentami w krakowskim mieszkaniu z pomocą szefa tamtejszej Żegoty, socjalisty Stanisława Wincentego Dobrowolskiego.

Jeszcze w czasie wojny Weichert był prezentowany w podziemnych raportach jako niemiecki agent, a zaraz po wojnie w donosach do Urzędu Bezpieczeństwa stał się już konfidentem gestapo i na tej podstawie został aresztowany. Syjonista Icchak Cukierman do końca życia utrzymywał, że Żydowska Organizacja Bojowa wydała w 1944 r. w Warszawie na Weicherta wyrok śmierci i tylko z powodów technicznych nie zdołała go wykonać. Podobne stanowisko zajmował bundowiec Marek Edelman. Działalność charytatywną Weicherta negatywnie oceniali też żydowscy komuniści. Dlatego wiele środowisk żydowskich w Polsce nie chciało dopuścić do jego rehabilitacji i ignorowało jego dorobek.

Rozprawa sądowa z roku 1946 oddalająca zarzuty przeciwko Weichertowi nie obaliła jego czarnej legendy?

Działacze żydowscy nie zaakceptowali wyroku polskiego sądu specjalnego w Krakowie, który uniewinnił Weicherta. Postanowili zmusić Weicherta, aby stanął przed sądem społecznym powołanym w 1946 r. przy Centralnym Komitecie Żydów w Polsce. Osądzał on Żydów podejrzewanych o kolaborację.

Sprawa Weicherta została odłożona na koniec roku 1949. Przecież należało dowieść, że kolaborację stanowiło niesienie pomocy zamkniętym w obozach Żydom. Pomimo twierdzeń oskarżycieli – że cała pomoc materialna Weicherta była przejmowana przez Niemców – Weichert został tylko napiętnowany. W praktyce skutkowało to bezrobociem, ostracyzmem i wymazaniem z historii. Pomocną dłoń podali mu wtedy byli więźniowie obozu płaszowskiego.

Wiele inscenizacji Weicherta z okresu międzywojnia miało ideologiczny wydźwięk, co owocowało sankcjami...

Tak jak wielu twórców żydowskich tamtej generacji starał się wywalczyć równouprawnienie poprzez akces do ruchów lewicowych. Przez całe dwu-

eprasa.pl 2986221024

dziestolecie znajdował się w orbicie Bundu, czyli socjaldemokratycznej partii żydowskiego proletariatu popierającej jego pozostawanie w Polsce i rozwój laickiej kultury w jidysz. Zradykalizował się w warunkach wielkiego kryzysu w działającym od 1933 r. awangardowym Teatrze Młodych. Takie jego spektakle jak „Boston", odtwarzający proces skazanych na śmierć w USA robotników-anarchistów Sacca i Vanzettiego, albo „Missisipi", osnute wokół oskarżenia bezrobotnych Murzynów o zbiorowy gwałt na białych prostytutkach, były krytyką kapitalizmu i sądownictwa amerykańskiego. Chociaż miały też podtekst lokalny związany z procesem brzeskim i narastaniem antysemityzmu w Polsce.

Natomiast „Krasin" prezentujący ratowanie polarników przez sowiecki lodołamacz lub wystawiona przez Jakuba Rotbauma po powrocie z Moskwy socrealistyczna sztuka „Życie woła!", zapowiadająca przeobrażenie Syberii, gloryfikowały komunizm. Również Weichert pojechał do Moskwy w 1935 r. na festiwal teatralny i zyskał opinię salonowego komunisty. Dlatego urzędnicy polscy cenzurowali przedstawienia Teatru Młodych. Weichert jako radca prawny umiał podważać albo omijać zakazy i jego zespół pod zmienionymi nazwami – jako Nowy Teatr albo Młoda Scena – poza Warszawą, w Wilnie, Łodzi czy w Krakowie, a wreszcie w objazdach po prowincjonalnych miasteczkach wschodniej Polski, przetrwał aż do wojny.

Skąd brał Weichert współpracowników?

Starannie ich dobierał, bo zazwyczaj tworzył inscenizacje ze stałym zespołem, do którego należeli: malarz Władysław Wajntraub, kompozytor Henoch Kon oraz choreografka Lia Rotbaum, skądinąd po wojnie ceniona reżyserka operowa. Obsadzał w głównych rolach czołowych aktorów jidyszowych, takich jak Ajzyk Samberg, Abraham Morewski i Klara Segałowicz. Po 1933 r. umożliwił pracę emigrantom z nazistowskich Niemiec, zwłaszcza dwóm wybitnym aktorom żydowskiego pochodzenia: Alexandrowi Granachowi i Kurtowi Katschowi. Przywiązywał jednak wagę do samodzielnego kształcenia aktorów najpierw w Żydowskiej Szkole Dramatycznej, a potem w Studiu Teatralnym. Niestety, jego uczniowie zostali zamordowani w czasie Zagłady, tak jak najzdolniejsza aktorka Dora Fakiel, albo rozproszyli się po świecie. W Teatrze Żydowskim w Warszawie po wojnie pozostał jedynie Michał Szwejlich. Ponadto Weichert chętnie zapraszał do współpracy polskich twórców na czele z Leonem Schillerem, który popierał jego poszukiwania, podobnie jak Aleksander Zelwerowicz.

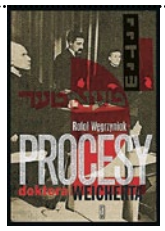

RAFAŁ WĘGRZYNIAK „PROCESY DOKTORA WEICHERTA"
PIW

Przetrwały sale, w których grane były przedstawienia dr. Weicherta?

Jedynie kotłownia Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej na Żoliborzu, będąca przez kilka miesięcy w 1933 r. siedzibą kierowanego przez Irenę Solską Studia im. Stefana Żeromskiego, gdzie Weichert przeniósł inscenizację „Bostonu". Pozostałe sale, w których grane były w Warszawie jego inscenizacje, nie zachowały się. Nie ma śladu po żydowskim Teatrze im. Kamińskiego na Dynasach ani Elizeum w podziemiach rotundy przy ul. Karowej. Po 1944 r. nie odbudowano kamienicy przy ul. Długiej 19, gdzie w wynajętej sali najdłużej działał Teatr Młodych. Dlatego w książce podawałem adresy tych placówek i je opisałem.

W teatrach Polski komunistycznej Weichert mógł być jedynie widzem, lecz szykowano dlań rolę procesową...

Po wojnie nie pozwolono Weichertowi wyreżyserować ani jednego przedstawienia. Na scenach zarówno żydowskich, jak i polskich. W Państwowym Teatrze Żydowskim, dzięki pobytowi w Związku Sowieckim w czasie wojny, rządziła Ida Kamińska, niewątpliwie wybitna aktorka. Ściągała ona reżyserów żydowskich do Polski nawet z obu Ameryk, lecz Weichertowi, który był wśród nich najwybitniejszy, nie złożyła nigdy propozycji współpracy. Miała bowiem swój udział w jego dyskredytowaniu.

Istnieją za to przesłanki, aby przypuszczać, że Weichertowi szykowano rolę oskarżonego w pokazowym procesie w ramach rozpętania od roku 1948 w Związku Sowieckim i w państwach komunistycznych Europy Środkowej kampanii antysemickiej. W procesach tych zawsze istotną funkcję pełniły związki działaczy żydowskich z amerykańską organizacją charytatywną Joint. Weichert zaś dysponował pomocą finansową bądź materialną przekazywaną Polsce przez Joint zarówno w II RP, jak i w czasie wojny. Ponadto miał kontakty z Bundem i KPP, no i jakoby udowodniono mu kolaborację z III Rzeszą. Wreszcie znał kilku działaczy żydowskich już zamordowanych na rozkaz Stalina.

Emigrację wybrał sam czy pod wpływem najbliższych?

Wyjechał z Polski wraz z rodziną w styczniu 1958 r., akurat w momencie, gdy dzięki liberalizacji po okresie stalinizmu odzyskał możliwość pracowania jako radca prawny, reżyser teatralny i pisarz. Nie tylko wykorzystał ówczesną masową emigrację 50 tys. Żydów do Izraela, lecz także zabiegał u działaczy komunistycznych o przyznanie paszportu ważnego wyłącznie w jedną stronę. Przeprowadził się do Izraela, mimo że w jednym z przedstawień przedwojennych, „Don Kichocie żydowskim", demonstrował sceptycyzm wobec syjonizmu.

W Izraelu żył blisko dekadę. Artystycznie bezowocną. Z racji szantażu Cukiermana?

Niewątpliwie decydujące znaczenie miało nastawienie Cukiermana, który postanowił, że nie dopuści do objęcia przez Weicherta jakiegokolwiek stanowiska w Izraelu. Pozwolono mu jedynie w Tel Awiwie prowadzić kursy dla amatorskich grup teatralnych. W Izraelu wprawdzie nie ceniono teatru w jidysz, gdyż preferowano hebrajski, ale Weichert daremnie też zabiegał o powołanie Instytutu Teatrologicznego.

Dochował się artystycznych sukcesorów?

Na gruncie polskiego teatru poszukiwania Weicherta i jego scenografów, szczególnie architekta Szymona Syrkusa, w dziedzinie zacierania granic między sceną a widownią i inscenizacji symultanicznej kontynuował Jerzy Grotowski w Opolu, a potem we Wrocławiu w Laboratorium. Podobne rozwiązania do tych Weicherta stosował Tadeusz Kantor.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

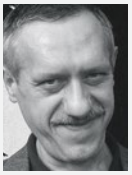

Rafał Węgrzyniak – absolwent teatrologii warszawskiej PWST, historyk teatru, publicysta.

eprasa.pl 2986221024

Maciej Rosalak

Piłsudski i Anders umierali w rocznice swych zwycięstw, uznawanych przez niektórych za ich klęski

Niektóre wydarzenia powtarzają się w kolejnych latach, ale tego samego dnia miesiąca. Łączą je: charakter zjawisk, postacie, skutki, które wywołują. Niekiedy są to wydarzenia istotne dla biegu dziejów. Czy kryją się za tym jakieś ukryte znaczenia, jakieś związki przyczynowo-skutkowe, czy to tylko dzieła przypadku? Takie pytanie mimowolnie nasuwa mi się w ciągu wielu już lat poznawania i popularyzowania faktów z przeszłości. Wertuję też dokładnie przeglądy wydarzeń w układzie dziennym i niekiedy zaskakuje mnie ich kabalistyczna jakby prawidłowość, niewytłumaczalna powtarzalność. Nie wytłumaczę tego i w tym materiale. Przytoczę tylko garść przykładów.

12 maja Tego dnia w roku 1926 marszałek Józef Piłsudski zjawił się na czele wiernych mu oddziałów wojska w Warszawie i – po odmowie odwołania rządu Wincentego Witosa przez prezydenta RP Stanisława Wojciechowskiego – dokonał przewrotu w państwie. Trzy dni trwały w stolicy bratobójcze walki z żołnierzami wiernymi konstytucyjnie wybranym władzom, zginęło kilkuset Polaków, aż zarówno rząd, jak i prezydent podali się do dymisji. Intencją Piłsudskiego było ratowanie państwa, które znalazło się w trudnej sytuacji wewnętrznej i bardzo niebezpiecznym położeniu międzynarodowym po układzie w Locarno. Faktem jednak pozostaje, że dokonał zamachu stanu.

Wiele wskazuje na to, że cierpiał z tego powodu. Stawał się zgryźliwy, brutalny wobec otoczenia i coraz bardziej niedomagał. Do końca zachował jasność umysłu wybitnego męża stanu, ale fizycznie przypominał zgrzybiałego starca, gdy umarł w wieku 68 lat na raka wątroby. Stało się to w dziewiątą rocznicę zamachu

Rocznice / Historia według kartek z kalendarza

Niepokojące kabały

eprasa.pl 2986221024

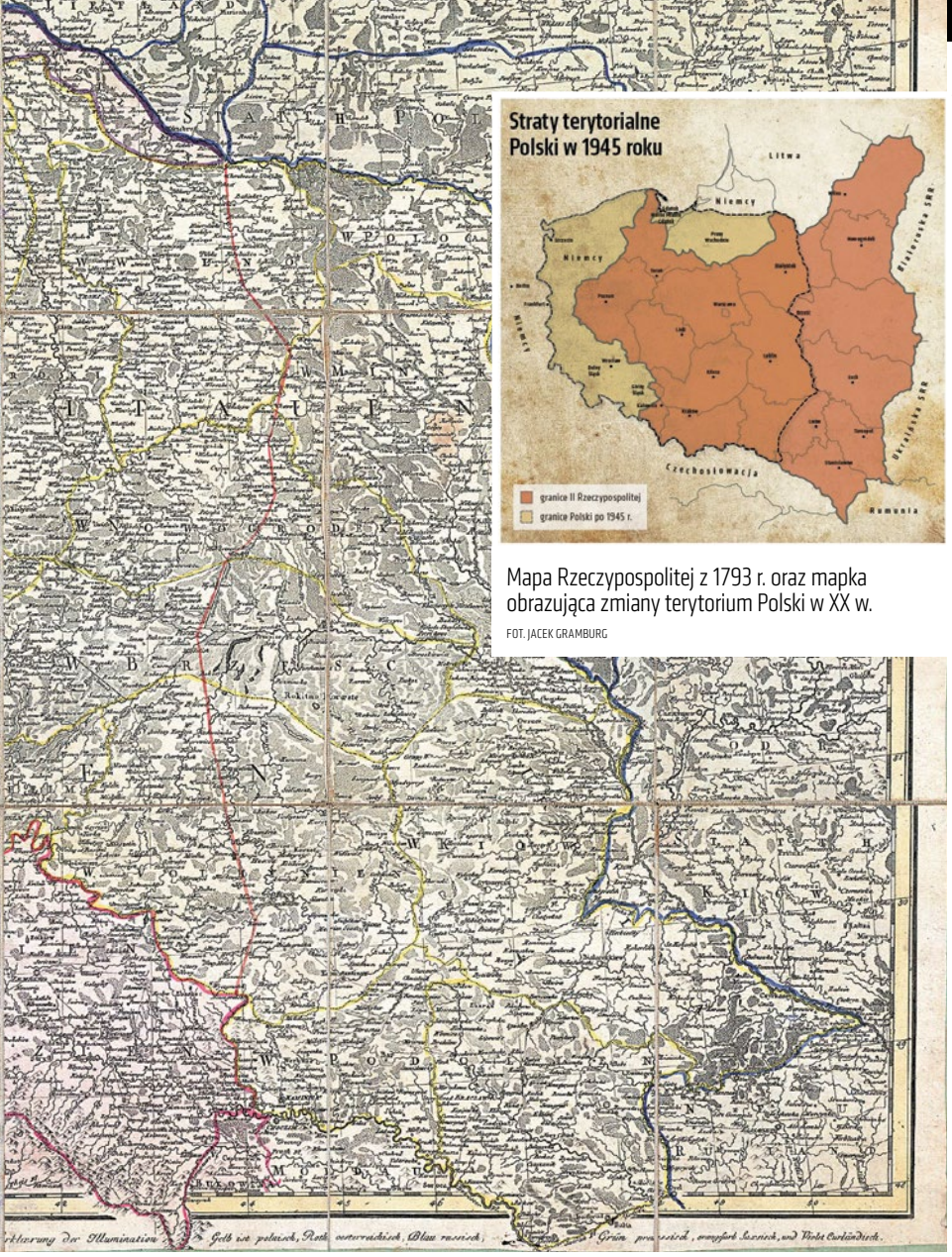

Mapa Rzeczypospolitej z 1793 r. oraz mapka obrazująca zmiany terytorium Polski w XX w.

FOT. JACEK GRAMBURG

majowego, w Belwederze, o godz. 20.45 dnia… 12 maja 1935 r.

Generał Władysław Anders nie zastanawiał się długo nad propozycją dowódcy 8. Armii brytyjskiej gen. Olivera Leese, aby 2. Korpus Polski przeprowadził szturm na Monte Cassino. Przyjął ją, choć wcześniej krwawili tu Brytyjczycy, Amerykanie, Francuzi, Nowozelandczycy, bezskutecznie usiłując zdobyć świetnie przygotowane fortyfikacje niemieckie. Przyjął ją, mimo że ówczesny Wódz Naczelny gen. Kazimierz Sosnkowski był przeciwny wykrwawianiu polskich oddziałów po ponurej dla Polaków konferencji w Teheranie. Szturm rozpoczął się tuż po północy, z 11 na 12 maja 1944 r. Po tygodniu walk Polacy zajęli klasztor. Straty 2. Korpusu wyniosły ok. 3 tys. żołnierzy, w tym 923 zabitych. Korpus dzielnie walczył dalej we Włoszech, zyskując pochwały brytyjskich generałów i ostateczną zdradę aliantów w Jałcie. Cmentarze znaczyły drogę Polaków aż do Bolonii wiosną 1945 r.

Była to droga chwały polskiego oręża. Generał cieszył się nią do śmierci w wieku 78 lat. Zmarł w Londynie, 12 maja 1970 r., 26 lat po wydaniu rozkazu szturmu pod Monte Cassino. Zgodnie ze swoją wolą został pochowany na tamtejszym polskim cmentarzu wojennym.

A oto inne wydarzenia z 12 maja. Kazimierz Wielki ogłosił akt fundacyjny Akademii Krakowskiej (1364). W 1949 r. bohaterski żołnierz niezłomny, obrońca Nowogródczyzny Anatol Radziwonik „Olech" poległ w starciu z NKWD nad rzeczką Niewisza niedaleko wsi Rakowszczyzna. Wprowadzono reglamentację cukru i słodyczy, dopuszczając jednocześnie wolne zakupy po cenach „komercyjnych" (1952). W 1981 r. zarejestrowano NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność". W 1983 r. maturzysta Grzegorz Przemyk został śmiertelnie skatowany w komisariacie MO przy ul. Jezuickiej w Warszawie. Sejm RP przyjął ustawę o Centralnym Biurze Antykorupcyjnym (2006).

4 lipca W dziejach Polski 4 lipca zapisał się w 1610 r. świetnym zwycięstwem wojska Rzeczypospolitej pod Kłuszynem. Hetman Stanisław Żółkiewski potrafił szybkim marszem spod oblężonego przez Polaków Smoleńska uprzedzić i zatrzymać rosyjsko-szwedzką odsiecz, a następnie rozbić kilkakrotnie liczniejszego nieprzyjaciela genialnym dowodzeniem atakami husarii i współdziałaniem z piechotą i artylerią. Był to popis staropolskiej sztuki wojennej.

Jakby nawiązaniem do Kłuszyna była bitwa pod Kostiuchnówką (1916), w której wszystkie trzy brygady Legionów obroniły się przed kilkakrotnie silniejszymi wojskami rosyjskimi podczas ofensywy gen. Aleksieja Brusiłowa. Odwaga i wyszkolenie polskich żołnierzy zwróciły m.in. uwagę sztabowca 8. Armii, a potem szefa niemieckiego kwatermistrzostwa gen. Ericha Ludendorffa, który zalecał władzom II Rzeszy większe oparcie się na Polakach.

Poza tym dzień 4 lipca zapisał się w naszej historii wydarzeniem doniosłym i radosnym, jakim było podpisanie przez króla Zygmunta Augusta unii lubelskiej (1569). Pamiętamy ten dzień również ze względu na tragedię katastrofy w Gibraltarze i śmierć polskiego premiera oraz Naczelnego Wodza gen. Władysława Sikorskiego (1943).

Z kolei w historii powszechnej 4 lipca kojarzy się z klęską krzyżowców pod Hittin (1187), czego następstwem był upadek Królestwa Jerozolimskiego, a także z kapitalnym zwycięstwem węgierskim (dowodził Jan Hunyady) nad Turkami pod Belgradem (1456), Deklaracją niepodległości Stanów Zjednoczonych (1776) oraz triumfem Sowietów w bitwie z Niemcami na Łuku Kurskim (1943).

22 lipca Pokoleniom dorastającym w PRL dzień ten kojarzy się z hucznie obchodzonym przez komunistów ogłoszeniem w 1944 r. Manifestu PKWN. Odezwa narzuconej przez Sowietów władzy stanowiła święto państwowe

eprasa.pl 2986221024

(zamiast zabronionych świąt: 3 Maja i 11 Listopada). Manifest napisano i ogłoszono rzekomo 22 lipca w Chełmie – „pierwszym wyzwolonym mieście polskim"; jakby wcześniej nie wyzwolono np. Wilna. W rzeczywistości odezwę tę napisano i ogłoszono pod okiem Stalina w Moskwie dwa dni wcześniej.

Przypomina się inna odezwa, o półtora wieku wcześniejsza, którą grono magnatów – wśród których zdrada narodowa szła w parze z polityczną głupotą – ogłosiło, i rzekomo wcześniej napisało, w polskim miasteczku Targowica na podolskim pograniczu z Rosją. Tymczasem to wezwanie do obalenia Konstytucji 3 maja, z wojskami rosyjskimi pospołu zredagował gen. Wasilij Popow, sekretarz księcia Grigorija Potiomkina, w Sankt Petersburgu. Łaskawy patronat nad spiskiem zawiązanym 27 kwietnia 1792 r. objęła caryca Katarzyna II.

Ona też – ku wielkiemu zaskoczeniu panów Szczęsnego Potockiego, Franciszka K. Branickiego i Seweryna Rzewuskiego – po roku i rozprawieniu się ze słabym wojskiem Rzeczypospolitej zorganizowała II rozbiór Polski. Zanim „odpaliła" Prusom należny im za zdradę Polski kawałek, kazała wykroić sobie ogromną połać naszych ziem wschodnich (250 tys. km kw.). Zgodę na to wymuszono na polskim Sejmie, co stało się w 1793 r. w Grodnie, w dniu 22 lipca. Czy Stalin znał datę tego upokorzenia i ograbienia Polaków, czy wiedział o kamuflażu Petersburga za pomocą Targowicy? Tego wykluczyć nie możemy.

Ciekawe są też inne rocznice wydarzeń przypadających 22 lipca. Otóż w 1018 r. Bolesław Chrobry pokonał na Wołyniu wielkiego księcia kijowskiego Jarosława I Mądrego i otworzył sobie drogę na Kijów. 22 lipca 1807 r. Napoleon nadał Księstwu Warszawskiemu konstytucję oraz kodeks cywilny. W 1917 r., po kryzysie przysięgowym, Niemcy uwięzili Józefa Piłsudskiego oraz Kazimierza Sosnkowskiego. W 1942 r. rozpoczęła się ludobójcza likwidacja warszawskiego getta.

Liczne dobre wiadomości podawano oczywiście tego dnia w PRL. Między innymi uchwalono zatwierdzoną przez Stalina konstytucję oraz oddano do użytku część MDM (1952), Pałac Kultury i Nauki im. Stalina (1955), Stadion Śląski w Chorzowie (1956), Port Północny pod Gdańskiem i Trasę Łazienkowską w Warszawie (1974). Natomiast w 2002 r. akurat tego dnia Lew Rywin przyszedł do Adama Michnika i złożył mu propozycję korupcyjną: „Dasz 17,5 mln dol., a będziesz miał telewizję". Michnik trzymał to w tajemnicy do końca grudnia 2002 r.

15 sierpnia W Bitwie Warszawskiej (1920) nastąpił tego dnia – Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny – przełom. Oto Polacy dowodzeni przez gen. Tadeusza Rozwadowskiego odparli bolszewików spod stolicy, a z południa, pod wodzą marsz. Józefa Piłsudskiego, szykowali się już do rozpoczęcia nastepnego dnia uderzenia, które rozbiło wkrótce cały front zachodni komandarma Michaiła Tuchaczewskiego. Następstwem były dalsze zwycięstwa, a wkrótce – zwycięski pokój. Wysłannik Wielkiej Brytanii hr. Edgar d'Abernon nazwie tę bitwę „osiemnastą, która zadecydowała o losach świata", a dla jej uczczenia 15 sierpnia obchodzimy Święto Wojska Polskiego.

Tak się złożyło, że 316 lat wcześniej – 15 sierpnia 1604 r. – na Moskwę wyruszył Dymitr Samozwaniec I. Podawał się za (zamordowanego zapewne w 1591) syna Iwana Groźnego, a jego pretensje do tronu moskiewskiego poparli nasi magnaci kresowi. Zwłaszcza zaś Jerzy Mniszech, który oddał mu rękę swej córki Maryny. Dymitr dopiął swego i został koronowany na cara (1605), ale w następnym roku obalili go i zamordowali bojarscy buntownicy. Po nim pojawił się kolejny Samozwaniec, a w końcu (1609) awantura przerodziła się w wojnę Rzeczypospolitej z Moskwą, zakończoną korzystnym dla nas pokojem w Dywilinie (1618).

Wiele się działo tego dnia w kraju i na świecie. Roman Dmowski założył uznany przez aliantów jako przedstawicielstwo narodu Komitet Narodowy Polski w Paryżu (1917), masakra dokonana na Polakach w Mysłowicach przez Grenzschutz spowodowała wybuch I powstania śląskiego (1919), do Auschwitz przywieziono pierwszy transport z Warszawy (1940).

Ignacy Loyola założył zakon jezuitów (1534), a po 15 latach jezuita Franciszek Ksawery wylądował w Japonii. Otwarto Kanał Panamski (1914), Indie uzyskały niepodległość (1947), rozpoczął się festiwal w Woodstock (1969).

12 września Jest to dzień największej chwały oręża polskiego w Europie – aż do Bitwy Warszawskiej w 1920 r. Oto 12 września 1683 r. ze wzgórza Kahlenberg górującego nad Wiedniem, poprzez laski, zarośla i winnice zeszły chorągwie polskie i uderzyły na Turków oblegających stolicę Habsburgów.

Król Jan III Sobieski, któremu podporządkowały się również sojusznicze wojska niemieckie pod wodzą księcia Karola Lotaryńskiego, mając łącznie blisko 70 tys. żołnierzy przeciw ponad 100 tys. Turków, rozbił wojska wroga, dokonując z pełnym powodzeniem odsieczy Wiednia. Decydujące okazało się owo uderzenie polskiej jazdy – w tym ponad 20 chorągwi husarskich.

Czy król polski uczynił słusznie, obiecując pomoc Habsburgom i dotrzymując słowa? Niektórzy podkreślają, że – podobnie jak Francja – powinniśmy raczej zawrzeć i utrzymywać sojusz

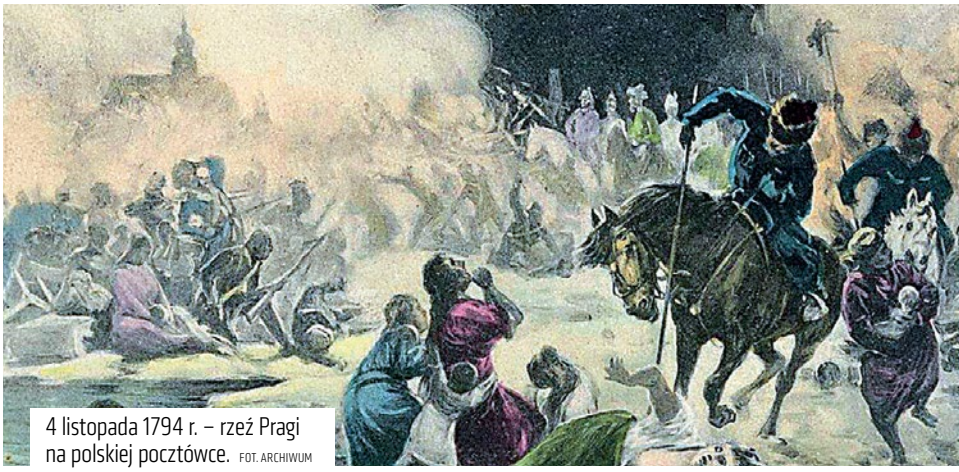

4 listopada 1794 r. – rzeź Pragi na polskiej pocztówce. FOT. ARCHIWUM

eprasa.pl 2986221024

z Turcją, naturalnym wrogiem zarówno Austrii, jak i Rosji. Nie minął wiek, gdy Habsburgowie wzięli udział w I rozbiorze Polski. O wdzięczności w polityce, zwłaszcza Austrii, opuszczony przez nią podczas wojny krymskiej car Mikołaj I – który parę lat wcześniej pomógł cesarzowi stłumić powstanie węgierskie – wołał z goryczą: „Jestem najgłupszym królem Polski od czasów Jana III, który też wsparł Austrię!". Z kolei również 12 września, ale 1699 r., komisarze polscy z generałem artylerii Marcinem Kątskim, po 27 latach panowania tureckiego nad Podolem, zajęli powtórnie Kamieniec. Stało się to na mocy pokoju karłowickiego, którego beneficjentem Rzeczpospolita stała się dzięki m.in. wiktorii wiedeńskiej.

Minęło ponad półtora wieku od dowodu polskiej lojalności i solidarności pod Wiedniem, a 12 września 1939 r. nasi z kolei sojusznicy zebrali się w Abbeville, aby naradzić się: ruszyć z ofensywą na Niemców czy zostawić Polskę samą w nierównej, śmiertelnej walce? Premierzy brytyjski oraz francuski (Neville Chamberlain i Edouard Daladier) wraz z dowódcami wojskowymi obu państw zadecydowali o bezczynności wojsk. Polskiego sojusznika nie raczyli o tym powiadomić, podobnie jak wcześniej nie poinformowali nas o tajnym protokole układu Ribbentrop-Mołotow, który przewidywał sowiecki najazd na Polskę oraz podział jej i państw całej Europy Środkowej. Naszym sojusznikom chodziło o to, by żołnierz polski trwał i krwawił jak najdłużej w beznadziejnej walce, a oni byli na razie bezpieczni.

Dodajmy jeszcze, że również 12 września – ale 1635 r. – po długiej wojnie zawarliśmy w Sztumskiej Wsi korzystny pokój ze Szwecją. W 1917 r. Rada Regencyjna mogła od tego dnia rozpocząć swą bardzo pożyteczną dla Polski pracę. W 1989 r. Sejm uchwalił votum zaufania dla rządu Tadeusza Mazowieckiego, „pierwszego niekomunistycznego premiera po wojnie".

17 września Ów dzień należy do najczarniejszych w polskiej historii. Ziścił się najgorszy scenariusz: sojusz niemiecko-rosyjski przyniósł 17 września 1939 r. zbrojny napad Związku Sowieckiego na Polskę walczącą od 1 września z Niemcami. Ościenne mocarstwa zaatakowały więc nas z obu stron. Każde z nich stanowiło wtedy wcielenie totalitarnego, ludobójczego państwa – III Rzeszy oraz ZSRS – i było znacznie od nas silniejsze. Efektem były IV rozbiór Polski oraz nieznane dotąd w dziejach mordy i poniewieranie naszego narodu. Wojna, która się od tego momentu zaczęła w Europie, zakończyła się po niemal sześciu latach paradoksalnym zwycięstwem obozu, do jakiego należeliśmy, a jednocześnie klęską Polski. Straciliśmy połowę przedwojennego terytorium oraz – na 45 lat – suwerenność i możliwość niekrępowanego cywilizacyjnego rozwoju.

Dokładnie 70 lat później, 17 września 2009 r., otrzymaliśmy cios bez porównania lżejszy, ale dotkliwy, bo niespodziewany, i to ze strony autentycznego potężnego sprzymierzeńca. Oto prezydent Barack Obama ogłosił, że rezygnuje z umieszczenia na naszym terytorium tarczy antyrakietowej, która stanowiłaby zaporę przed ewentualnym atakiem rosyjskim. Reset w stosunkach z Rosją prezydent USA ogłosił rok po rosyjskiej agresji na Gruzję. Kto mu podpowiedział, aby w sprawie tarczy wypowiedział się akurat 17 września, kojarzącego się Polakom z największą krzywdą wyrządzoną im przez Rosję właśnie, albo trzy lata później (2012) użył haniebnego, oszczerczego określenia „polskie obozy zagłady"? Nie wiadomo…

Na marginesie zauważmy jeszcze fakt pozytywny: 17 września 2015 r. przystąpiono w warmińskim Pieniężnie do rozbiórki pomnika gen. Iwana Czerniachowskiego, odpowiedzialnego za gehennę żołnierzy Armii Krajowej latem 1944 r. na Wileńszczyźnie.

4 listopada Czternaście lat temu władze Federacji Rosyjskiej wybrały starą-nową datę swego święta państwowego – 4 listopada – jako Dzień Jedności Narodowej. Data była „stara", bo na początku listopada (ale dokładnie 7 listopada, czyli 25 października starego stylu) czczono przez dziesiątki lat zamach stanu dokonany przez bolszewików w 1917 r. w Piotrogrodzie jako Wielką Socjalistyczną Rewolucję Październikową. Czasy się jednak zmieniły i trzeba było ten zamach, podobnie jak cały zbrodniczy system sowiecki, czymś przykryć.

Nadawało się do tego, by daleko nie szukać, wygnanie w 1612 r. Polaków z Kremla. Podpisanie kapitulacji przez skrajnie wygłodzoną, polsko-litewską załogę wojskową nastąpiło w wyniku ofensywy pospolitego ruszenia moskwicinów, na którego czele stanęli książę Dmitrij Pożarski oraz rzeźnik i handlarz mięsem Kuźma Minin z Niżnego Nowogrodu. Na początku września 1612 r. potrafili zatrzymać pod Moskwą odsiecz prowadzoną przez hetmana Jana Karola Chodkiewicza, a dwa miesiące później zająć Kreml. To jednak stało się nie 4, ale raczej 6 listopada, kiedy wspomnianą kapitulację podpisano. A więc, można powiedzieć, w wigilię Wielkiej Socjalistycznej… itd. Notabene warunków kapitulacji, przewidujących bezpieczne odejście polskiej załogi z Moskwy, nie dotrzymano. Piechurów wyrżnięto, a pozostałych uwięziono.

Czego rocznicę Rosjanie rzeczywiście obchodzą? A czegóż by, jeśli nie zdobycia 4 listopada 1794 r. Pragi przez rosyjskie wojska gen. Aleksandra Suworowa i urządzenia przez nie potwornej rzezi mieszkańców? 20 tys. ludzi, w tym dzieci, kobiet i starców – kłutych spisami i bagnetami, rąbanych pałaszami i zarzynanych – straciło wtedy życie. Suworow i rosyjscy historycy z właściwą im rzetelnością obciążyli odpowiedzialnością za masakrę wyłącznie Kozaków, a rozkaz głównodowodzącego, aby spalić mosty, tłumaczyli chęcią zapobieżenia rzezi lewobrzeżnej Warszawy.

Prawda jest taka, że generał bał się uderzenia Polaków zza Wisły na swe pijane już kompletnie wojska. Dlaczego jednak pozwolił na rzeź? Pewnie chciał, by „mołodcy" zabawili się „niemnożko", a i sam miałby przy tym trochę rozrywki. Ubawił się, a i tytuł feldmarszałka za tę rzeź od carycy dostał. Głośno się o tym nie mówi, natomiast po cichu wspomina się okrutną masakrę jako odwet za wyczyny Polaków na Kremlu w latach 1610–1612. No i jesteśmy w domu. Daty się precyzyjnie zgadzają, polityka historyczna Moskwy – również.

W tym kontekście warto wymienić świetne zwycięstwa, które 4 listopada odniosły nad moskwicinami wojska Rzeczypospolitej pod Cudnowem (1660, pod wodzą Jerzego Lubomirskiego) oraz pod Kuszlikami (1661, gdzie dowodzili król Jan Kazimierz oraz Stefan Czarniecki).

W historii powszechnej 4 listopada zapisał się m.in. odkryciem grobowca Tutanchamona (1922), zwycięstwem brytyjskim nad Niemcami pod El-Alamejn (1942) oraz zbrojną interwencją Sowietów na Węgrzech (1956).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2986221024

Sławomir Cenckiewicz

1943 r. /

Pierwsza

Przyrzeczenie wierności Sowietom i braterstwa broni z Armią Czerwoną...

19 kwietnia 1943 r. Biuro Polityczne WKP(b) podjęło decyzję o utworzeniu polskiej formacji wojskowej u boku Armii Czerwonej. Zygmunta Berlinga obudził w nocy telefon gen. Wsiewołoda Mierkułowa (sam zastępca Ławrientija Berii) z informacją, że wreszcie się doczekał i stanie na czele „polskiego" wojska. Awansowany do stopnia pułkownika, a później przez samego Stalina na generała brygady, ocalały ze Starobielska Zygmunt Berling stanął w maju 1943 r. na czele 1. Polskiej Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, a potem – 1. Korpusu Polskich Sił Zbrojnych w ZSRS, a jeszcze później – 1. Armii WP.

Powstało w ten sposób wojsko formowane według wzorów sowieckich, którego nominalnym zwierzchnikiem politycznym był agenturalny Związek Patriotów Polskich. Od tej pory żołnierze Berlinga przysięgali wierność Związkowi Sowieckiemu i braterstwo z Armią Czerwoną: „Przysięgam dochować wierności sojuszniczej Związkowi Radzieckiemu, który mi dał do ręki broń do walki ze wspólnym wrogiem, przysięgam dochować braterstwa broni sojuszniczej Czerwonej Armii".

Zwerbowaną podczas wojny agenturę NKWD dowodzącą kościuszkowcami wspierali (i kontrolowali zarazem) wypróbowani działacze partyjni, m.in.: Wiktor Grosz, Hilary Minc, Edward Ochab, Jakub Prawin, Józef Światło, Roman Zambrowski, Aleksander Zawadzki. Przeszkoleni przez Komintern i NKWD, zaprawieni w akcjach sabotażowych okresu międzywojennego, mieli nierzadko doświadczenie służby w Armii Czerwonej, w tym również współpracy z wywiadem wojskowym.

Nie ukrywali, że powstała pod Moskwą armia stanie się zbrojnym ramie-

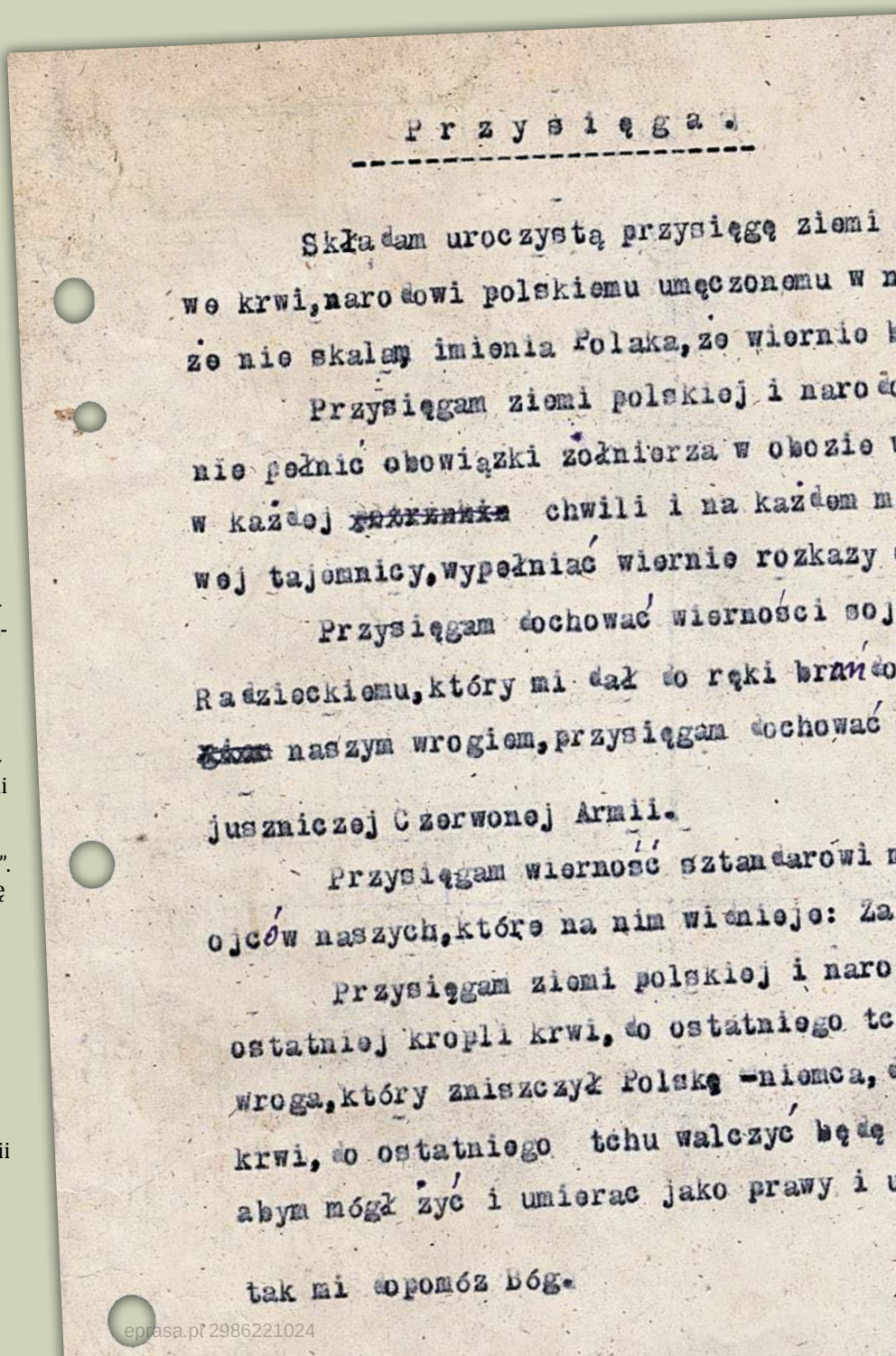

P r z y s i ę g a.

Składam uroczystą przysięgę ziemi
we krwi, narodowi polskiemu umęczonemu w n
że nie skalam imienia Polaka, że wiernie b
Przysięgam ziemi polskiej i naro d
nie pełnić obowiązki żołnierza w obozie
w każdej ~~[illegible]~~ chwili i na każdem m
wej tajemnicy, wypełniać wiernie rozkazy
Przysięgam dochować wierności soj
Radzieckiemu, który mi dał do ręki bran do
~~[illegible]~~ naszym wrogiem, przysięgam dochować
juszniczej Czerwonej Armii.
Przysięgam wierność sztandarowi n
ojców naszych, które na nim widnieje: Za
Przysięgam ziemi polskiej i naro
ostatniej kropli krwi, do ostatniego tc
wroga, który zniszczył Polskę - niemca,
krwi, do ostatniego tchu walczyć będę
abym mógł żyć i umierać jako prawy i u
tak mi dopomóż Bóg.

www.DORZECZY.pl

eprasa.pl 2986221024

Pod czerwoną komendą

przysięga LWP

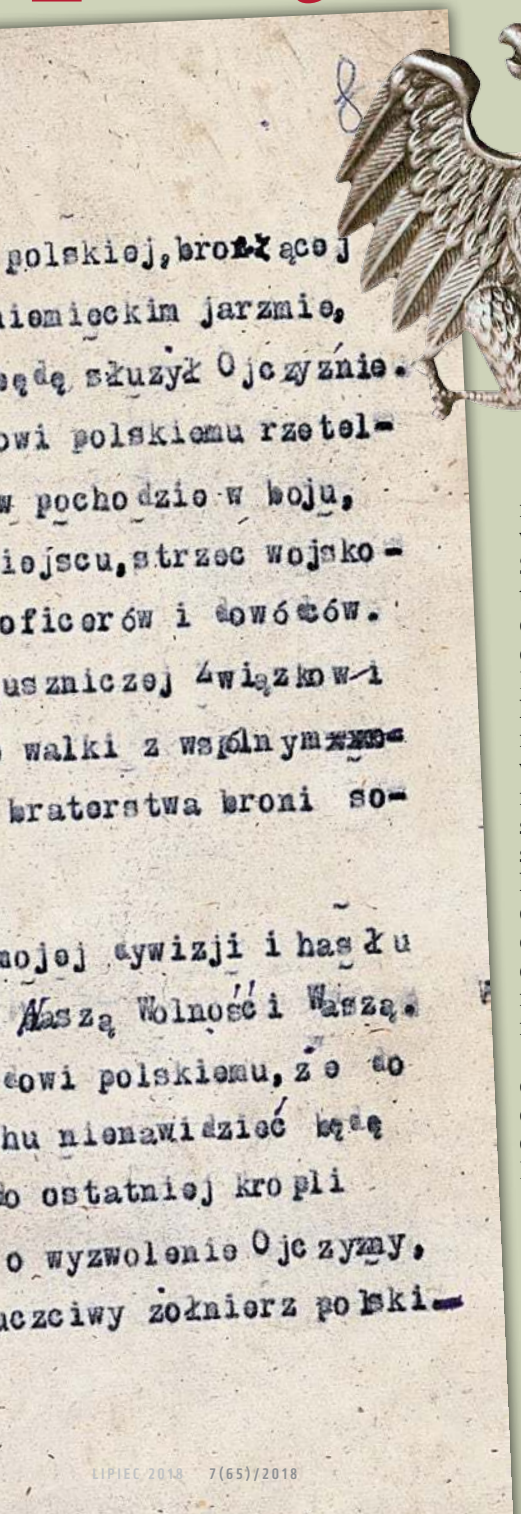
polskiej, broniącej
niemieckim jarzmie,
będą służył Ojczyźnie.
owi polskiemu rzetel-
w pochodzie w boju,
miejscu, strzec wojsko-
oficerów i dowódców.
uszniczej Związkowi
walki z wspólnym
braterstwa broni so-
mojej dywizji i hasłu
Naszą Wolność i Naszą.
owi polskiemu, że do
hu nienawidzieć będę
o ostatniej kropli
o wyzwolenie Ojczyzny,
uczciwy żołnierz polski-

niem komunistycznej partii. „Prędzej czy później zostanie utworzona tymczasowa władza, której narzędziem będzie armia" – mówił w październiku 1943 r. Włodzimierz Sokorski, zastępca dowódcy ds. polityczno-wychowawczych, zapowiadając odpowiedni rozkaz Berlinga w sprawie celów wojny prowadzonej przez 1. Polską Dywizję Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. 9 października 1943 r. Berling wydał rozkaz tłumaczący żołnierzom cele wojny i sens powstania LWP: „Stworzymy tymczasową władzę i zapewnimy jej swobodę pracy", „wojsko stać będzie na straży sojuszu ze Związkiem Radzieckim" i pilnować będzie, „aby nie wrócił do Polski faszyzm w jakiejkolwiek postaci", „dla wrogów demokracji i wolności, dla szkodników i warchołów gniew narodu znajdzie środki poskromienia i my będziemy jego narzędziem".

W ramach „sojuszniczej pomocy kadrowej" polską dywizję zasilili oficerowie sowieccy, którzy faktycznie dowodzili „odrodzonym wojskiem". Pierwszym sowieckim generałem delegowanym w sierpniu 1943 r. do wojska Berlinga był Karol Świerczewski. Wywodził się on z wywiadu wojskowego, z którym związał się już w 1928 r. W latach 1931–1936 z ramienia wywiadu był naczelnikiem Szkoły Wojskowo-Politycznej Polskiej Sekcji Kominternu, gdzie szkolił m.in. przyszłe kadry LWP. Został formalnie zastępcą Berlinga w 1. Korpusie Polskich Sił Zbrojnych w ZSRS, a później dowódcą 2. Armii WP (w grudniu 1944 r.). Również latem 1943 r. do nadzoru wojska Berlinga kierowany przez płk. Fiodora Kuzniecowa Zarząd Główny Wywiadu (Gławnoje Razwiedywatielnoje Uprawlenije – GRU) Sztabu Generalnego oddelegował gen. mjr. Nikołaja Mołotkowa, który od 1931 r. pracował w wywiadzie wojskowym. Sowieci opanowali najważniejsze stanowiska dowódcze w armii Żymierskiego, by później – już w warunkach pokojowych – tworzyć armię LWP.

Marionetkowy Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego ustanowił 31 sierpnia 1944 r. nową treść przysięgi wojskowej, z której w ramach legitymizacji władzy komunistów zniknęła „wierność sojusznicza Związkowi Radzieckiemu", ale pojawiła się deklaracja „wierności Krajowej Radzie Narodowej" jako „Władzy Naczelnej Narodu Polskiego". To niezwykle istotny zabieg – nie tylko zresztą propagandowy, lecz także w pewnym sensie prawny, gdyż żołnierze Armii Krajowej i innych formacji niepodległościowych wciąganych do LWP byli w ten sposób zmuszani do wypowiedzenia posłuszeństwa legalnym władzom RP i Naczelnemu Wodzowi (gen. Kazimierzowi Sosnkowskiemu) na rzecz sowieckich uzurpatorów.

W 1950 r. powrócił do treści przysięgi wojskowej sojusz z Sowietami: „Przysięgam strzec niezłomnie wolności, niepodległości i granic Polski Ludowej przed zakusami imperializmu, a w razie potrzeby, nie szczędząc krwi ani życia, mężnie walczyć w obronie mojej ojczyzny aż do pełnego zwycięstwa nad wrogiem, stać nieugięcie na straży pokoju w jednym szeregu z Armią Radziecką i innymi sojuszniczymi armiami". Tak było aż do czerwca 1988 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2986221024

Krzysztof Masłoń

1931–1982 / Dramat życia autora „Obłędu”

Bóle i lęki Jerzego Krzysztonia

– Nieodrodny syn zbiorowości, w której poczucie wielkości dziejowej splata się nierozłącznie z rozpaczą spodlonej teraźniejszości – mówiła o nim Maria Janion

To był piękny człowiek, prawy, szlachetny człowiek. To z niego promieniowało” – tak o Jerzym Krzysztoniu mówił jego imiennik, Jerzy S. Sito, poeta, z którym dzielił te same traumy, ten sam los. Sito był o trzy lata młodszy, urodził się w 1934 r. w Pińsku, podczas gdy Krzysztoń – w Lublinie, ale dzieciństwo spędził w Grodnie. Ojca Sity Sowieci zamordowali w Katyniu, ojca Krzysztonia NKWD-ziści aresztowali zaraz po 17 września 1939 r. i rodzina już nigdy o nim nie usłyszała. Jedyny prawdopodobny po nim ślad to Kuropaty.

Przyszły poeta i przyszły prozaik przeszli to samo wygnanie i ten sam szlak tułaczy. Do Polski wrócili nie od razu: Jerzy S. Sito dopiero w 1959 r., Jerzy Krzysztoń już wcześniej, w lipcu 1948 r. W wojennej tułaczce stracił rękę.

W Grodnie, gdzie przyszły autor „Obłędu” spędził dzieciństwo, jego ojciec prowadził kancelarię adwokacką. Po wejściu Sowietów i aresztowaniu Franciszka Krzysztonia jego rodzina żyła na walizkach. W kwietniu 1940 r. do Kazachstanu wywieziono dziewięcioletniego Jerzego wraz z bratem, matką i ciotką. O tym, co przeżył tam, a następnie w Uzbekistanie, opowiedział w „Wielbłądzie na stepie”, wydanym dopiero w 1978 r.

Książka została świetnie przyjęta. Było to jedno z pierwszych oficjalnie wydanych świadectw wypędzenia Polaków z ich domów przez sowieckiego okupanta i zesłania ich w głąb ZSRS. Do tego świadectwo znakomite literacko. W „Wielbłądzie…” Krzysztoń opisał – cytuję Joannę Siedlecką i jej „Wypominki” – „kazachskie sioło na głuchym, pustym stepie. Ziemiankę – norę z gliny, pod któ-

eprasa.pl 2986221024

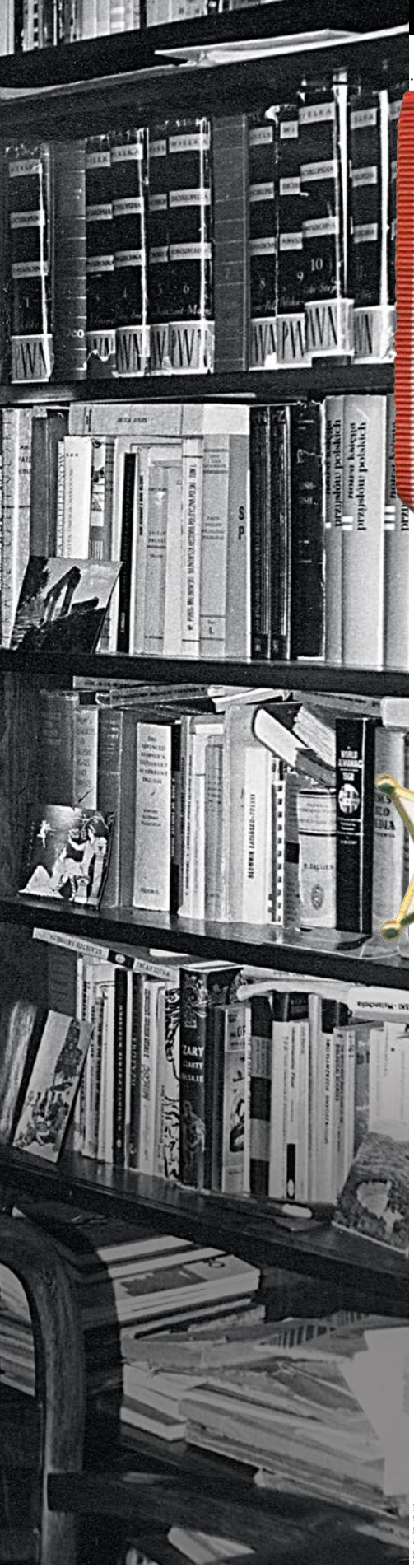

FOT. EAST NEWS

rą podchodziły nocą wilki. Wyjący buran – stepowy wicher. Przeszło 40-stopniowe mrozy, przy jednej parze ciepłych walonek na całą rodzinę. Kołchoz i brygady układania torów, gdzie pracowali. Jurek z bratem zbierali też w worki kizia – bydlęce łajno na opał do ogniska, na którym gotowali zupę z pokrzyw, łapszę – zacierki z czarnej mąki i otrąb – i oczywiście kipiatok. Maczali w nim suchary, bo inaczej ugryźć się ich nie dawało.

Już myśleli, że tak będzie zawsze. Co jest za stepem? – mawiali Kazachowie. Step. A za nim? Również step".

Jakby naturalną kontynuacją „Wielbłąda na stepie" był „Krzyż Południa", którego ukazania się autor nie doczekał; wydany został dopiero po jego śmierci. Jest to dalszy ciąg wojennej wędrówki autora, który z armią gen. Andersa opuścił „nieludzką ziemię". Przewędrował Persję, Indie, docierając do Ugandy w Afryce. Wszędzie tam uczęszczał do polskich gimnazjów, był harcerzem. Miał co jeść, co na siebie włożyć, miał też opiekę lekarską, niestety – nie zawsze odpowiednią. Po wypadku samochodowym na otwartą ranę położono mu gips, co wywołało gangrenę. Tak stracił lewą rękę, o mało co nie tracąc życia. Wyjść cało z innych, ale też zdrowotnych opresji nie udało się natomiast jego ciotce, zaledwie 27-letniej, która nie przeżyła, wydawałoby się, banalnej operacji woreczka żółciowego.

Należy w tym momencie wspomnieć, że Jerzy Krzysztoń planował napisanie jeszcze jednej książki o swoich wojennych losach, będącej dopełnieniem „Wielbłąda na stepie" i „Krzyża Południa". Nie zrealizował tego zamiaru.

Pogranicze

Matka Jerzego obawiała się niepewnej przyszłości czekającej ją na Zachodzie. Anglicy przyjmowali jedynie rodziny wojskowe, w Australii musiałaby pracować jako robotnica, straciła męża i siostrę, miała dwóch synów, których chciała wykształcić, co się jej udało. W kraju jednak, do którego powrócili nomen omen 22 lipca 1948 r. Rok później Jerzy zdał maturę w lubelskim Liceum Humanistycznym im. Stanisława Staszica i rozpoczął studia – filologię polską i angielską na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

Jeszcze w czasie studiów zadebiutował w „Tygodniku Powszechnym" opowiadaniem „Wspomnienie indyjskie". Edukację kończył już w Warszawie, gdzie rozpoczął pracę redaktorską w Instytucie Wydawniczym PAX, a następnie w pismach tegoż stowarzyszenia: „Dziś i Jutro" i „Kierunkach". Z PAX wystąpił w 1956 r., obejmując funkcję kierownika działu kulturalnego w miesięczniku „Więź".

Jego pierwsze książki – „Opowiadania indyjskie" oraz „Sekret i inne opowiadania" – skrojone zostały jeszcze, przynajmniej po części, według socrealistycznych wzorów. Inna, choć nie wolna od błędów, tyle że innego rodzaju, była powieść „Kamienne niebo" (1958) dziejąca się przez pięć dni powstania warszawskiego. W piwnicy walącej się kamienicy przysypanych zostało sześć

eprasa.pl 2986221024

osób: profesor, żona oficera AK z córeczką, złodziej Maniuś, Ewa, panienka z lepszych sfer oraz dozorczyni. Nie mają jedzenia ani picia, żyją w ciemności, brakuje im powietrza. „Kamienne niebo" w swej podskórnej wymowie nawiązywało do dylematów modnego podówczas Sartre'a, opakowując mocno wydumane problemy z pogranicza eschatologii i socjologii szeleszczącą papierem fabułą, co wytknął dziełku Krzysztonia Kazimierz Wyka. Nie przeszkodziło to filmowcom sięgnąć po ten tekst i rok po ukazaniu się książki posłużyła ona za kanwę scenariusza filmu pod tym samym tytułem, zrealizowanego przez Ewę i Czesława Petelskich z Tadeuszem Łomnickim w roli złodziejaszka.

Na początku lat 60. przeszedł Jerzy Krzysztoń do pracy w Polskim Radiu, gdzie kierował redakcją adaptacji słuchowisk. Sam zresztą też sporo pisał dla radia, prowadząc przez lata na antenie popularną „Pocztę literacką". Wydawał też kolejne książki: zbiory opowiadań i reportaże, które nie przeszły jednak próby czasu – tak było aż do „Wielbłąda na stepie".

Wydana w 1978 r. w Czytelniku książka (wcześniej ze względu na niepoprawną politycznie treść przez pięć lat leżała w PIW) wywołała protest sowieckiego ambasadora. Protest nieco spóźniony, bo książka sprzedała się tak, jak to było możliwe tylko w PRL – na pniu.

Jego wojenna przeszłość znalazła przedłużenie w życiu, jakie prowadził. Utrzymywał stały kontakt z kolegami z wojennej tułaczki, spotykali się i w kraju, i za granicą, bo wielu z nich nie wróciło po wojnie do Polski. „Indyjczycy", bo tak się nazywali, przyczynili się też do wydania kilku książek, wśród nich albumu „Tułacze dzieci".

Można w nim było przeczytać o tym, jak ci „Indyjczycy" zwoływali się „w coraz to innym kraju na swe niezwykle serdeczne zjazdy, by wspólnie powspominać, jak zawsze w wielkim skupieniu i ze wzruszeniem wysłuchać uroczej gawędy niegdysiejszego ułana krechowieckiego, późniejszego »Rysia-Zucha« i dzisiejszego ks. prałata Zdzisława Peszkowskiego. Nie zginęła pamięć o tych, którzy zostali pochowani na cmentarzach w Kolhapurze i Jamnagarze. W latach siedemdziesiątych, z inicjatywy kilku działaczy Towarzystwa Polsko-Indyjskiego w Warszawie oraz wychowanków byłych osiedli polskich w Indiach, zostały przeprowadzone prace ekshumacyjne z polskich grobów rozrzuconych po całym Cmentarzu Kolhapurskim, do wspólnej mogiły przykrytej skromną płytą nagrobkową. Trójjęzyczna inskrypcja w języku polskim, angielskim oraz marathi autorstwa Jerzego Krzysztonia jest poświęcona »Pamięci Polaków, którzy w drodze do Ojczyzny zmarli na Ziemi Indyjskiej 1944–1948«. Co roku w Dzień Zaduszny przedstawiciele Konsulatu Polskiego w Bombaju odwiedzają cmentarz i zapalają znicze".

Polskie dzieci, które przeżyły zesłanie w Związku Sowieckim FOT. OŚRODEK KARTA

A Jerzy Krzysztoń wybrał się nawet do Teheranu, na grób ciotki Zofii, ale na tym cmentarzu, gdzie ją pochowano, jest teraz osiedle mieszkaniowe.

Męczeńska droga

Z roku na rok coraz mocniej dawała o sobie znać jego choroba. Lekarze ujęli ją lapidarnym rozpoznaniem: „zespół lękowo-urojeniowy". Na przedwiośniu 1971 r. jego stan był już tak ciężki, że odwieziony został do szpitala w Tworkach. Od tego czasu choroba będzie mu, z przerwami, towarzyszyła do końca. A to, co przeżył, zanim trafił do szpitala psychiatrycznego, w samym szpitalu i zaraz potem, opisał w potężnej powieści „Obłęd" wydanej w roku 1979.

Tomasz Burek zaliczać będzie to ogromne, 1000-stronicowe dzieło do najważniejszych powieści-summ tamtego pokolenia, obok „Chleba rzuconego umarłym" Bogdana Wojdowskiego (1971), „Zasypie wszystko, zawieje" Włodzimierza Odojewskiego (1973), „Kamienia na kamieniu" Wiesława Myśliwskiego (1984) oraz wydanych z opóźnieniem powieści „Nie wierz nikomu" Stanisława Czycza i „Na stracenie" Janusza Krasińskiego.

Maria Janion w interpretacji „Obłędu" posłużyła się kluczem romantycznym, oczywiście niezobowiązującym, niemniej godnym uwagi. Porównuje ona bohatera powieści Krzysztonia do Tadeusza Rejtana, nazywając go „Rejtanem naszych czasów", szarpiącym się „między wizjami Polski, które mogą, jak to ironicznie autor podkreśla, spowodować apopleksję, »tyl-

eprasa.pl 2986221024

ko nie wiadomo – z ekstazy nad chwałą Rzeczypospolitej i Królowej Korony Polski – czy z rozpaczy nad narodowym nieszczęściem, nędzą i głupotą?«. Tragedia i groteska opływają tę postać nowego Rejtana, który po grudniu 1970 roku znalazł się nie w »murowance«, nie w ruinach, nie w lasach, lecz w szpitalu tworkowskim. Krzysztof J. jest nieodrodnym synem zbiorowości, w której poczucie wielkości dziejowej splata się nierozłącznie z rozpaczą spodlonej teraźniejszości. Więcej, jego »obłęd« tu ma swoje korzenie. Jest on też następcą i spadkobiercą tych wszystkich, którzy oszaleli z miłości do ojczyzny, po jej stracie. […]

Szaleniec romantyczny spala się, jak zwykle, w ogniu poświęcenia, ale nie musi ono pozostawać bezowocne. Powieść Krzysztonia ujmuje w końcu przejście przez obłęd jako monstrualny rytuał pogrążenia, zejścia na dno piekieł i odkupienia, oczyszczenia. »Ktoś za nas musi to zrobić«, zdaje się mówić autor, narrator i bohater. Ktoś musiał jeszcze raz sprawdzić na sobie i wypowiedzieć do końca szaleńczą prawdę o męczeńskiej polskiej drodze do wolności. Zrobił to Jerzy Krzysztoń".

Chora wyobraźnia

Jednych czytelników „Obłęd" zachwycił, innych jednak zirytował. Zwracał na to uwagę m.in. Jan Pieszczachowicz: „Charakterystyczne: wielu oceniającym przeszkadzał »nieczysty« gatunkowo (czy też – podgatunkowo) charakter powieści. Ci, którzy chcieliby rzecz potraktować alegorycznie, napotykali barierę w postaci warstwy realistycznej; zwolennicy metaforycznej spekulacji musieli śledzić żmudne w ich odczuciu opisy poszczególnych faz choroby Krzysztofa J., relacje z życia szpitalnego, drobiazgowe obserwacje chorej wyobraźni. Z kolei interpretatorzy, którzy nie mieliby nic przeciwko zwekslowaniu powieści wyłącznie na tory psychologiczno-psychiatryczne, musieli potykać się z obfitością materiału związanego z historią i filozofią, co zdało im się przypadkowym zbiorem reminiscencji i cytatów.

Czytelnik polski nie od dziś przyzwyczaił się, że autor nierzadko dość natrętnie podsuwa mu dreszczyk »aluzyjnego« wtajemniczenia. Ale Krzysztoń nie usiłuje epatować »podtekstami« i skłonny jestem zgodzić się z tym, co autor powiedział »Nowym Książkom« w wywiadzie pt. »Wiosenny dyskurs w Oborach«: »Nie piszę swoich książek po to, żeby kogokolwiek do czegokolwiek przekonywać. Traktuję je jako rozmowę w cztery oczy z kimś bliskim, a bliskich może być wielu. Wystarczy, że kogoś do takich czy innych myśli, refleksji czy wniosków pobudzę«".

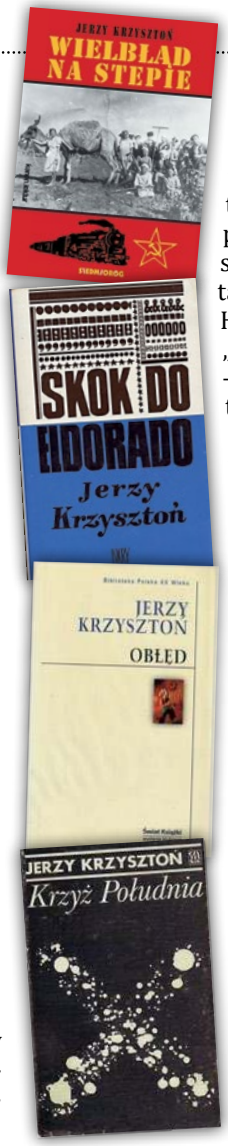

Z pewnością obecność w fabule „Obłędu" wątków i sytuacji mających odniesienia społeczne i polityczne nie wystarczy, by uznać powieść za dowód opozycyjności Jerzego Krzysztonia. Jego negatywny stosunek do władzy komunistycznej nie był zresztą dla nikogo tajemnicą (czyż zresztą mógł być inny przy jego życiorysie?). Gwałtowne napaści chorego już pisarza na pracujących w Polskim Radiu partyjnych czynowników z Włodzimierzem Sokorskim na czele były w gruncie rzeczy konsekwencją jego przemyśleń, ocen i sądów. Można tutaj np. przypomnieć o wystąpieniu pisarza na Zjeździe Związku Literatów w Sopocie w roku 1960. Już wtedy wypominał władzy „»zanęcanie« pisarzy do tematów wygodnych rządowi", co oczywiście w analizie zjazdu dokonanej w Wydziale Kultury KC PZPR zostało skrupulatnie pominięte.

A kończąc rozważania o „Obłędzie", raz jeszcze zacytuję Jana Pieszczachowicza, z którym wypada się zgodzić, gdy pisze: „Może […] wymowa powieści Krzysztonia polega na ukazaniu, że nasza tradycja, uwikłana w nowsze dzieje i współczesną cywilizację, stała się wieżą Babel z pogranicza obłędu? Że należy ją zatem sprowadzić – jak czyni to bohater w otchłani piekielnej swojej choroby (a dantejskie aluzje są dość oczywiste) – do »poziomu zerowego«, swojego rodzaju czyśćca, by została rozpoznana na nowo, nawet kosztem bolesnych i drastycznych rewizji?".

I już naprawdę jako zwieńczenie tych dywagacji z „Obłędem" jako punktem wyjścia przywołajmy tytuły trzech tomów tej powieści, gdyż podpowiadają one, obok dantejskiego, inne jeszcze znane tropy, także ten wiodący od „Odysei" Homera. Tom pierwszy nosi tytuł „Tropiony i osaczony", tom drugi – „Przywiązany do masztu", tom trzeci – „Księżyc nad Epidaurem".

„Obłęd" kończył Jerzy Krzysztoń tak: „Nadszedł kres moich wyznań, nic więcej nie powiem. Ofiarowuję wam książkę zmagań z obłędem, rzetelny opis, który pragnę po sobie zostawić". Po amputacji ręki przyrównywał siebie do Łazarza, zmagając się z niewyobrażalnym cierpieniem swego szaleństwa, szukał słów, którymi mógłby opowiedzieć o cierpieniu, które stało się jego udziałem.

Pięć lat po śmierci pisarza tak go w „Literaturze" wspominała Krystyna Goldbergowa: „Ostatni raz widziałam Krzysztonia w 1980 roku na majowym kiermaszu książki w Warszawie. Przy stoliku PIW-u podpisywał egzemplarze »Obłędu«. Przeraził mnie jego wygląd. To był zupełnie inny człowiek niż ten, którego znałam. Ponura, pobrużdżona szara twarz, nieobecne, puste oczy. Kiedy podeszłam do niego, usiłował się uśmiechnąć. I wtedy przeraziłam się jeszcze bardziej. Kąciki jego ust rozciągnęły się w bolesnym grymasie, oczy zaś – tak niegdyś rozświetlone uśmiechem – przesłaniał bezgraniczny smutek".

Mniej więcej w tym samym czasie poprosił Janusza Krasińskiego o dokonanie adaptacji „Obłędu" z myślą o teatrze. Nie doczekał się premiery, która odbyła się w Teatrze Polskim w Warszawie 24 marca 1983 r.; sztukę reżyserował Jerzy Rakowiecki, w głównej roli wystąpił Jan Englert.

Swoją sztukę Jerzy Krzysztoń zakończył w roku poprzednim, 16 maja 1982 r. o godz. 14, skacząc z okna swego mieszkania na trzecim piętrze przy ul. Madalińskiego na Mokotowie.

14 października 2012 r. w podobny sposób, na warszawskiej Ochocie, odszedł autor scenicznej przeróbki „Obłędu" – Janusz Krasiński.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2986221024

Miejsce konferencji w Wannsee FOT. WIKIPEDIA

Książka miesiąca / Początek Holokaustu w GG

Tajemnica Wannsee

Geneza Zagłady jest jednym z najbardziej fascynujących tematów najnowszej historii. Problem ten wywołuje również pasjonujące debaty i dyskusje. Według części badaczy – obecnie należą oni już do zdecydowanej mniejszości – Adolf Hitler od samego początku miał plan masowego, fabrycznego mordu Żydów. I realizował go z żelazną konsekwencją.

Inni historycy uważają, że było zupełnie inaczej. Holokaust był wynikiem stopniowej wojennej radykalizacji i oddolnych decyzji niemieckich funkcjonariuszy niższego szczebla. Zagłada zaczęła się od dołu i dopiero potem została usankcjonowana przez narodowosocjalistyczne kierownictwo.

Niemcy najpierw planowali Żydów deportować – m.in. na Madagaskar i za Ural – ale wojenne porażki uczyniły ten plan nierealnym. Dopiero wówczas zdecydowali, że Żydów należy eksterminować w komorach gazowych. Kiedy podjęto tę decyzję? Część historyków wskazuje na koniec roku 1941, inni na pierwsze miesiące roku 1942.

Bardzo często można się również spotkać z poglądem, że decyzja ta została podjęta 20 stycznia 1942 r. w willi w berlińskiej dzielnicy Wannsee. Tego dnia Reinhard Heydrich zwołał konferencję przedstawicieli wielu instytucji III Rzeszy. Jej tematem miało być przedyskutowanie „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej".

Wokół spotkania w Wannsee narosło sporo mitów i legend. I dlatego wybitny niemiecki historyk Peter Longerich postanowił poświęcić mu swoją nową książkę. Jest to lektura pasjonująca. Autor udowadnia, że w Wannsee decyzja o natychmiastowym wymordowaniu wszystkich europejskich Żydów w komorach gazowych wcale nie zapadła.

Na początku spotkania Heydrich forsował swój stary plan deportacji Żydów na okupowane tereny Związku Sowieckiego.

„Należy użyć Żydów do pracy na Wschodzie – czytamy w protokole konferencji w Wannsee. – Ujęci w duże kolumny robocze, zdolni do pracy Żydzi zostaną skierowani na te terytoria w celu budowy dróg. Oczywiście przez naturalną eliminację duża ich część przy tym odpadnie".

Żydów, którzy przetrwaliby roboty, Heydrich – jako „najbardziej odporną część" narodu żydowskiego – sugerował poddać „specjalnemu traktowaniu". Czyli wymordować. Wszystko to miało zostać dokonane po zakończeniu działań wojennych. Jak więc widać, był to już bez wątpienia plan ludobójczy, ale zupełnie inny od tego, który Niemcy ostatecznie zrealizowali.

Według planu Heydricha wysiedleni Żydzi mieli zginąć w wyniku kombinacji wyniszczającej pracy, fatalnych warunków bytowych i mordów. A nie w komorach gazowych. Pod koniec konferencji głos zabrał jednak Josef Bühler, przedstawiciel rządu Generalnego Gubernatorstwa. Zasugerował on, że „ostateczne rozwiązanie" można by rozpocząć na terenie okupowanej Polski. I to już teraz. Nie czekając na rozstrzygnięcie wojny.

„Tym samym na konferencji w Wannsee – pisze Longerich – zarysowała się alternatywa dla zaproponowanego przez Heydricha programu »ostatecznego rozwiązania«. Kwestia, w jakiej formie miało dokonać się »ostateczne rozwiązanie«, nie została rozstrzygnięta na samej konferencji, lecz w ciągu najbliższych miesięcy".

Wannsee nie było więc momentem zwrotnym. Było jednym z ogniw całego łańcucha zdarzeń i decyzji, które doprowadziły do Holokaustu. Jednej z najbardziej przerażających i okrutnych masowych zbrodni XX w. ©℗

Piotr Zychowicz

PETER LONGERICH
„KONFERENCJA W WANNSEE. DROGA DO »OSTATECZNEGO ROZWIĄZANIA«"
PRÓSZYŃSKI I S-KA

eprasa.pl 2986221024

Bierut kontra Gomułka

Przełomowym momentem w karierze Bolesława Bieruta nazywa autor jego wizytę w Moskwie w roli przewodniczącego Krajowej Rady Narodowej, w sierpniu 1944 r. Od tego czasu stał się najbardziej zaufanym człowiekiem Moskwy. „Ponad lojalność wobec polskich towarzyszy wyżej cenił władze radzieckie. Czuł się raczej urzędnikiem międzynarodowego ruchu komunistycznego, poddanym Stalina" – pisze Piotr Lipiński. I dodaje, że Bierut siłę czerpał z uległości wobec Moskwy.

W porównaniu z nim dość sympatycznie wygląda Władysław Gomułka, który chciał uzyskać dla komunistów jakiekolwiek poparcie Polaków. Uważał bowiem, że Stalin pójdzie na pewien kompromis w sprawie przyszłych władz Polski. Z kolei Bierut wykazał się większym realizmem. Skoro Polskę wyzwoli od Niemców Armia Czerwona, to bez sensu jest rozmawiać z jakimkolwiek środowiskiem politycznym.

Swoją rywalizację z Gomułką rozpoczął Bierut od donosu na niego do Moskwy, skarżąc się m.in. na jego zygzaki od sekciarstwa do oportunizmu. I zapędy dyktatorskie. Z tego oskarżenia Stalin, adresat donosu, musiał się uśmiać. „Wasza pomoc niezbędna" – apelował Bierut do towarzyszy w Moskwie. Ostatecznie wykończył rywala w 1948 r. Gomułka znów bowiem nie wykazał się realizmem, uważając, że komunistyczna Polska nie będzie mogła naśladować ściśle sowieckiego wzorca.

Bierut osobiście nadzorował śledztwo przeciw Gomułce. Żądał: „Ujawnić wrogą działalność, spiskowanie w Partii i przeciw Partii". Do procesu Gomułki nie doszło. Dlaczego? Piotr Lipiński przytacza różne poglądy na ten temat. Najbardziej trafia do przekonania ten, że była to decyzja Moskwy. Najmniej – że była to zasługa Bieruta. Do końca liczył, że śledztwo przeciwko Marianowi Spychalskiemu dostarczy dowodów obciążających Gomułkę.

Hilary Minc nazwał Bieruta najwierniejszym uczniem Stalina. Inny prominentny działacz komunistyczny, Artur Starewicz, wspominał, że w kraju faktycznie rządzili z Bierutem właśnie Minc i Berman.

Tym, co irytuje w tej dobrze napisanej książce, jest brak zdania autora w konkretnych sprawach. Czy Bierut chciał procesu Gomułki, czy grał na zwłokę, by do niego nie doprowadzić? Był samodzielnym szefem partii czy sterowali nim Minc i Berman? ©℗ ***Tomasz Stańczyk***

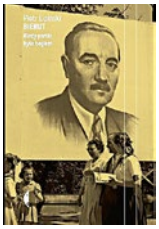

PIOTR LIPIŃSKI
„BIERUT. KIEDY PARTIA BYŁA BOGIEM"
WYDAWNICTWO CZARNE

Józef P. na Syberii

Tomasz Łysiak przedstawił Józefa Piłsudskiego podczas jego zesłania na Syberię, a więc dziejową postać dobrze znaną ogółowi w najmniej chyba znanym epizodzie jej życia. 20-letni Józef – oskarżony o kontakty ze spiskowcami przygotowującymi zamach na cara Aleksandra III – trafił w 1887 r. przez Tobolsk i Irkuck do Kiereńska nad Leną, a po trzech latach do Tunki. Zwolniono go w 1992 r., po odbyciu całej kary. W ciągu tych pięciu lat przebył czteromiesięczną podróż (kapitalna scena zakuwania w kajdany!), wybicie kolbą przednich zębów podczas buntu więźniów (ubytek zasłaniał do końca życia wąsami), znajomości z polskimi i rosyjskimi wrogami cara, dramaty i uroki pobytu w tajdze, a nawet pierwszą (niestety, nieszczęśliwą) miłość – z Leonardą Lewandowską. ©℗ ***(m.r.)***

TOMASZ ŁYSIAK
„SYBIR. ZESŁANIE JÓZEFA P."
WYDAWNICTWO LITERACKIE

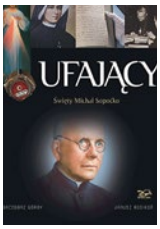

GRZEGORZ GÓRNY, JANUSZ ROSIKOŃ
„UFAJĄCY"
ROSIKON PRESS

TROPEM KSIĘDZA SOPOĆKI

Historia ks. Michała Sopoćki (1888–1975) w przedziwny sposób wpisuje się w męczeńską historię Polski ubiegłego stulecia. Potrafiła ocalić swą tożsamość m.in. dzięki przeniknięciu wiarą i działaniem takich osób jak św. Faustyna Kowalska i jej spowiednik – ks. Sopoćko. Jego śladami fotograf Rosikoń i autor tekstu Górny ruszyli po Polsce, Litwie i Białorusi. Efekty są znakomite. ©℗ ***(m.r.)***

FRANCES GIES, JOSEPH GIES
„ŻYCIE W ŚREDNIOWIECZNEJ WSI"
ZNAK HORYZONT

ZAMIAST „GRY O TRON"

Książka opowiada o życiu codziennym w średniowiecznej wsi Elton. Epoka mieniła się kolorami, nie tylko na witrażach. W chłopskim ubiorze dominowały barwy: jasnoniebieska, czerwona i zielona. Wieśniacy chętnie pili piwo, a rolę pubu pełnił dom sąsiada, który uwarzył napój. 1 listopada rozpalano ogniska – ślad pogańskiego rytuału przemianowanego na Wszystkich Świętych. ©℗ ***(t.s)***

BEATA DE ROBIEN
„PRZEKLEŃSTWO SWIETŁANY"
POST FACTUM

ŻYCIE CÓRKI STALINA

W 1967 r. świat obiegła sensacyjna wiadomość. Swietłana Alliłujewa – córka Stalina – uciekła do USA. Dlaczego podjęła tę decyzję? Jak wyglądało jej dzieciństwo? Jak układały się jej relacje z ojcem i innymi mężczyznami? Odpowiedzi na te pytania w świetnej biografii Swietłany pióra Beaty de Robien. ©℗ ***(pz)***

eprasa.pl 2986221024

FOT. WIKIPEDIA

Helikopterem nad Wietnamem

Tytułowe słowa: „Powiedz, że się boisz" autor książki usłyszał od lekarza po tysiącu akcji bojowych, w których wziął udział jako pilot helikoptera 1. Dywizji Kawalerii Powietrznej podczas wojny w Wietnamie. Zostało mu kilka dni dzielących od powrotu do USA, a tu – wbrew utartemu zwyczajowi – ciągle wysyłano go w rejony walk. Od lekarza oczekiwał, że wypisze mu zwolnienie z obowiązku prowadzenia akcji grożących zestrzeleniem, ale ten mógł to uczynić, tylko całkiem zabraniając mu latania. Z kolei Robert Mason nie chciał pożegnać się z helikopterem. Ten syn farmera (później handlarza nieruchomości) za bardzo kochał latanie.

Latał więc na akcje i – mimo najgorszych przeczuć, koszmarów sennych i zawrotów głowy – przeżył. Dopiero w USA, gdy szkolił nowych pilotów, utraty przytomności spowodowały, że go całkiem „uziemniono". Z US Army odszedł w 1968 r. Napisał wspomnienia, które stały się swego rodzaju podręcznikiem dla pilotów w USA, Australii i kilku krajach europejskich. Na tym polega fenomen książki – bodaj najciekawsze są objaśnienia dotyczące latania najsłynniejszym śmigłowcem wojny wietnamskiej, znanym z licznych filmów Bell UH-1 Iroquois, w skrócie „Huey". Dowiadujemy się, jak za pomocą drążka, dźwigni i dwóch pedałów wznosić się z nadmiernym ciężarem, zawisać, manewrować, opadać i lądować na maleńkiej przecince wśród tropikalnych drzew, przyspieszać do 240 km/godz. mimo gęstego ognia niewidocznego na ogół przeciwnika.

A jednocześnie książka zawiera opisy tak dramatycznych sytuacji, jak pomoc udzielona bohaterskiemu por. Carpenterowi. Otoczony przez Vietcong, z garstką pozostałych przy życiu żołnierzy prosił, by położyć ogień artylerii na własnej pozycji. Amerykanie przeżyli i zostali zabrani przez helikoptery (w tym – Masona). Autor poszukiwał zaginionych w dżungli kolegów, dowoził kolejnych żołnierzy na linię boju, a wywoził rannych (i zabitych!), dostarczał amunicję i zaopatrzenie. Niejednokrotnie bywał w śmiertelnym niebezpieczeństwie i wracał do bazy z podziurawioną kulami obudową maszyny.

Nie widzi sensu uczestnictwa USA w tej wojnie, wyraża się krytycznie o strategii i błędnych decyzjach dowództwa, przeżywa cierpienia ludności, oburza go tchórzostwo południowych Wietnamczyków – zwłaszcza na tle znakomitych „Tygrysów" z Korei Południowej. Dodajmy, że czuje się też krzywdzony lekceważeniem żołnierzy amerykańskich przez własnych rodaków. ©℗

Maciej Rosalak

ROBERT MASON
„POWIEDZ, ŻE SIĘ BOISZ"
VESPER

W łóżku z Hitlerem

Anna Lerke miała szczęście. Z niemieckiego obozu trafiła w 1940 r. do Berghofu, rezydencji Adolfa Hitlera. Tam stała się służącą, a wkrótce także powierniczką Ewy Braun. Przyjaciółka i kochanka wodza III Rzeszy dzieliła z nim upodobanie do psów. Ona miała swoje teriery szkockie, on – Blondi, owczarka niemieckiego. Ewa była zła, że Hitler poświęca suce zbyt wiele uwagi, a zaniedbuje ją. „Zdarzało się, że kopała Blondi i nie wpuszczała jej do domu w deszczowy dzień. Gdyby Hitler to widział…".

A gdyby Hitler wiedział, że Ewa Braun zwierza się swojej służącej z tajemnic życia intymnego z nim… A tak się działo, gdy wypiła za dużo wina. Dlatego też autorka pisze: „Jak to jest być w łóżku z Hitlerem? Myślę, że znam odpowiedź na to pytanie". I opowiada dość szczegółowo o tym.

Tak naprawdę Anna Lerke nie istniała, a książka jest fikcją literacką. Nie znaczy to jednak, że operuje zmyśleniami. Raczej przeciwnie – atrakcyjna opowieść o Ewie Braun i Hitlerze jest bowiem paradokumentem wykorzystującym wspomnienia i inne źródła historyczne. Burzliwe i nieszczęśliwe życie Ewy Braun wyglądało więc tak albo bardzo podobnie, jak to przedstawia jej „spowiedź". ©℗ ***(t.s.)***

ANNA LERKE
„SPOWIEDŹ EWY BRAUN. W CIENIU HITLERA"
BELLONA

eprasa.pl 2986221024

NZW na Podkarpaciu

Z roku na rok rośnie liczba monografii regionalnych struktur podziemia antykomunistycznego. Książka dr. Mirosława Surdeja przedstawia prowadzoną na Rzeszowszczyźnie na polu militarnym, politycznym, propagandowym, wywiadowczym i kontrwywiadowczym działalność struktur Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Najbardziej interesującym zagadnieniem wydaje się aktywność zbrojna rzeszowskich narodowców.

Należy przypomnieć, że na Rzeszowszczyźnie 5 maja 1945 r. rozegrała się jedna z największych bitew, jakie stoczyły formacje narodowej partyzantki z siłami NKWD. W starciu pod Kuryłówką, bo o nim mowa, wzięło udział ok. 160 antykomunistycznych powstańców wywodzących się z oddziałów Stanisława Pelczara „Majki", Bronisława Gliniaka „Radwana" i Józefa Zadzierskiego „Wołyniaka". Ich przeciwnikiem byli żołnierze 11. Pułku z 64. Dywizji NKWD oraz 372. Pułku z 52. Dywizji NKWD. Z sowieckiego raportu sporządzonego po walce wynika, że straty NKWD wyniosły 35 żołnierzy (11 zabitych i 15 zaginionych, dziewięciu rannych). Po stronie polskiej poległo pięciu partyzantów, a siedmiu zostało rannych (dwóch z nich wkrótce zmarło).

Oprócz walk toczonych z oddziałami armii okupacyjnej grupy Pogotowia Akcji Specjalnej NZW występowały zbrojnie przeciwko społeczności ukraińskiej. Niestety, znaczącą część ofiar tych akcji stanowiła ludność cywilna, w tym kobiety i dzieci. Celował w tym zwłaszcza oddział dowodzony przez „Wołyniaka" noszący kryptonim Złota. Największej masakry grupa ta dokonała 18 kwietnia 1945 r. w Piskorowicach, gdzie wymordowano 120 Ukraińców. Tego rodzaju akcje wbrew założeniom nie przyczyniały się do zwiększenia bezpieczeństwa polskiej ludności cywilnej, a wręcz przeciwnie – nakręcały spiralę wzajemnych mordów i prowokowały UPA do działań odwetowych. Co ciekawe, poza incydentalnymi przypadkami, takimi jak obrona Wiązownicy, w której brał udział oddział „Radwana" (grupa ta przed atakiem UPA w pierwszych dniach kwietnia dopuściła się we wsi mordu 13 ukraińskich cywili), oddziały NZW nie toczyły intensywnych walk zbrojnych z sotniami Ukraińskiej Powstańczej Armii.

Ukraińcy nie byli jedyną mniejszością etniczną na Rzeszowszczyźnie, przeciw której występowało narodowe podziemie. Obok nich represje stosowano także wobec Żydów, i to nie tylko tych kolaborujących z okupacyjną władzą. Do tej kategorii działań należy zaliczyć dokonaną 1 marca 1945 r. w Kisielowie przez grupę „Radwana" egzekucję siedmiu osób narodowości żydowskiej (zabito tam troje dzieci).

Jednak głównym wrogiem narodowego podziemia były komunistyczne formacje bezpieczeństwa. Toczone z nimi zacięte walki wyczerpywały zasoby kadrowe partyzantów NZW, co spowodowało, że wielu narodowców nie doczekało ogłoszonej w lutym 1947 r. amnestii. Jednym z nich był sam „Wołyniak", który po odniesieniu w starciu z KBW poważnej rany 29 grudnia 1946 r. strzałem w usta z pistoletu typu Vis odebrał sobie życie. Po jego śmierci dowodzenie nad oddziałem przejął Adam Kusz „Garbaty". Funkcję tę pełnił aż do 1950 r., kiedy to w wyniku kombinacji operacyjnej UB, polegającej na wprowadzeniu do oddziału dwóch agentów, byłych żołnierzy podziemia, poległ w starciu z grupą operacyjną UB-KBW. Partyzantem, któremu udało się przetrwać zniszczenie grupy, był zmarły 14 czerwca ubiegłego roku w Gryficach Andrzej Kiszka „Dąb". Ukrywał się on w leśnym bunkrze do czasu, gdy 30 grudnia 1961 r. został ujęty przez SB. Za działalność niepodległościową PRL-owski sąd skazał go na karę dożywotniego więzienia, zamienioną następnie na 15 lat. Opuścił je dopiero w 1971 r. ©℗

Arkadiusz Karbowiak

MIROSŁAW SURDEJ
„OKRĘG RZESZOWSKI NARODOWEJ ORGANIZACJI WOJSKOWEJ – NARODOWEGO ZJEDNOCZENIA WOJSKOWEGO W LATACH 1944–1947"
IPN

Luftwaffe w Arktyce

Od pilota myśliwca wymaga się refleksu. I tym popisał się Walter Schuck z Luftwaffe, zestrzeliwując 206 samolotów nad Oceanem Arktycznym oraz nad Niemcami. Pod koniec wojny walczył na przełomowym w dziejach lotnictwa odrzutowym myśliwcu Me 262.

W przeciwieństwie do refleksu refleksja nie była jego mocną stroną. Tak bowiem wspominał jeden z lotów: „Kiedy zobaczyłem przed sobą błyski bomb eksplodujących na terenie Oranienburga, znów miałem przed oczyma obraz obróconego w ruiny i popiół miasta Hamburg. W tym momencie myślałem o cierpieniu, jakie moje działka przyniosą zaraz członkom załóg bombowców. Zemsta, nienawiść, odpłata? Nie, to nieodpowiednie słowa dla nieokiełznanej wściekłości, z jaką, z powodu niezawinionej śmierci setek tysięcy niemieckich kobiet i dzieci, kierowałem moją broń przeciwko pierwszemu lepszemu bombowcowi". Niestety, ta śmierć była zawiniona przez samych Niemców, którzy otworzyli Hitlerowi drogę do władzy. Notabene koło Oranienburga znajdował się obóz koncentracyjny Sachsenhausen.

Tamtego dnia, 10 kwietnia 1945 r., Schuck zestrzelił cztery amerykańskie latające fortece, lecz dopadł go Mustang i as Luftwaffe musiał ratować się skokiem ze spadochronem. Tak skończyła się jego wojenna kariera, którą rozpoczął jako 21-latek w 1941 r. Większość czasu spędził w Finlandii, w osłonie portów Petsamo oraz Kirkenes i przybywających tam niemieckich konwojów. Warte zauważyć, że większość zestrzelonych samolotów sowieckich to myśliwce Kittyhawk i Airacobra. ©℗ ***(t.s.)***

WALTER SCHUCK
„ZESTRZELONY! OD BF 109 DO ME 262. WSPOMNIENIA PILOTA JAGDGESCHWADER"
REPLIKA

eprasa.pl 2986221024

Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Racjonalność historii

W argumentacji naszych brązowników, upierających się, że polityka Becka i Śmigłego-Rydza była dobra, zionie dziura. Hitler, powiadają, powinien się był przestraszyć sojuszu Polski, Francji i Anglii. Taki sojusz groził Niemcom tym, co dla nich zawsze było najgorsze – wojną na dwa fronty. Tworzył siłę, na którą Niemcy nie mogli się porywać, Francja miała najsilniejszą armię lądową świata (mit, w istocie najsilniejszą miał ZSRS), Wielka Brytania była mocarstwem o zasobach praktycznie niewyczerpywalnych (też mit, wiadomo, że się wyczerpały), a jeśli chodzi o Polskę, to wiadomo było, że będzie walczyć do ostatniego człowieka. Każdy niemiecki rozsądny przywódca na miejscu Hitlera podkuliłby ogon i grzecznie odstosunkował się od Gdańska.

Hitler tego nie zrobił, powiadają brązownicy, bo Hitler był wariatem. No, ale kto mógł to przypuszczać? Zachód też zakładał, że jest racjonalny, więc nie może mieć pretensji do Becka, że zakładał to samo.

Wszystko pięknie, tylko że – temu faktowi nie da się zaprzeczyć – jakimikolwiek wariackimi rachubami kierował się Hitler, rzeczywistość przyznała mu rację. Wojska niemieckie, acz pozbawione zasobów niezbędnych do dłuższej kampanii, zdołały rozbić armię polską, zanim braki zaopatrzenia zdążyły dać o sobie znać, Francja nie ruszyła palcem ani w trakcie rozbijania wojska polskiego, ani przez następne ponad pół roku, a potem wystarczyło kilka pierwszych klęsk, żeby jej „największa armia lądowa świata", choć mało uszczuplona, tchórzliwie skapitulowała. Anglia zaś okazała się kolosem na glinianych nogach. Gdyby nie dostała bezwarunkowego wsparcia od USA (a nie musiało się tak stać, mógł przecież na miejscu Roosevelta zasiąść jakiś izolacjonista, realizujący oczekiwania zdecydowanej większości elektoratu, który włączania się do wojny w Europie nie chciał) i gdyby Stalin zachował się racjonalnie, wariackie rachuby Hitlera mogły się spełnić.

> / Kto w końcu był wariatem? Hitler czy Beck? Chamberlain? Daladier? A może Stalin? **Nie wiem i, szczerze mówiąc, wcale mnie to nie obchodzi**

Na czym miałoby polegać racjonalne zachowanie Stalina? Hitler spodziewał się, że zaakceptuje on podział świata, w którym Niemcy biorą Europę, gromiąc „dekadenckie" mocarstwa zachodnie, a Rosja zajmuje ich kolonialne imperia. W istocie, tak zapewne zachowałby się każdy car myślący w kategoriach imperialnych korzyści. Stalin nie myślał jednak w kategoriach imperium rosyjskiego, myślał o zawojowaniu świata przez ideę komunistyczną, a do tego potrzebował Europy, a nie bogactw Indii i Bliskiego Wschodu.

Pat Buchanan, amerykański enfant terrible, w swojej książce o Churchillu twierdzi z kolei, że to właśnie Churchill i jego poprzednik Chamberlain byli wariatami. Gdyby myśleli racjonalnie, powinni się byli ułożyć z Hitlerem, tak jak zrobił to Pétain, a raczej w ogóle nie udzielać Polsce żadnych gwarancji – wtedy Wielka Brytania pozostałaby imperium, a tak, nie wytrzymawszy kosztów wojny, upadła, oddając prymat w świecie Ameryce. Argumenty Buchanana brzmią logicznie, choć, oczywiście, mógł coś takiego napisać tylko Amerykanin niemający do ostatniej wojny tak emocjonalnego stosunku jak mieszkańcy Europy.

Kto w końcu był wariatem? Hitler czy Beck? Chamberlain? Daladier? A może Stalin? Nie wiem i, szczerze mówiąc, wcale mnie to nie obchodzi. Używanie post factum takich etykietek do niczego nie prowadzi. Każdy z nich działał logicznie w obrębie posiadanej wiedzy i przyjętych założeń – jeśli więc chcemy z tej historii wyciągnąć jakąś sensowną naukę, to musimy patrzeć na nią oczami. ©℗

eprasa.pl 2986221024

Piotr Semka

/ Felieton

Spotkanie z Białorusią

We Wzdymaczu koło Mińska urodziła się w 1901 r. moja babcia Bronisława. Zamiast tej miejscowości znalazłem tylko zarośnięte lasem miejsca po fundamentach paru domów. Niemcy spalili Wzdymacz w 1943 r. i wymordowali wszystkich jego mieszkańców. Gdyby babcia nie wyjechała wraz z rodzicami za polskim wojskiem latem 1920 r., pewnie nie przeżyłaby II wojny. Może zgładzono by ją w ramach wcześniejszej operacji polskiej NKWD w 1937 r.

Do kraju naszych wschodnich sąsiadów przybyłem zaproszony przez ambasadę RP, aby wziąć udział w debacie Instytutu Historii Narodowej Akademii Nauk Białorusi. Tytuł dyskusji brzmiał: „Pamięć historyczna i wyzwania nacjonalizmu w Europie Wschodniej". Głównym prelegentem po stronie białoruskiej był dr hab. prof. Igor Marzaluk, jednocześnie deputowany do Rady Najwyższej, czyli tamtejszego parlamentu. Byłem jedynym gościem zaproszonym z Polski. Nietrudno pojąć, że białoruskie i polskie wyobrażenie o ostatniej wojnie różnią się diametralnie. Igor Marzaluk widział sprawę sporu o politykę historyczną bardzo prosto. Zachodnia Białoruś po „nielegalnym" traktacie ryskim w 1921 r. była okupowana przez Polskę. Traktat zaś był nielegalny, bo Białoruska Republika Sowiecka przy rozmowach w Rydze (w odróżnieniu od delegacji Ukraińskiej SRS) nie była obecna. Skoro traktat ryski był nielegalny, to tym samym działalność Armii Krajowej na terenach, które my uznajemy za wschodnie województwa RP, też była nielegalna. A na dodatek była naznaczona licznymi atakami na niewinną ludność białoruską.

Nie znaczy to, że w opinii Igora Marzaluka elementy wspólne dla polityki historycznej Polski i Białorusi nie występują. Owszem, są – np. sowiecko-białorusko-polski Oddział im. Tadeusza Kościuszki działający (o ile dobrze zrozumiałem) na granicy Polesia i Wołynia. Mój współdyskutant pochwalił też udział dywizji kościuszkowskiej gen. Berlinga w wyzwalaniu Białorusi w 1944 r. I wreszcie – tu ukłon był najbardziej wyraźny – razem powinniśmy przypominać o zbrodniach UPA, gdyż oddziały Romana Szuchewycza mordowały białoruskich działaczy i nauczycieli na Polesiu w latach 1942–1944.

Całe wystąpienie wieńczyła uwaga, że Białoruś nigdy nie zaakceptuje czczenia w Polsce tzw. żołnierzy wyklętych, bo tacy dowódcy jak „Łupaszka" czy „Bury" splamieni są krwią białoruskich cywili. Gdy przypomniałem, że po 17 września 1939 r. mordowano na białoruskich kresach także niewinnych cywili polskich – np. osadników wojskowych – mój kontrreferent wybuchł, że najpierw warto się zastanowić, skąd wzięła się wrogość wobec osadników. I że jego ojciec opowiadał mu, jak wcześniej polskie władze traktowały Białorusinów.

Mimo dość gorącej atmosfery starałem się, aby moja odpowiedź była spokojna, ale wyrazista. Dla Polski były to prawowite ziemie RP, a traktat ryski podpisały władze ZSRS, nadrzędne wobec sowieckiej Białorusi. W kwestii żołnierzy wyklętych wskazałem, że czcimy ich w Polsce nie za wypadki represji wobec białoruskich wiosek, ale za walkę z narzuconą komunistyczną władzą. Pamiętajmy też o mordzie Polaków w Nalibokach, którego dopuścił się oddział braci Bielskich. I wreszcie zaproponowałem, by dialogu nie zaczynać od negacji traktatu ryskiego, bo tu na pewno się nie porozumiemy. Rozmawiać jednak warto.

Skłamałbym, gdybym wyznał, że z konferencji, zresztą bardzo mile żegnany przez przedstawicieli akademii nauk, wychodziłem w optymistycznym nastroju. Nieco lepiej poczułem się po rozmowie z mińskimi Polakami, którzy przysłuchiwali się debacie. W ich optyce samo to, że doszło do debaty przedstawiciela szeroko rozumianego obozu Aleksandra Łukaszenki z gościem z Polski, jest pewnym przełomem. Co więcej, komplementy za polsko-sowieckie oddziały i walki kościuszkowców brzmią w polskich uszach nie najlepiej, ale były gestem dobrej woli. I wreszcie było widać próbę szukania wspólnych pól, takich jak sprzeciw wobec kultu UPA na Ukrainie. A sam fakt, że nie zaprzeczano przypadkom zabójstw Polaków na Białorusi po 17 września, to już wiele.

Takie są te białoruskie realia dyskusji o wspólnej wojennej historii. Dla kogoś, kto patrzy z perspektywy Polski, dyskurs za Bugiem wciąż tkwi w okowach sowieckiej wizji dziejów. Ktoś, kto pamięta epokę totalnej sowietyzacji dziejów w pierwszej fazie rządów Łukaszenki, widzi oznaki pewnych zmian. Jako urodzony optymista i człowiek cierpliwy wolę myśleć o debacie w Mińsku w ten drugi sposób. ©℗

eprasa.pl 2986221024

Tomasz Stańczyk

Wygnani

1944–1946

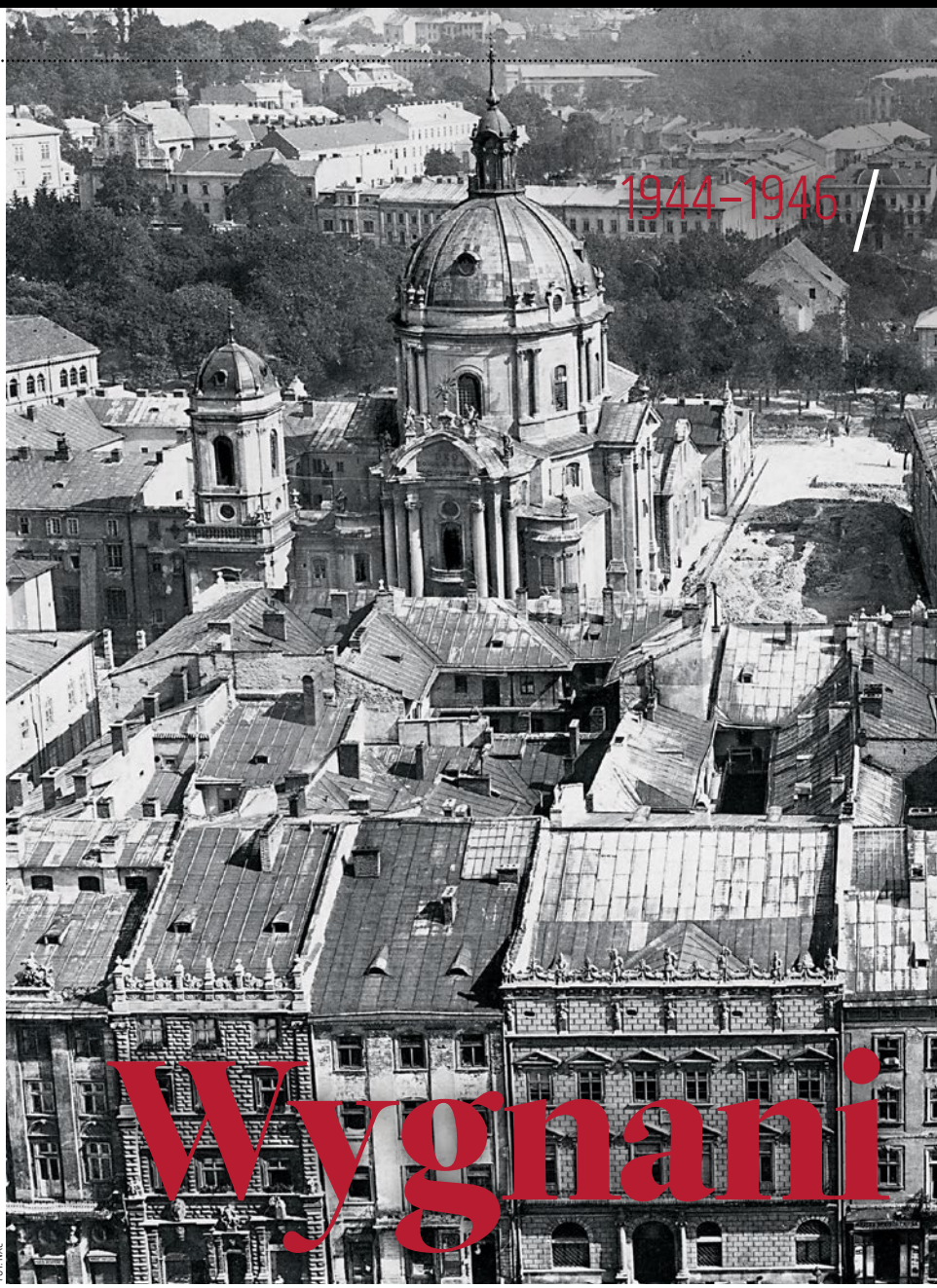

FOT. NAC

Polacy zostali zmuszeni do porzucenia miasta wiernego Rzeczypospolitej. Miało być bowiem nie tylko sowieckie, lecz także ukraińskie

W styczniu 1944 r. Armia Czerwona przekroczyła granicę ryską, do 17 września 1939 r. granicę między Rzecząpospolitą a Związkiem Sowieckim. Zanim zbliżyła się do Lwowa, sowieckie bombowce atakowały niejednokrotnie miasto, także podczas świąt Wielkiejnocy. Te naloty oraz zbliżanie się frontu wywoływało u części lwowskich Polaków chęć ucieczki. Pamiętali bowiem dobrze sowiecką okupację w latach 1939–1941, terror NKWD, deportacje na Sybir i masowe mordy we lwowskich więzieniach na wieść o rozpoczynającej się wojnie z III Rzeszą. Wpływ na postawy Polaków we Lwowie miały też morderstwa dokonywane przez ukraińskich policjantów.

Lwowska Delegatura Rządu na Kraj apelowała do Polaków, by nie opuszczali miasta. Nie można było dopuścić, by paniczna ewakuacja osłabiła jego polski charakter. W konspiracyjnym piśmie „Kobieta w Walce", w wydaniu majowym, zauważano, że powodem ucieczki ze Lwowa jest strach, iż miasto nie będzie po wojnie należeć do Polski, ale twierdzono, że jest to brak wiary w Polskę i jej zachodnich aliantów.

Kazimierz Żygulski, członek lwowskiej Delegatury Rządu, wspominał: „Nie miałem złudzeń, że nasza propaganda przekona wszystkich. Wystarczyło przejść przez miasto i zobaczyć setki wyjeżdżających rodzin. […] Odżywały wspomnienia z lat 1939–1941, zmieniał się nawet stosunek do Niemców, którzy teraz już nie tylko nawoływali do wyjazdu na zachód, lecz nawet, mimo potrzeb wojskowych, ułatwiali go, dawali transport, werbowali do pracy w niemieckim przemyśle w głębi Rzeszy" (Kazimierz Żygulski „Jestem z lwowskiego etapu…").

Ostatnie polskie flagi

Wojska sowieckie podeszły pod Lwów w końcu sierpnia 1944 r. W tym samym czasie lwowski okręg AK rozpoczął akcję „Burza". Miała być wyrazem tego, że walczący z Niemcami Polacy są gospodarzami ziemi lwowskiej. Nie było jednak najmniejszych szans, by AK samodzielnie odbiła Lwów z niemieckich rąk. Żołnierze konspiracji mogli być tylko wspomagającą Armię Czerwoną siłą na obrzeżach miasta i w samym Lwowie. Jeszcze podczas walk zawiesili flagi: polską, brytyjską, amerykańską i sowiecką na wieży ratusza. Na gmachu politechniki pojawiły się flagi polska i sowiecka.

Jednym z poległych był 20-letni Mieczysław Petrycki, żołnierz AK. Niestety, nie zginął w walce, by Lwów polski, lecz sowiecki. Dowództwo Armii Czerwonej, która zdobyła Lwów, rozkazało żołnierzom AK złożyć broń. Polskie flagi zostały zerwane z budynków miasta.

Zaczęła się druga okupacja sowiecka. Polscy mieszkańcy Lwowa nie wiedzieli, że podczas konferencji w Teheranie przyszła granica między Polską a Związ-

eprasa.pl 2986221024

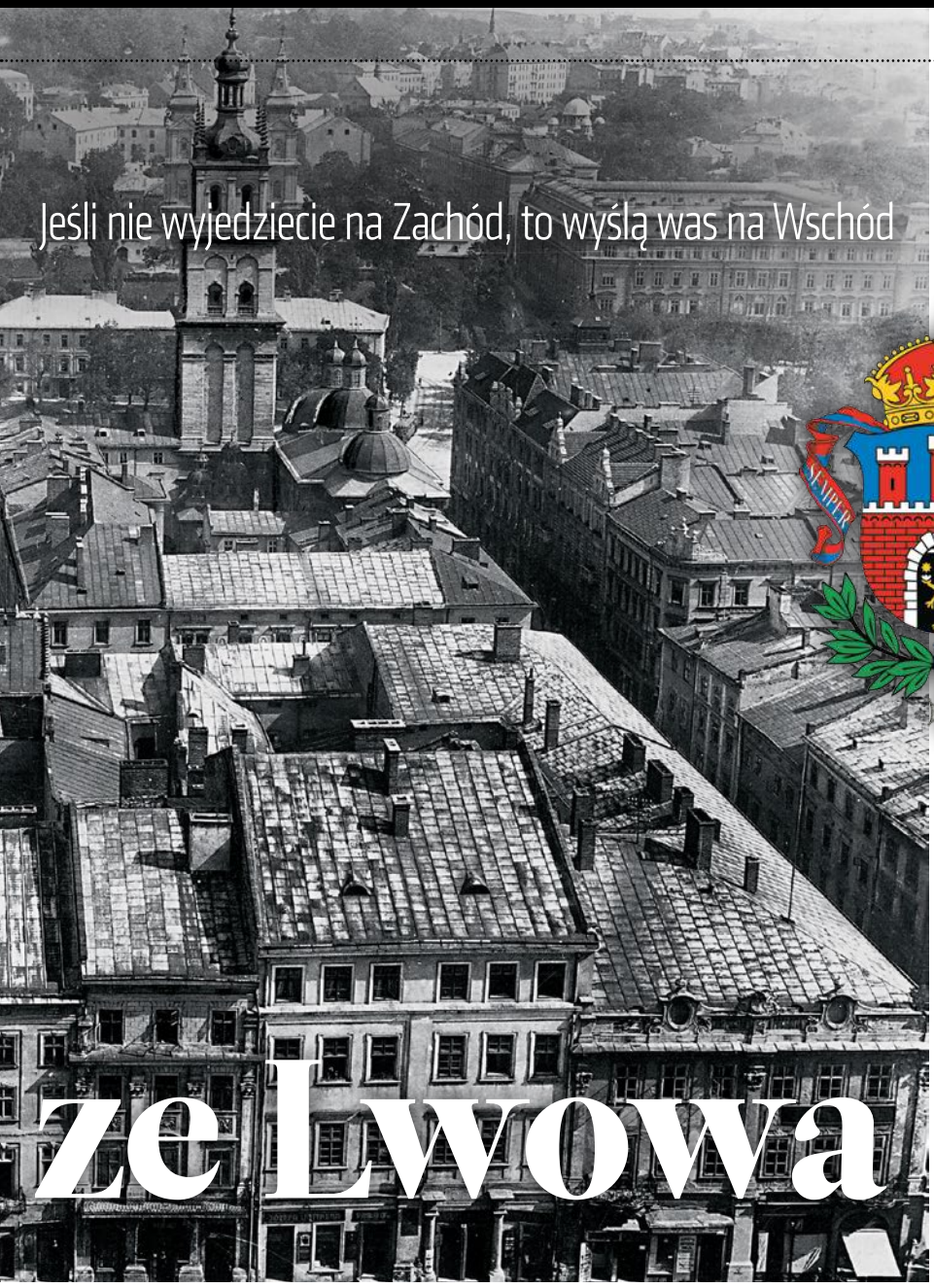

Jeśli nie wyjedziecie na Zachód, to wyślą was na Wschód

ze Lwowa

kiem Sowieckim miała zostać wytyczona na podstawie tzw. linii Curzona, w jej wariancie pozostawiającym Lwów poza granicami Rzeczypospolitej. A samozwańczy komunistyczny Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego podpisał umowę o granicy, naśladującą ustalenia z Teheranu, i o przesiedleniach ludności polskiej i ukraińskiej.

14 sierpnia lwowski działacz komunistyczny Iwan Hruszecki oraz pisarz Mykoła Bażan napisali list do Nikity Chruszczowa, szefa ukraińskiej partii komunistycznej:

„Obecnie większość mieszkańców Lwowa to Polacy. W celu przywrócenia miastu jego ukraińskiego charakteru należy podjąć następujące działania. 1. Przeprowadzić dobrowolne masowe przesiedlenia ludności ukraińskiej z terytorium Polski do obwodu lwowskiego, w tym ukraińskiej ludności miejskiej do Lwowa. 2. Osobom narodowości polskiej zaproponować dobrowolne przesiedlenie z terytorium Ukrainy Radzieckiej na terytorium Polski" (Piotr Mitzner, „Oczyścić Lwów", „Karta" nr 17/1995).

Lwów miał być więc nie tylko sowiecki, lecz także ukraiński. A w sowieckiej nowomowie „dobrowolność" oznaczała przymus. Jesienią 1944 r. we Lwowie mieszkało według danych sowieckich 103 tys. Polaków (67 proc. ludności miasta) i 41 tys. Ukraińców (26 proc.).

W Dzień Zaduszny na Cmentarzu Obrońców Lwowa odbyła się wielka polska manifestacja. Barbara Mękarska tak ją wspominała:

„Każdy mały grób był oczyszczony i ozdobiony kwiatkiem lub gałązką choiny. Przy Grobie Nieznanego Żołnierza pokrytym bukietami kwiatów pełnili straż chłopcy. […] Stos kwiatów rósł z minuty na minutę, w miarę jak nowi ludzie na cmentarz przychodzili. W tym miejscu ustawiliśmy nasze wszystkie świece, których płomień wyglądał jak ogromny znicz. Z tłumu coraz ktoś podchodził do stosu, wyjmował świecę, odpalał i ustawiał obok innych. […] Nagle ktoś zaczął odmawiać głośno »Pod Twoją obronę«. Cały tłum podchwycił. Chwila była osobliwa. Chociaż ściskani sowieckimi obcęgami, w mieście zagarniętym przez wroga, czuliśmy się sami, między swoimi, może już po raz ostatni na tym świętym miejscu" (Barbara Mękarska, „Burza nad Lwowem").

Na cmentarzu pojawiło się kilka tysięcy Polaków. Padały okrzyki: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród!" i „Marsz, marsz Dąbrowski, Lwów będzie polski!".

Ostatnią wielką manifestacją polskości Lwowa był pogrzeb arcybiskupa lwowskiego Bolesława Twardowskiego, zmarłego 22 listopada 1944 r. Żałobny kondukt, prowadzony przez jego następcę, abp. Eugeniusza Baziaka, i 300 księży, podążał z katedry do kościoła Matki Boskiej Ostrobramskiej na Łyczakowie, gdzie arcybiskup miał być pochowany. W jego pożegnaniu uczestniczyło podobno aż 100 tys. Polaków ze Lwowa i z okolicznych polskich wsi.

Zastraszyć Polaków

Znakomita większość Polaków nie zamierzała opuszczać Lwowa. Wierzyli, byli przekonani, mieli nadzieję, że po zakończeniu wojny miasto, w którym stanowili bezwzględną większość, znajdzie się w granicach Polski. Zostali jednak poddani brutalnemu naciskowi, by je opuścić.

eprasa.pl 2986221024

Była to polityka ukraińskich komunistów, która opierała się na wywołaniu u Polaków strachu i niepewności.

Pierwszym ciosem były masowe aresztowania polskiej elity na początku stycznia 1945 r., m.in. pracowników wyższych uczelni, inżynierów, księży. Pozbawiono wolności ok. 800 Polaków.

Barbara Mękarska widziała ciężarówki z ludźmi jadącymi w stronę więzienia przy ul. Łąckiego, patrol żołnierzy sowieckich otaczających kilku mężczyzn. I tę scenę:

„Oto z ulicy św. Mikołaja wychodzi czterech żołnierzy rosyjskich. Prowadzą młodego mężczyznę. Wysoki, jasnowłosy, w samym tylko ubraniu i z malutkim tobołkiem pod pachą. Przed kościołem św. Mikołaja więzień zwalnia kroku. Żegna się znakiem krzyża. I w tej chwili w drzwiach kościoła ukazuje się nasz proboszcz w ornacie z Najświętszym Sakramentem w ręku. Jak stał przy ołtarzu, tak wyszedł przed próg kościoła. Razem z nim mały chłopak, który do mszy służył, podtrzymuje ornat. Ksiądz podnosi monstrancję i żegna nią młodego więźnia, który klęknąwszy na śniegu, schyla głowę".

Sowieckie władze z satysfakcją odnotowywały, że po tej akcji wzrosła liczba zapisujących się na wyjazd do Polski (pierwszy transport odszedł ze Lwowa w grudniu 1944 r.). Kolejną metodą wywierania presji były nakazy kierujące Polaków do pracy na wschodzie sowieckiej Ukrainy lub na tereny Rosji. Profesor Ryszard Gansiniec pisał na przełomie lat 1944 i 1945:

„Jak dotąd stoi Lwów nasz niewzruszony. Do przesiedleń zgłosił się, kto musiał – to znaczy ten, co »powiestkę« dostał do pracy w Donbasie lub do Odessy. A nawet oni, gdy terror ten ustał, swoje zgłoszenia teraz wycofują. Pieni się Moskal i grozi policją. Ale, co gorsza, idzie z nimi komisja »polska« z Lublina i gani Polaków, że tak uparci i tak postępują" (Ryszard Gansiniec, „Notatki lwowskie 1944–1946").

W polskojęzycznym „Czerwonym Sztandarze" ukazał się artykuł pt. „Polska czeka na was". We Lwowie odpowiadano: „A my czekamy na Polskę".

Do wyjazdu do Polski nawoływał lwowski oddział komunistycznego Związku Patriotów Polskich. Jego działacz, dr Zdzisław Bieliński, występujący gorliwie przeciw polskiemu „nacjonalizmowi", zginął w lutym 1945 r. rozerwany przez bombę w paczce dostarczonej mu jako prezent przez żołnierza w mundurze armii Berlinga. Donat Langauer, pracownik naukowy Politechniki Lwowskiej, uważany za denuncjatora kolegów z uczelni, został zastrzelony w marcu 1945 r. Spektakularną akcją polskiego podziemia było spalenie wielkiej mapy na Wałach Hetmańskich, na której zaznaczono granice Polski i Związku Sowieckiego według umowy Ribbentrop-Mołotow z 1939 r. Jednak polska konspiracja ponosiła ogromne straty i była systematycznie rozbijana przez NKWD.

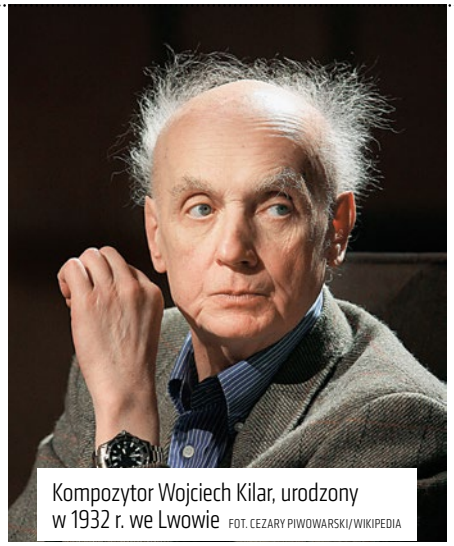

Kompozytor Wojciech Kilar, urodzony w 1932 r. we Lwowie FOT. CEZARY PIWOWARSKI/WIKIPEDIA

Trener piłkarski Kazimierz Górski, urodzony w 1921 r. we Lwowie FOT. EAST NEWS

Mimo postanowień konferencji jałtańskiej z lutego 1945 r., która nie pozostawiała złudzeń co do przynależności Lwowa, wiara w to, że miasto będzie w Polsce, wciąż trwała. Ryszard Gansiniec pisał 17 listopada: „Uważam, że może w ogóle nie trzeba stąd jechać, gdyż sprawa Lwowa właściwie wciąż otwarta".

Lwowscy Polacy byli poddawani presji ze strony Sowietów i Ukraińców, miejscowych i tych napływających ze wsi. Padało często pytanie: „Kiedy wyjeżdżacie?". A za tym pytaniem kryła się chęć zajęcia mieszkań z meblami, których nie wolno było wywozić. Gansiniec notował:

„Na polskie mieszkania – także moje – wystawia się ordery i mimo że to jawne bezprawie, prokuratorzy reklamacji w tych sprawach nie przyjmują. Całe rodziny się wyrzuca, jeśli do 48 godzin nie wyjadą".

Administracja sowiecka Lwowa stawiała sprawę jasno: czy chcecie jechać na Wschód – na Sybir albo do Kazachstanu – czy na Zachód?

Barbara Mękarska wspominała dialog jej przyjaciółki z koleżanką ze studiów, Rosjanką, która powiedziała jej, że pojedzie do Polski. „Ty durna – płacze już gorącymi łzami Hanka – do jakiej Polski mam jechać, kiedy Polska jest tutaj, tylko wyście ją zabrali...".

Wiosną 1945 r. do Lwowa przyjechał Nikita Chruszczow. Był wściekły, gdy dowiedział się, że w mieście jest wciąż bardzo dużo Polaków. Aby zmusić ich do opuszczenia rodzinnego miasta, zagrożono im zakazem przebywania we Lwowie, odebraniem paszportu, przymusową pracą z dala od miasta. Żeby zmusić Polaków do wyjazdu, zwalniano ich także z pracy. W połowie 1945 r. było w mieście jeszcze ok. 85 tys. Polaków.

Ryszard Gansiniec notował w swoim dzienniku: „Milicja zatrzymuje dowody osobiste, nawet bez pretekstu, i mówi, że można je odebrać w punkcie repatriacyjnym, a tam wydają go po zarejestrowaniu się na wyjazd i zobowiązaniu, że opuści się Lwów najbliższym transportem. Nikomu nie przedłużają ważności tych dokumentów tożsamości".

Cios w Kościół

Kolejnym ciosem, który osłabiał i kruszył wolę pozostania przez Polaków we Lwowie, było drastyczne uderzenie w Kościół katolicki. Arcybiskupa lwowskiego, Eugeniusza Baziaka, nękano nocnymi wezwaniami do siedziby NKWD. 21 kwietnia 1946 r. odprawił on ostatnie nabożeństwo w katedrze. Został faktycznie zmuszony do wyjazdu. Gdyby odmówił, z pewnością podzieliłby los biskupów zlikwidowanego przez Sowietów kościoła greckokatolic-

eprasa.pl 2986221024

kiego, którzy zostali aresztowani. Arcybiskup zabrał ze sobą relikwiarz błogosławionego bp. Jakuba Strepy. Do Polski w nowych granicach przewieziono także obraz Matki Boskiej z katedry lwowskiej, przed którym śluby składał król Jan Kazimierz. Do wyjazdu w nowe granice Polski zmuszono też lwowskich zakonników.

Po wyjeździe arcybiskupa zamknięto, z wyjątkiem katedry, kościoły rzymskokatolickie. 12 maja 1946 r. Ryszard Gansiniec zanotował: „Po drodze widziałem rzecz godną pamięci: Polaków klęczących na progu zamkniętych przez bolszewików kościołów i modlących się. Zamknięte drzwi ozdobione bogato kwieciem, niczym ołtarz".

18 maja Alma Heczko zapisała w swoim dzienniku: „Przeżyłam tu 24 lata. Urodziłam się w pokoju, w którym teraz śpi moja córka. Teraz muszę stąd wyjechać. Wypędzają nas z naszej rodzinnej ziemi" („Karta" nr 13/1994).

Barbara Mękarska tak zapamiętała moment wysiedlenia ze Lwowa:

„W południe robi się ruch obok pociągu. Gwizdy, nawoływania. Odjeżdżamy. Pociąg rusza powoli. W drzwiach wagonu, w okienkach widzą ludzkie twarze. Oczy skierowane w stronę miasta. Jeszcze widać Kopiec... Jeszcze wieże kościoła św. Elżbiety... Z każdego wagonu płynie pieśń łącząca się w jedną całość:

W dzień deszczowy i ponury,
z Cytadeli idą z góry
szeregami lwowskie dzieci
idą tułać się po świecie...".

Pod sowiecką presją znakomita większość Polaków opuściła miasto. Wśród urodzonych we Lwowie, którzy musieli je opuścić, byli m.in. pisarz Stanisław Lem, poeta Zbigniew Herbert, kompozytor Wojciech Kilar, trener Kazimierz Górski.

Po wysiedleniach pozostało jednak we Lwowie co najmniej kilkanaście tysięcy Polaków. Wielu żywiło nadzieję, że jednak będzie tu jeszcze Polska, inni nie chcieli porzucać swoich domów i grobów bliskich na cmentarzach Łyczakowskim i Janowskim. Byli też tacy, którzy chcieli przechować polskość we Lwowie i być strażnikami jej skarbów. Jednym z nich był Mieczysław Gębarowicz, wybitny historyk sztuki, faktyczny dyrektor Ossolineum podczas okupacji niemieckiej, który, zdegradowany do roli pośledniego pracownika naukowego za sowieckiej władzy, trwał na posterunku do śmierci w 1984 r.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Przelewy prezesa Mackiewicza

Tomasz Stańczyk

Rzecz jest przykra i bulwersująca. Fundacja „Pomoc Polakom na Wschodzie" wykryła nieprawidłowości w rozliczeniu dotacji, którą otrzymał od niej Związek Polaków na Litwie. Tak rażące, że fundacja złożyła zawiadomienie do prokuratury.

Michał Mackiewicz, prezes ZPL, z oburzeniem odpierał zarzuty. Mówił, że czuje się zniesławiony i poniżony, a rozliczenia dotacji są w porządku. Dołożył do tego politykę: ktoś próbuje dzielić Polaków na Litwie, rozwalić ZPL, a zarzuty są działalnością antypolską, elementem walki politycznej tych, którzy mają przyjaciół w Polsce.

On też ma jednak tam przyjaciół. Pięciu europosłów z list PiS stanęło w jego obronie i wystosowało list do premiera, w którym domagają się kompleksowej kontroli w... fundacji. „Wdzięczni bylibyśmy Panu Premierowi, żeby zwrócił uwagę kierownictwu Fundacji, że nazywa się ona »Pomoc Polakom na Wschodzie«, a nie Fundacja »Ścigania Polaków na Wschodzie«". Nie zabrakło żądania wyciągnięcia personalnych konsekwencji. Jeden z sygnatariuszy, prof. Mirosław Piotrowski, wyraził zdumienie, że można wszczynać awanturę o 9 tys. euro (czyżby w domyśle: głupie 9 tys. euro?), tym samym przyznając, że z rozliczeniem dotacji przez ZPL było coś nie tak.

Pod koniec maja Michał Mackiewicz został wybrany ponownie na prezesa ZPL. W jawnym głosowaniu opowiedziało się za nim 342 delegatów, ośmiu wstrzymało się od głosu, nikt nie był przeciw. Delegaci wiedzieli o zarzutach, jakie stawiała fundacja, ale uwierzyli w zapewnienia Mackiewicza o tym, że z rozliczeniami jest wszystko w porządku. Nie znali jednak wówczas szczegółów, które przedstawił na początku czerwca Mikołaj Falkowski, prezes fundacji, podczas konferencji prasowej.

Falkowski powiedział, że chodzi o rozliczenia dotacji na druk tygodnika „Nasza Gazeta". Nadsyłane w latach 2014–2016 przez zarząd ZPL, z podpisem Mackiewicza, potwierdzenia przelewów opiewały na wyraźnie wyższe kwoty niż faktury wystawiane przez drukarnię (dotyczy to ponad 150 dokumentów). Poza tym wiarygodność części przelewów z konta ZPL jest mocno wątpliwa.

Co więcej, fundacja była zapewniana, że nakład tygodnika rósł od 2014 r. z 2 tys. egzemplarzy do 4 tys., podczas gdy wynosił on cały czas 1 tys. egzemplarzy. W 2016 r. druk kosztował według sprawozdań ZPL 90 tys. zł, lecz faktycznie trzy razy mniej. Nie są to więc drobne uchybienia ani pomyłki, jak twierdzi prezes Mackiewicz, który w końcu przyznał przynajmniej, że rozliczenia nie były idealne. Zarząd ZPL zwrócił już fundacji 62 tys. zł z dotacji za 2016 r., ale musi jeszcze zwrócić drugie tyle za poprzednie lata. Ciekawe, jak się teraz czują polscy obrońcy prezesa Mackiewicza. ©℗

eprasa.pl 2986221024

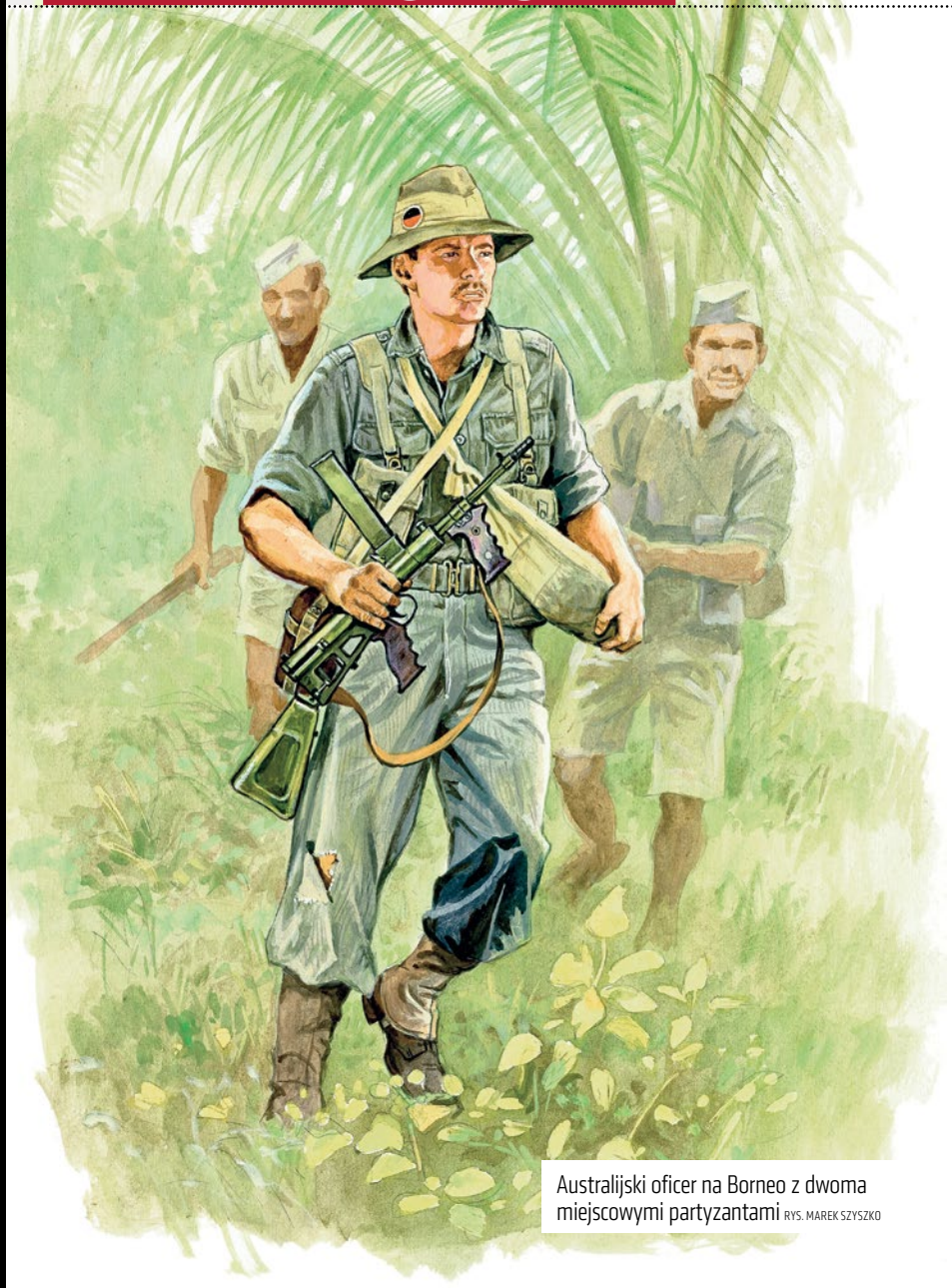

Australijski oficer na Borneo z dwoma miejscowymi partyzantami RYS. MAREK SZYSZKO

1937–1945 / Bumerangowy efekt zbrodni japońskich

Honor samuraja

Maciej Rosalak

Jeńcy cierpieli i umierali w japońskiej niewoli z powodu chorób tropikalnych, bicia i egzekucji, ukąszeń owadów i gadów, głodu oraz pracy ponad siły

Pierwszym wielkim konfliktem zbrojnym Japończyków z „białymi" była wojna rosyjsko-japońska w latach 1904–1905. Zakończyła się ona niespodziewanym triumfem Kraju Kwitnącej Wiśni i wprowadziła go do grona mocarstw światowych. Opinia międzynarodowa spojrzała nań z respektem, a nawet szacunkiem, zwłaszcza że żołnierze i marynarze cesarza Mutsuhito – słynnego cesarza Meiji, czyli „władcy oświeconego" – postępowali w sposób prawdziwie cywilizowany. Tak było m.in. po decydującym zwycięstwie w bitwie morskiej pod Cuszimą, kiedy wobec wziętych do niewoli oficerów rosyjskich odnosili się z wyszukaną kurtuazją. Zezwalali im np., aby mieszkali w prywatnych pensjonatach, jeśli tylko dadzą słowo honoru, że nie uciekną.

Kodeks busido

Wnuk Meiji – Hirohito, który wstąpił na tron w 1926 r. – przybrał imię Shōwa, co znaczy „spokój oświecony". Jak na ironię, za jego panowania w Japonii wzięła górę wojownicza frakcja, która zaczęła gnębić ludność przyłączonej do cesarstwa w 1910 r., podbitej wcześniej Korei oraz rozpoczęła rozboje i podboje, dążąc do stworzenia Wielkiego Wschodnioazjatyckiego Obszaru Dobrobytu. Piękna nazwa oznaczała po prostu imperium japońskie, jakie powstawało głównie kosztem Chin. W 1931 r. Japonia po bezczelnej prowokacji zaanektowała Mandżurię (ustanawiając tam marionetkowe cesarstwo Mandżukuo), a w 1937 r.

eprasa.pl 2986221024

rozpoczęła zaborczą wojnę z Republiką Chińską z jej przywódcą – Czang Kajszekiem. To wtedy dominował kult samurajskiej tradycji – ale w najbardziej prymitywnym wydaniu! – i żołnierz japoński objawił się licznym Azjatom jako morderca i sadysta.

Niebywałe okrucieństwo, do jakiego Japończycy posuwali się w okresie II wojny światowej wobec jeńców oraz ludności podbitych krajów, było zaskoczeniem dla świata. Zwłaszcza że efekt takiego postępowania wcale nie służył zwycięstwu. Znajomość historii kazałaby tłumaczyć okrucieństwo Japończyków w latach 30. i 40. XX w. istotą zbrojnych konfliktów, które zawsze wyzwalały w ludziach najgorsze instynkty. Logika podpowiadałaby z kolei, że okrucieństwo samo w sobie bywa orężem, kiedy wywołuje strach przeciwnika i pozbawia go chęci walki. W tym jednak przypadku ani dziejopisarstwo, ani logika owego zjawiska do końca nie wyjaśnią.

Ludobójcze metody mordowania jeńców wojennych głodem i pracą ponad siły, fatalnymi warunkami egzystencji, biciem – a u Japończyków również egzekucjami ze ścinaniem samurajskimi mieczami włącznie – nie były dotąd stosowane wobec alianckich żołnierzy. Na froncie afrykańskim i zachodnioeuropejskim w warunkach beznadziejnych wojacy się na ogół poddawali. W Azji, po doświadczeniach Singapuru i Filipin na przełomie lat 1941 i 1942, starali się walczyć do końca, bo śmierć w rękach japońskich była znacznie bardziej straszliwa. Postępowanie Japończyków nie było więc logiczne, jeśli założyć, że miało służyć zwycięstwu.

Wedle honorowego kodeksu busido samuraj nie mógł litować się nad sobą, więc tym bardziej nie powinien tego robić wobec innych. Żołnierz, który oddał się w niewolę wrogowi, zdawał się na jego łaskę i niełaskę, okazywał słabość, toteż budził pogardę. Dlatego należało zdeptać go, pozbawić wszelkiej ludzkiej godności, zadawać mu na wszelkie sposoby ból, wreszcie pozbawić niegodnego życia. Japończycy po prostu musieli okazywać swoją wyższość. Również wobec bezbronnej ludności podbitych krajów – pomiatali nią w sposób tak wyjątkowo odrażający, jak prostytuowanie przemocą koreańskich, chińskich, birmańskich i malajskich dziewcząt, które zamykano w ianfu (domach pocieszenia, rozkoszy) dla okupacyjnych żołnierzy. Szacuje się, że taki los spotkał ok. 200 tys. młodych Azjatek.

W zachowaniu Japończyków widzimy podobieństwo do niemieckich sojuszników. Ci też byli „rasą panów", okazując – zwłaszcza na wschodzie – niebywałą pogardę i nieznośną butę. Szczególnie wobec takich podludzi (untermenschów) jak Żydzi i Słowianie. Dla Japończyków untermenschami byli w zasadzie wszyscy – biali, czarni i jak najbardziej żółci – którzy nie potrafili ich pokonać albo zginąć z honorem, a więc nie mieli prawa do godności osobistej. Wprowadzenie tej zasady do postępowania żołnierzy całej armii i floty cesarskiej przyniosło bezmiar zbrodni oraz plamę na honorze Japończyków w oczach świata.

Rzeź Nankinu

Pielęgnowanie tradycji samurajskiej z pewnością sprzyjało umocnieniu woli walki japońskich żołnierzy, poddawaniu się surowej dyscyplinie i męczącemu szkoleniu. W efekcie armia japońska – przy tym znacznie lepiej dowodzona i uzbrojona – odnosiła zwycięstwa nad wojskiem Republiki Chińskiej rządzonej przez partię Kuomintang. Siła ognia dywizji japońskiej trzykrotnie przewyższała siłę ognia dywizji chińskiej, choć po kryzysie mandżurskim rząd Kuomintangu starał się przy pomocy Niemców i Amerykanów unowocześnić swe siły zbrojne. Zaledwie trzy dni trwało zajęcie Pekinu przez Japończyków. Podczas rozpoczętej 27 lipca 1937 r. ofensywy 40-tysięczne oddziały Armii Kwantuńskiej gen. Kiyoshi Katsukiego pokonały chińską 29. Armię i ruszyły na południe, docierając jesienią do Żółtej Rzeki (Huang He). Większość prowincji Szansi oraz pogranicze prowincji Szantung znalazły się w ich rękach na północy Chin.

Znacznie większe rozmiary przybrały walki na południu, gdzie Japończycy dążyli do opanowania dolnego biegu Niebieskiej Rzeki (Jangcy) i dwóch największych miast – Szanghaju u jej ujścia oraz Nankinu położonego 240 km w górę jej biegu, gdzie przebywał rząd chiński. Zgromadził on w rejonie Szanghaju ponad 70 dywizji liczących blisko pół miliona żołnierzy. Skutecznej blokady morskiej miasta i portu dokonały okręty 3. Floty wiceadm. Kiyoshi Hasegawy, z lotniskowcami w składzie. Dzięki panowaniu na morzu, a także w powietrzu Japończycy przeprowadzili udany desant ok. 200 tys. żołnierzy pod dowództwem gen. Iwane Matsui. Od 11 sierpnia do 7 listopada 1937 r. toczyły się zacięte walki o dzielnice i pozycje wokół miasta zajęte przez wojska chińskie. Japończycy bezlitośnie bombardowali je z powietrza, ziemi i wody, korzystając z ciężkich dział swych krążowników. Straty wśród chińskich obrońców przekraczały 60 proc. W końcu Chińczycy wycofali się, pozostawiając 200 tys. zabitych. Straty napastników okazały się czterokrotnie mniejsze.

Już 22 listopada wojska japońskie dotarły pod Nankin, który padł po trzech tygodniach bojów. Chińczycy

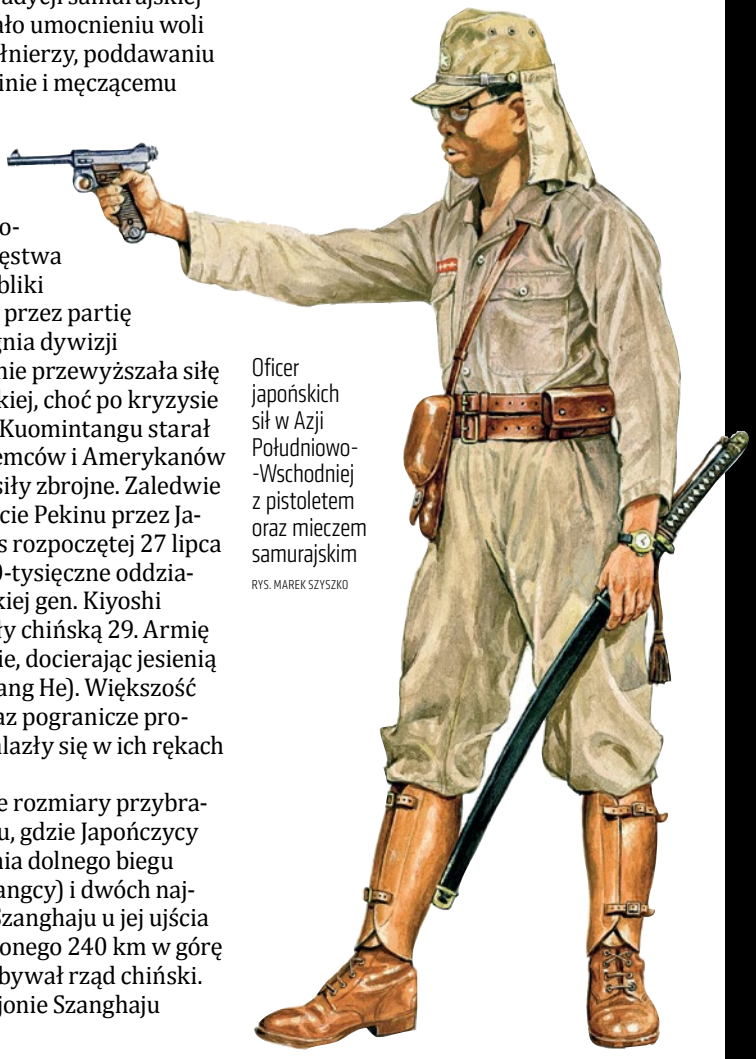

Oficer japońskich sił w Azji Południowo-Wschodniej z pistoletem oraz mieczem samurajskim

RYS. MAREK SZYSZKO

eprasa.pl 2986221024

Kadr z filmu „Most na rzece Kwai". W wodzie brodzą dowódcy żołnierzy japońskich i jeńców brytyjskich FOT. MATERIAŁY PRASOWE

zdołali wycofać swoje dywizje na północny brzeg Jangcy, co miało wpływ na przebieg dalszych zmagań wojennych, ale 13 grudnia 1937 r. pozostawili miasto na łaskę – a właściwie na niełaskę! – zdobywców. Masakra bezbronnych ludzi, jakiej dokonali, nosiła znamiona ludobójstwa, okrutnej rzezi, przeprowadzonej na terenie jednego miasta w sposób nieznany dotąd w dziejach najnowszych. Wedle jednego z dość licznych zachodnich obserwatorów, Amerykanina Franka Dorna, „ponad 20 000 cywilów w wieku poborowym zostało wyrżniętych. Co najmniej 20 000 młodych kobiet i dziewcząt zostało zgwałconych, zamordowanych i makabrycznie okaleczonych. Ponad 200 000, a być może nawet 300 000 cywilów bezsensownie zmasakrowano".

Koszmar trwał prawie sześć tygodni, podczas których bandy pijanych żołdaków mordowały, gwałciły, paliły i rabowały. Szacuje się, że ok. 100 tys. jeńców zamordowano seriami karabinów maszynowych podczas masowych egzekucji. W trakcie zbiorowych orgii, urządzanych często za dnia, na oczach rodzin, gwałcono dziewczęta i dojrzałe kobiety, dziewczynki i starsze niewiasty, z reguły pastwiąc się nad nimi, okaleczając je, a wreszcie zarzynając. To piekło dotknęło być może nawet 80 tys. kobiet. Mieszkańców ścinano dla wprawy mieczami samurajskimi oraz ćwiczono na nich pchnięcia bagnetem. Trzecia część domostw poszła z dymem. Rabowanie mieszkań oraz przechodniów na ulicach było powszechne.

Czang Kaj-szek zdołał wyprowadzić spod Nankinu znaczne siły. Tworzył nowe. Zawarł sojusz z komunistami i ich zbrojnymi oddziałami – sprzymierzeńcem wprawdzie mocno niepewnym, ale już dość licznym i potrafiącym prowadzić wojnę partyzancką. Rosła determinacja Chińczyków. Ich wolę walki wzmacniała pamięć Nankinu, a także kolejnych przykładów zbrodni i maltretowania rodaków na okupowanych terytoriach. I oto najeźdźcy zaczęli ponosić porażki – zwłaszcza gdy do wojny wciągnęli Stany Zjednoczone Ameryki. Do końca światowego konfliktu musieli utrzymywać w Chinach okupacyjne wojska, których liczba dochodziła do 1,5 mln żołnierzy, a także setki samolotów. Takie były skutki szerzenia prymitywnego mitu samuraja-zwycięzcy w milionowych szeregach armii i floty Wschodzącego Słońca.

Na rzece Kwai

Po czterech latach od tragedii Nankinu ze spadkobiercami samurajów przyszło zmierzyć się białym – Amerykanom, Brytyjczykom, Holendrom, Australijczykom… Postępy „japsów" były błyskawiczne. 7 grudnia 1941 r. zniszczyli okręty US Navy w Pearl Harbor, a następnie ruszyli morzem i lądem z południowych Chin na obszary będące dotąd pod kontrolą brytyjską, holenderską i amerykańską. W grudniu wylądowali na Marianach i Wyspach Gilberta oraz na Filipinach, gdzie pokonali korpus US Army. 25 grudnia 1942 r. zajęli Hongkong, a 15 lutego Singapur. W najgorszych snach Brytyjczycy nie przypuszczali, że dotrą do niego lądem, i to już pod koniec grudnia. Podobnie Holendrzy, którzy ujrzeli Japończyków na Borneo i Celebesie na początku 1942 r. 19 lutego zbombardowali Darwin na północnym wybrzeżu Australii, co wzbudziło popłoch również w tym kraju. Okręty sprzymierzonych poniosły w tym czasie dotkliwą klęskę na Morzu Jawajskim.

To był wschodnioazjatycki blitzkrieg: trzy miesiące wystarczyły Japończykom, by zająć prawie całą południowo-wschodnią Azję i dotrzeć do wrót Indii oraz Australii. Ponad trzech lat potrzeba było Amerykanom, aby – od Midway przez pacyficzne archipelagi odbijane „żabimi skokami", Filipiny i Okinawę – odrobić straty i zbliżyć się do Wysp Japońskich.

Na przełomie lat 1941 i 1942 napadnięci doznali okrucieństw napastników. 22 stycznia 1942 r. cofające się na Półwyspie Malajskim oddziały brytyjsko-indyjskie i australijskie pozostawiły 150 ciężko rannych. Kiedy nadeszli Japończycy, bili i kopali tych nieszczęśników, a pozostałych przy życiu zastrzelili bądź zrzucili z mostu do rzeki. Po zdobyciu Singapuru zamordowali 14 lutego kilkuset rannych i ich opiekunów w szpitalu wojskowym Alexandra Hospital. 250 zadźgali bagnetami, a innych pozostawili na pewną śmierć. Wcześniej kilkudziesięciu rannych zamordowali w szpitalu polowym w Hongkongu.

W zajętym Singapurze dosłownie polowali na Chińczyków. Złapanych i zidentyfikowanych – rozstrzeliwali. W ręce Japończyków dostały się z początkiem wojny dziesiątki, a nawet setki tysięcy żołnierzy alianckich. Tylko na Filipinach pojmali 100 tys. Amerykanów i Filipińczyków, a po upadku Singapuru – 80 tys. Brytyjczyków, Hindusów i Australijczyków. Na Jawie i na Borneo ujęli żołnierzy z garnizonów holenderskich

Ofiary marszu na filipińskim półwyspie Bataan FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 2986221024

i brytyjskich. Przez długie lata jeńcy cierpieli i umierali w japońskich obozach z powodu chorób tropikalnych i fatalnych warunków bytu, bicia i egzekucji, tortur, ukąszeń owadów i gadów, a przede wszystkim głodu i pracy ponad siły.

Jedną z japońskich zbrodni wojennych jest bataański marsz śmierci, w który pognali pojmanych na Filipinach jeńców. Szli oni 160 km przez dżunglę, w tropikalnym upale, bez jedzenia i picia. Z 70 tys. jeńców 8 tys. zostało w drodze zabitych, zmarło z wyczerpania, ran i nieleczonych chorób; zwłaszcza malarii. (Po wojnie dowódca zwycięskiej 14. Armii cesarskiej gen. Masaharu Homma został wraz z grupą podwładnych postawiony przed sąd i skazany na śmierć).

Od 22 czerwca 1942 do 17 października 1943 r. budowano linię kolejową z Birmy do Syjamu (dziś: Tajlandia) długości ponad 400 km, wiodącą przez porośnięte dżunglą góry. Do 180 tys. przymusowych na ogół robotników azjatyckich dołączono 60 tys. jeńców alianckich. Japończykom się spieszyło: połączenie miało ogromne znaczenie strategiczne. Jednak zamiast ciężkiego sprzętu kazali swym niewolnikom pracować ręcznie. Toteż zaharowywali się w tropikach dosłownie na śmierć. Nieposłusznych okrutnie karano. Kolej birmańską ukończono kosztem życia 90 tys. robotników azjatyckich i ok. 16 tys. jeńców; w tym 6318 Brytyjczyków, 2815 Australijczyków, 2490 Holendrów, 356 Amerykanów. Nad rzeką Khwae River zbudowano wtedy most, który przeszedł do historii literatury i filmu jako „Most na rzece Kwai". Do innych linii, budowanych przez Japończyków na trupach jeńców wojennych, należy kolej u nasady Półwyspu Malajskiego oraz inna, na Sumatrze. Tam ginął co czwarty z zapędzonych do niewolniczej pracy.

Postępowanie Japończyków powodowało, że walkę z nimi prowadzono dosłownie „na śmierć i życie". Rodzi się też pytanie: Czy opinia publiczna w USA poparłaby zrzucenie bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki, gdyby Japończycy nie dopuszczali się wcześniej takich zbrodni i okrucieństw?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Miecz samurajski noszony przez oficerów japońskiej armii FOT. ARCHIWUM

Gość zaj…ście wyluzowany

Maciej Rosalak

Teraz skupcie się, psubraty, bo ważniejsze padną daty! – takie słowa powtarzali T-raperzy znad Wisły – Grzegorz Wasowski i Sławomir Szczęśniak – przy każdym z królów, o których śpiewali przed laty w TVP. I wymieniali te daty z zaskakującą dokładnością, a o ważnych wydarzeniach mówili, nadzwyczaj trafnie ujmując ich istotę. Na przykład o zwycięstwach Bolesława I: „Chrobry zwiększał wciąż granice / To o Milsko, to Łużyce. / Panem w Czechach był i Miśni, / Co dziś nawet się nie przyśni. / Cieszyć też każdego musi, / że popędził kota Rusi". Kiedy w „Rzeczpospolitej" redagowałem cykl dodatków „Władcy Polski", zwróciłem się do pana Wasowskiego z propozycją drukowania jego pocztu królów. Przy okazji dowiedziałem się, jak rzetelnie przygotowywał on owe tylko do śmiechu – wydawałoby się – teksty. „Szacun!" – powiedziałby wielbiciel rapu.

Może za pomocą rapu lepiej niż z podręczników można uczyć dzieci historii? Właśnie otrzymałem ciekawe wyniki badań przeprowadzonych w ramach kampanii BohaterON przy współudziale IPN. Oto 10 305 uczniów, w wieku 12–19 lat, ze 165 szkół, z 15 województw odpowiadało na pytania dotyczące historii i tematów z nią związanych. Na przykład patriotyzmu. Okazało się, że czterech na pięciu uczniów uważa się za patriotów. Co 10. mniej więcej nie wiedział ani tego, kim jest patriota, ani czym jest patriotyzm. Czy widział choćby film „Patriota"? O to nie pytano. Dla co drugiego patriotyzm jest przede wszystkim miłością i przywiązaniem do ojczyzny, a także poszanowaniem tradycji i kultury narodu. Więcej niż co piąty gotów jest udowodnić to walką za kraj. Jednak mniej niż co piąty – co podano jakby z zawodem – sądził, że patriotyzm może się również przejawiać w płaceniu podatków. No i co z tego? Zapominamy o naszych zabawach w wojnę, kiedy każdy chciał walczyć jako Polak, a nie zawracać sobie głowy jakimiś podatkami? To przecież „święta miłości kochanej Ojczyzny..." w naturalnym u kilkunastolatka wydaniu.

Większość uczniów czerpie wiedzę historyczną nie tylko z podręczników. Fascynują ich takie filmy jak „Miasto 44" i „Czas honoru". Liderem jest jednak kanał na YouTube „Historia bez cenzury". Wojciech Drewniak opowiada tam anegdoty historyczne w taki sposób, że dawne produkcje T-raperów znad Wisły nadawałyby się do szkółki niedzielnej. Nie unika wulgaryzmów. Powiada na przykład: „Józef Poniatowski to taki żywy przykład, choć teraz już martwy, że można być zaj...ście wyluzowanym gościem i wielkim patriotą". No cóż, święta – jeśli można tu użyć tego słowa – prawda. Zwłaszcza że pan Drewniak ma 300 tys. subskrybentów i 18 mln wyświetleń. Warto zastanowić się, z czego to wynika. Przy czym nie twierdzę, że ucząc historii, trzeba koniecznie kląć jak szewc (choć niekiedy by się chciało).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2986221024

„Ur" postrach czołgów

Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Cienki pancerz większości niemieckich wozów bojowych w 1939 r. nie był odporny na pociski naszej supertajnej broni, czyli karabinu przeciwpancernego wz. 35

Rotmistrz Stanisław Mikosz z 16. Pułku Ułanów Wielkopolskich wspominał: „Po raz pierwszy w życiu ujrzałem nowe karabiny przeciwpancerne, z których nikt jeszcze z kadry szwadronu nie strzelał – a tu mieliśmy iść na wojnę [...] ściśle tajna instrukcja zabraniała otworzenia i odpakowania ich nawet i to wszystko miało być dopiero na specjalny rozkaz. [...] wbrew instrukcji, ku przerażeniu wielkiego służbisty st. wachm. Ogóra – kazałem rozpakować owe karabiny, i zarządziłem strzelanie dla oficerów i wybranych podoficerów. Potem okazało się, że rozkaz rozpakowania nigdy nie nadszedł, a karabiny okazały się potrzebne i obznajomienie z nimi bardzo się przydało".

Inspiracją dla tej niezwykłej konstrukcji były naboje ekstremalnych prędkości – pocisk lżejszy, ale lecący z większą prędkością wykazywał większą moc obalającą w porównaniu z pociskami cięższymi (o większym kalibrze), ale wolniejszymi. Dodatkowo stwierdzono, że amunicja taka może być skuteczna także wobec pancerza. Doświadczenia niemieckiego inż. Hermanna Gerlicha dowiodły, że pocisk przeciwpancerny, a więc z rdzeniem z twardego metalu, wystrzelony ze standardowego karabinu kal. 7,92 mm (prędkość początkowa 900 m/s) do stalowej płyty o grubości 12 mm powodował w niej 2-milimetrowe zagłębienie, natomiast pocisk kal. 6,5 mm o rdzeniu ołowianym, przy prędkości sięgającej 1400 m/s, bez trudu wybijał otwór o średnicy ok. 15 mm. Co ważne, nie przechodził on przez pancerz, ale wybijając w nim korek, sublimował, tzn. przechodził ze stanu stałego w gazowy (ołów po prostu wyparowywał); funkcję pocisku przejmował wybity korek. Zjawisko to nazwano „efektem Gerlicha".

Pod koniec lat 20. rozpoczęto w Polsce prace, które ostatecznie doprowadziły do powstania specjalnej amunicji (opracowano ją w Fabryce Prochu w Pionkach i w zakładach amunicyjnych w Skarżysku) oraz karabinu, którego konstruktorem był inż. Józef Maroszek, absolwent Wydziału Mechanicznego Politechniki Warszawskiej. Nabój 7,92 na 107 mm DS (pocisk ołowiany w płaszczu stalowym) w połączeniu z 1200-milimetrową lufą zapewniały pociskowi prędkość wylotową ok. 1270 m/s. Na dystansie 300 m wybijał on 20-milimetrowy otwór w pancerzu o grubości 15 mm. Produkcja seryjna tej broni została uruchomiona na przełomie lat 1936/1937 w Państwowej Fabryce Karabinów, w tajnym oddziale, któremu nadano kryptonim Ur (nazwa sugerowała standardową broń produkowaną na eksport do Urugwaju). Obawiano się, że potencjalni przeciwnicy, zapoznawszy się z zaletami nowej broni, wzmocnią pancerze swoich czołgów.

Karabiny wz. 35 wydawano wybranym żołnierzom dopiero w chwili mobilizacji; na każdy pluton przewidziano po jednej sztuce wraz z trzema zapasowymi lufami. Masa broni z pełnym 4-nabojowym magazynkiem wynosiła ponad 9 kg. Do wybuchu wojny wyprodukowano ok. 3,5 tys. sztuk. Wbrew utartym stereotypom broń znalazła szerokie zastosowanie we wrześniu 1939 r., o czym świadczą liczne relacje polskich żołnierzy, a także reakcja Niemców, którzy po kampanii wrześniowej zaczęli pospiesznie wzmacniać pancerze swoich czołgów. Z „urami" Polacy zetknęli się ponownie w Afryce! Część zdobytych u nas karabinów Niemcy przekazali Włochom, a ci używali ich m.in. w Libii. Z kolei po broń ukrytą w dniach wrześniowej klęski sięgnęli żołnierze konspiracji – karabin przeciwpancerny wz. 35 uwieczniony został na jednym ze zdjęć z powstania warszawskiego. ©℗

eprasa.pl 2986221024

Churchill Mk IV

Czołg był następcą Matildy, silnie opancerzonego wozu bojowego i jednego z najgroźniejszych przeciwników Panzerwaffe w początkowym okresie wojny. Prace nad nim trwały od 1939 r., a seryjna produkcja ruszyła dwa lata później. Pełną sprawność bojową pojazd osiągnął dopiero w 1942 r., po wyeliminowaniu licznych usterek i wymianie wielu podzespołów. Pierwsza wersja uzbrojona została w haubicę kal. 76,2 mm zamontowaną w kadłubie i 40-milimetrową (2-funtowa) armatę umieszczoną w obrotowej wieży. W kolejnych dwóch zrezygnowano z haubicy, w jej miejsce wstawiono kaem, a dwufuntówkę zastąpiono armatą 6-funtową, czyli kal. 57 mm. Jako czołg piechoty Mk IV otrzymał silne opancerzenie, z przodu kadłuba sięgające 101 mm grubości, na wieży zaś 89 mm. Gaźnikowy 12-cylindrowy silnik o mocy 350 KM pozwalał rozpędzić się niemal 40-tonowemu kolosowi do 27 km/godz. Charakterystyczna pudełkowata sylwetka Churchilla podyktowana była konstrukcją układu jezdnego – gąsienice przesuwały się po górnej krawędzi kadłuba, co upodobniało wóz do pierwszych brytyjskich czołgów z okresu I wojny światowej. To rozwiązanie miało zalety i wady. Zapewniono załodze więcej miejsca w środku, a sam czołg był niezwykle stabilny i całkiem nieźle radził sobie z przeszkodami terenowymi. Jednakże taki układ był bardzo podatny na ogień przeciwpancerny, o czym boleśnie przekonano się w trakcie lądowania pod Dieppe w 1942 r., będącego chrztem bojowym nowych czołgów. Do końca wojny Mk IV był jeszcze kilkakrotnie modernizowany, powstała też niezliczona gama pojazdów specjalistycznych, m.in. inżynieryjnych (na zdjęciu pojazd z haubicą kal. 95 mm). Wyprodukowano łącznie 5640 czołgów. ©℗

Działo wielolufowe

Już u zarania broni palnej w Europie dostrzegano problem jej niewielkiej szybkostrzelności. Próbowano temu zaradzić na różne sposoby, m.in. poprzez użycie luf z wymiennymi komorami nabojowymi. Działa takie, zwane foglerzami, okazały się jednak ślepym zaułkiem z uwagi na nierozwiązywalny wówczas problem szczelności – ubytek ciśnienia gazów podczas strzału znacznie osłabiał siłę rażenia pocisku. Innym pomysłem, znacznie prostszym, były działa wielolufowe, które znalazły szerokie zastosowanie.

Układ kilku, kilkunastu lub nawet kilkudziesięciu luf małego kalibru osadzonych na jednej lawecie bywał rozmaity, podobnie jak sposób odpalania (np. oddawanie salw kolejnymi rzędami) i naprowadzania na cel (mechanizm śrubowy), ale działka te określa się jedną nazwą – organek. Salwa z wiązki luf, oddana z niewielkiej odległości, bywała zabójcza dla zwartej masy nacierających nieprzyjaciół. Organki wyparte zostały przez udoskonalone pociski kartaczowe. ©℗

Starożytne rzędowce

W starożytności okręty bojowe klasyfikowano pod względem liczby wioślarzy wprawiających w ruch jedno lub więcej wioseł. System nie jest do końca rozpoznany. Na przykład na najpopularniejszej w okresie walk Greków z Persami trierze, czyli trójrzędowcu, mogło być trzech ludzi poruszających na wspólnej ławie jedno wiosło bądź każdy z nich siedział na osobnym miejscu (ławy ułożone jedna nad drugą) i poruszał jedno drzewce. Na rzymskiej penterze (pięciorzędowcu o 50 m długości, z czasów bitwy pod Akcjum) sekcja wiosłowa jednej burty składała się z pięciu wioślarzy poruszających dwa wiosła w grupach po dwóch i trzech (dwie kondygnacje ław) lub pięciu, którzy siedzieli na trzech kondygnacjach ław (2 + 2 + 1) i poruszali w sumie trzy wiosła. Używano też małych zwrotnych dwurzędowców – liburn o 33 m długości, zdarzały się też prawdziwe kolosy – decery, czyli dziesięciorzędowce, a nawet większe okręty – lubowali się w nich Egipcjanie w czasach Ptolemeuszów. Chociaż okręty były wyposażone w żagle – mały skośny na dziobie i duży na śródokręciu z ożaglowaniem rejowym – to stosowano je tylko podczas dłuższych rejsów. W czasie bitwy pozostawały złożone, a okręty manewrowały siłą ludzkich mięśni – liczba wioślarzy oraz ich wyszkolenie miały decydujący wpływ na wynik walki. Ponieważ większość starć toczono blisko brzegów, zdarzało się, że maszty i żagle pozostawiano na lądzie – zyskiwano więcej wolnego miejsca dla żołnierzy i pozbywano się podatnego na ogień płótna. ©℗

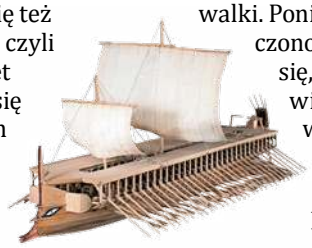

eprasa.pl 2986221024

Inżynieria / Jak rozwiązano problem grząskiego dna rzek

Iron Brigde – Żelazny Most na rzece Severn w Wielkiej Brytanii

FOT. FOTOLIA

Keson, ojciec mostów

Tymoteusz Pawłowski

Bez nowoczesnych mostów nie udałoby się zbudować sieci kolejowej. Świat byłby innym miejscem

Mosty są budowlami, które silnie wpływają na naszą wyobraźnię, zapewniają bowiem przejście suchą stopą nad wodą. Być może jest w nich nawet odrobina magii: najważniejszy kapłan Rzymu nosił tytuł pontifeksa – budowniczego mostu. Jego obowiązkiem było dbanie o most na Tybrze, jeden z najwcześniejszych mostów w Europie. Coś z tej magii zostało do dziś: papież również nosi tytuł pontifeksa.

Niegdyś przez rzeki przeprawiano się albo płytkimi brodami, albo korzystając z łodzi i promów. Czasem zdarzało się stawiać przeprawy łyżwowe, czyli drewnianą kładkę na „łyżwach", a więc promach. Taki most przez Dardanele zbudował perski „król królów" Dariusz, idąc na Helladę. Podobny zbudował Władysław Jagiełło, idąc pod Grunwald. Można było budować również mosty stałe. Przodowali w tym Rzymianie, do dziś przetrwało zadziwiająco wiele mostów sprzed dwóch tysięcy lat, a kilkadziesiąt z nich nadal jest przejezdnych. Wszystkie one mają jedną wspólną cechę: zbudowano je na rzekach o kamienistym dnie i brzegu.

Na rzekach o grząskim dnie stały most zbudować jest dużo trudniej. Przęsło może mieć ograniczoną długość. W pewnym momencie trzeba je podeprzeć filarem. Filary muszą być stabilnie zbudowane, co jest trudnym zadaniem, gdy stawia się je w dnie rzeki.

Nie znaczy to, że nie próbowano tego robić. Na tratwach montowano okute żelazem kafary, które wbijały w dno rzeki dębowe pale. Na nich budowano jezdnię. Taki most – najdłuższy w Europie! – stał w Warszawie w latach 1573–1603. Przyroda była jednak silniejsza i potrafiła go zniszczyć. Nie powodzie bowiem, nie porywiste wiatry ani nawet nie lodowa kra były dla mostów najgroźniejsze, tylko – powtórzmy – grząskie dno, które w dodatku zmieniało się niemal każdego

eprasa.pl 2986221024

dnia. Aby zbudować w rzece – dajmy na to, Wiśle – coś trwałego, należało zagłębić fundamenty kilkanaście metrów w głąb.

Rewolucja przemysłowa

Przyrodę można było oszukać, szczególnie za pomocą techniki. A ta stawała się pod koniec XVIII w. coraz bardziej zaawansowana. Przynajmniej na tyle, że można było zbudować długie przęsło między brzegami, nie opierając go na żadnym filarze. W 1781 r. Anglicy zbudowali nad rzeką Severn most z jednym żelaznym przęsłem o rozpiętości 30 m. Miejscowość ta nosi dziś nazwę Iron Bridge – Żelazny Most. Amerykanie z kolei budowali mosty wiszące, a dokładniej – podwieszane do łańcuchów. Takie rozwiązanie pozwoliło pokonywać dużo szersze rzeki. Zbudowana w 1810 r. i uchodząca – niezbyt ściśle – za „pierwszy nowoczesny most wiszący" przeprawa nad rzeką Merrimack ma długość blisko 70 m. Jeszcze lepsze rezultaty dało zastąpienie łańcuchów stalowymi linami: w 1834 r. we Francji zbudowano most kablowy długi na 275 m!

Wciąż było to jednak zbyt mało, żeby zbudować most na dolnym Renie, Tamizie czy Wiśle, choć trzeba przyznać, że w 1830 r. pojawił się pomysł żelaznego jednoprzęsłowego mostu w Warszawie. Miał mieć rozpiętość – bagatela! – 576 m, a pomysłodawcą był nie byle kto, bo zasłużony inżynier Feliks Pancer.

Rozwiązaniem problemu z grząskim dnem były kesony. Otóż jeśli w wodzie zanurzymy – dnem do góry – szklankę, to woda się do niej nie wedrze; zapobiegnie temu znajdujące się w niej powietrze. Jeśli pojemnik zbudujemy z żelaza oraz odpowiednio powiększymy, to będziemy mogli umieścić w nim robotników z łopatami i spuścić całość na dno rzeki. Będą mogli kopać głębokie fundamenty, a wraz z postępem prac szklanka, a raczej keson, będzie coraz bardziej zanurzała się w dnie.

Jednak były i inne problemy, chociażby ten, w jaki sposób robotnicy mają wchodzić do kesonu, no i jak usuwać z niego urobek. Rozwiązał je inżynier górnictwa Jacques Trier: wdmuchując do kesonu sprężone powietrze, można zrównoważyć ciśnienie wody, a komunikację można zapewnić śluzą powietrzną: przedsionkiem z dwoma wejściami – górnym i dolnym – w którym robotnicy mogli czekać na regulację ciśnienia.

Kesony – stopniowo udoskonalane w latach 40. i 50. XIX w. – doskonale nadawały się do budowy filarów mostowych. Skrzynię umieszczało się na miejscu budowy, uszczelniało i spuszczało do wody, opierając na dnie. Dolne krawędzie ścian były zaostrzone, co ułatwiało zagłębianie się w dno podczas usuwania gruntu. Gdy praca była skończona, wnętrze kesonu zalewano betonem, uzyskując w ten sposób trwały fundament mostu.

Ofiary postępu

Dzięki temu można było budować fundamenty głębokie na 35 m. Żeby na takiej głębokości powietrze w kesonie mogło zrównoważyć napór wody, musiało mieć ciśnienie cztery razy większe od tego na powierzchni. W takich warunkach można pracować, ale jest to praca na granicy ludzkich możliwości. Można pracować krótko – kilka godzin zamiast kilkunastu – i trzeba zachować specjalną procedurę podczas wchodzenia do kesonu i wychodzenia z niego. Niestety, ta wiedza przyszła wraz z doświadczeniem.

Początkowo, gdy prace nie przebiegały zbyt głęboko, robotnicy skarżyli się na bóle i skurcze mięśni. W kolejnych latach zaobserwowano chwilowe paraliże. Pierwsza ofiara śmiertelna pracy w kesonach to 1854 r. Robotnik zmarł podczas budowy – przepięknego skądinąd – mostu Księcia Alberta nad rzeką Saltash. Podczas budowy Eads Bridge nad Missisipi spośród 352 robotników 30 zostało kalekami, a 12 zmarło. Jego fundamenty były głębokie na 35 m. Warszawski most Kierbedzia, zbudowany w 1862 r., miał fundamenty dwa razy płytsze, więc ofiar śmiertelnych nie było. Chwalono się natomiast, że „prawie połowa robotników użytych do tej budowy pracowała od początku do końca robót bez doznania uszczerbku na zdrowiu".

Przez długi czas nie wiedziano, co powoduje chorobę i śmierć. Oskarżano zmęczenie, przepracowanie, wychłodzenie organizmu. Prawdziwą przyczynę odkryto dopiero podczas budowy – znanego z poezji – mostu Brooklińskiego. Była nią choroba dekompresyjna – zwana niegdyś kesonową – czyli powstawanie pęcherzyków azotu w tkankach, spowodowane zbyt szybkim wyrównaniem ciśnienia. Można jej zapobiegać, przeznaczając na wyjście odpowiednio dużo czasu, a nawet do pewnego stopnia leczyć za pomocą komory dekompresyjnej. Dla budowniczych mostu Brooklińskiego było jednak za późno, wielu z nich – nawet syn konstruktora i naczelny inżynier – borykało się ze skutkami choroby kesonowej do końca życia.

Niezależnie od tych wypadków w połowie XIX w. zaczęto na całym świecie budować mosty. Takie, których kształty znamy do dziś. Bardzo wiele z tych mostów przetrwało w niezmienionym kształcie. Oczywiście nie na ziemiach polskich, dwie wojny światowe dały zbyt dużo okazji do wysadzania ich w powietrze.

Umiejętność budowy mostów przyszła w doskonałym momencie: w chwili, gdy budowano sieć kolejową. Bez mostów ta sieć byłaby dziurawa. Koleje żelazne i mosty – też wówczas żelazne – są ze sobą nierozerwalnie związane. Kolej i mosty zmieniły świat. Marna to pociecha dla ofiar choroby kesonowej – a w XIX w. były ich setki, jeśli nie tysiące – ale ich poświęcenie nie poszło na marne: spróbujmy wyobrazić sobie życie bez mostów.

Rzymski most w Hiszpanii, znany jako most Trajana (103–106 r.) FOT. WIKIPEDIA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2986221024

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

13 CZERWCA 1915 ROKU, SZTAB WOJSK AUSTRO-WĘGIERSKICH.

TUŻ PRZED ATAKIEM DO 2. DYWIZJONU KAWALERII WRÓCIŁ JEGO DOWÓDCA, ROTMISTRZ ZBIGNIEW DUNIN-WĄSOWICZ, KTÓRY DOCHODZIŁ DOPIERO DO ZDROWIA PO CHOROBIE.

eprasa.pl 2986221024

Sławomir Cenckiewicz

/ Felieton

Konstytucyjna iluzja

Żeby było jasne: jestem zwolennikiem członkostwa Polski w NATO, strategicznego sojuszu polsko-amerykańskiego opartego na przymierzu wojskowym i stałej obecności Amerykanów/baz NATO na terenie Polski! Wiem bowiem, że we współczesnym konflikcie zbrojnym z realnie silniejszym i zagrażającym nam przeciwnikiem na dłuższą metę Polska się sama obronić nie może. Musi zatem Rzeczpospolita szukać źródeł swojej mocy w międzynarodowych sojuszach, prowadząc przy tym grę oddalającą od naszych granic wszelkie zagrożenia. Musi się zbroić po zęby, bo tylko silnych obawia się potencjalny agresor. Polska musi wreszcie dysponować taką armią i takim potencjałem, by nie tylko skutecznie odstraszać agresorów, lecz także – jeśli zajdzie potrzeba – bronić swoich granic, stwarzając ewentualność pomocy sojuszników z NATO.

Powyższe zasady to elementarz polskiej racji stanu na dzisiaj. Polityka jest jednak królową relatywizmu i zmienności konstelacji, także geopolitycznych, co tak dobitnie ukazała lekcja września 1939 r. Ostatecznie musimy przede wszystkim liczyć na siebie, dbając w czasie pokoju o własną siłę i interesy, nie możemy sprzyjać polityczno-społecznemu uśpieniu czujności wobec zagrożeń. „Opinia polska musi nareszcie zdać sobie sprawę, że nie możemy liczyć w przyszłości na bagnety i karabiny maszynowe francuskie czy angielskie, a jedynie na własne wojsko – pisał dawno temu Adolf Bocheński. – Jedynie własna samodzielna polityka może sprowadzić przedłużenie błogosławionego dla nas antagonizmu niemiecko-rosyjskiego. Jedynie własna polityka może nas uchronić od wiązania się z organizacjami politycznymi, które w chwili niebezpieczeństwa nie przyjdą nam z pomocą".

A więc przy wszystkich zmiennych politycznych wciąż aktualne pozostają: siła, umiejętna gra polityczna i praca nad opinią publiczną. Wszystko inne się zmienia, bo nic w polityce nie jest trwałe na wieki! Oddając ponownie głos Bocheńskiemu, musimy podkreślić, że „stopień potęgi państwa, stopień niepodległości czy mocarstwowości mierzy się miarą, w jakiej dane państwo może narzucać swą wolę innym państwom czy też czynnikom międzynarodowym, oraz stopniem, w jakim jest ono uniezależnione od woli tych innych czynników. Celem polityki potęgi państwa, polityki racji stanu, polityki mocarstwowej czy jak inaczej będziemy nazywali, jest stwarzanie stanów, w których państwo miałoby maksymalną możność narzucania swej woli innym państwom, a co za tym idzie – i utożsamiony z nim naród. Stopień potęgi państwa jest więc identyczny ze stopniem niepodległości narodu w danej chwili".

/ Zapisem konstytucyjnym nie da się zadekretować sojuszy

Znając te oczywistości doktrynalno-polityczne, ze zdumieniem przeczytałem propozycje pytań referendalnych zaproponowanych przez prezydenta Andrzeja Dudę w ramach dyskusji o nowej konstytucji. Świadomie pomijam tu to, że zamiast propozycji narzędzi usprawnienia państwa wśród zaproponowanych 15 pytań dominują kwestie socjalne (sic!). Najważniejsze, a zarazem najbardziej niedorzeczne wydają mi się propozycje pytań o członkostwo w Unii Europejskiej i NATO. Zostały one sformułowane w ten sposób: „Czy jest Pan/Pani za konstytucyjnym zagwarantowaniem członkostwa RP w UE?" (nr 7) i „Czy jest Pan/Pani za konstytucyjnym zagwarantowaniem członkostwa RP w NATO?" (nr 9).

Sytuacyjność sojuszy, geopolityki, polityki międzynarodowej i bytów polityczno-militarnych ma zastąpić konstytucyjny zapis o ich niemal wiecznej trwałości i korzyściach dla Polski wynikających z członkostwa w UE i NATO! Przecierając oczy ze zdumienia, pomyślałem sobie… o ustawie z 10 lutego 1976 r. o zmianie Konstytucji PRL! Tam również pojawił się znowelizowany artykuł 3a o „umacnianiu przyjaźni i współpracy ze Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich i innych państw socjalistycznych".

Pomyślałem o tym nie dlatego, abym stawiał znak równości między aktualnym sojuszem ze Stanami Zjednoczonymi a narzuconym w przeszłości sojuszem ze Związkiem Sowieckim. Nic z tych rzeczy! Dostrzegłem jedynie analogie w myśleniu o polityce – gdy zapisem konstytucyjnym można zadekretować sojusze, bezpieczeństwo, wieczny spokój i dostatek!

No dobrze, a gdyby ktoś był przeciwnikiem członkostwa Polski w UE i NATO już po wpisaniu naszego członkostwa w tych instytucjach do konstytucji? Pójdzie do ciupy, a jego stronnictwo zostanie zdelegalizowane jako sprzeciwiające się konstytucyjnym gwarancjom bezpieczeństwa? „Wiem, że jest to ciężkie i niepopularne, ale nie należę do tych, którzy twierdzą, że patriotyzm polega na okłamywaniu polskiego społeczeństwa i utrzymywaniu go w stanie ciągłej iluzji" – pisał Stanisław Mackiewicz. Jak zawsze proroczo… ©℗

eprasa.pl 2986221024

100-lecie
ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

1918
2018

Militaria.pl

GDYNIA ŚWIĘTOJAŃSKA 84 • **KATOWICE** GALERIA KATOWICKA • **KRAKÓW** DIETLA 51 • **ŁODŹ** MANUFAKTURA • **POZNAŃ** POSNANIA • **POZNAŃ** STARY BROWAR
SZCZECIN AL. PIASTÓW 53 • **WROCŁAW** OŁAWSKA 16 • **WROCŁAW** ALEJA BIELANY • **WARSZAWA** BLUE CITY • **WARSZAWA** TAMKA 49 • **WARSZAWA** WOLA PARK

ZAMÓWIENIA: **71 347 47 47** • INTERNET: **www.Militaria.pl**